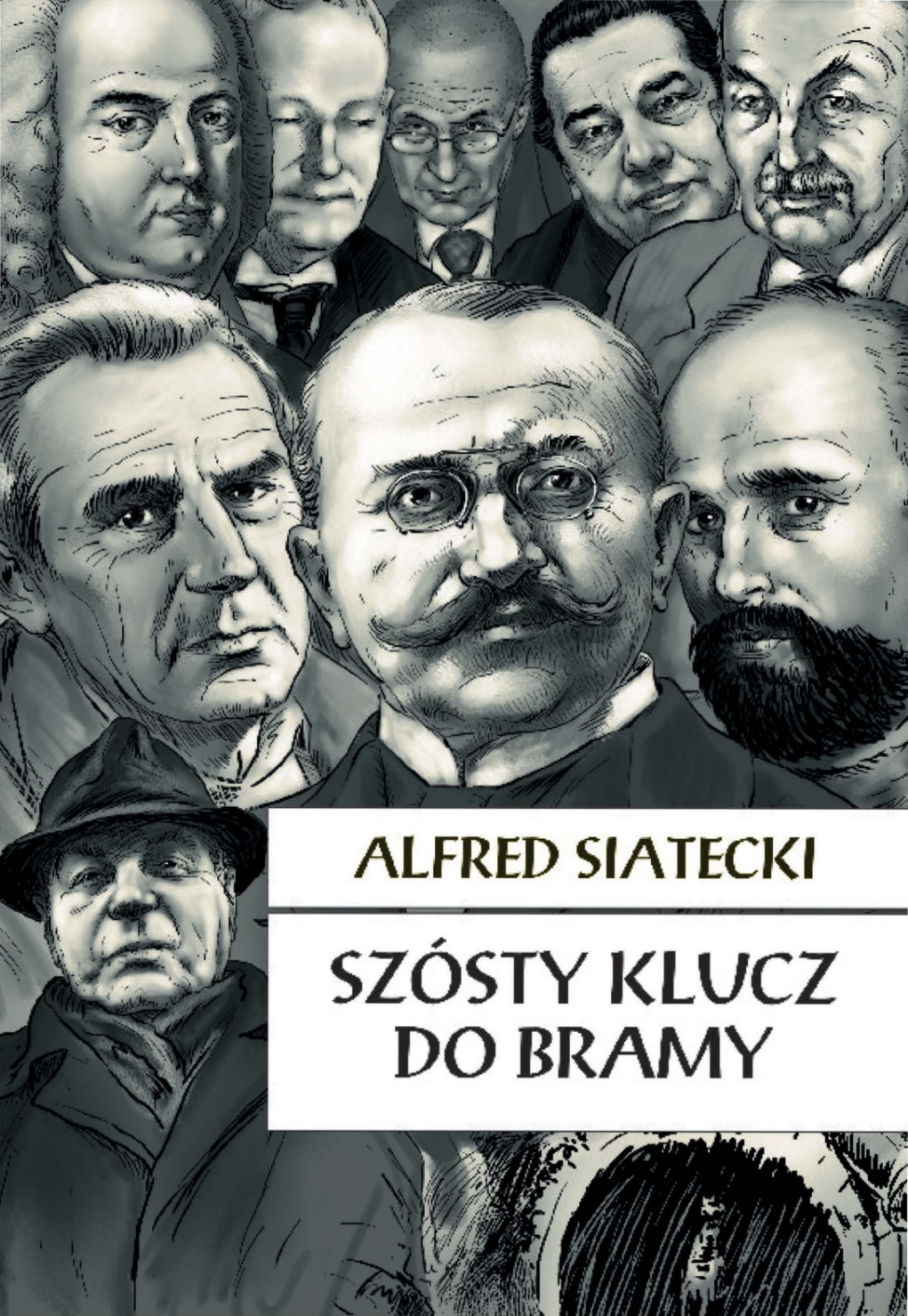




ALFRED SIATECKI

**SZÓSTY KLUCZ
DO BRAMY**

SZÓSTY KLUCZ DO BRAMY

ROZMOWY NIEAUTORYZOWANE
ALBO NIEODBYTE
O PRZESZŁOŚCI ŚRODKOWEGO NADODRZA



Muzeum Ziemi Lubuskiej
w Zielonej Górze

ALFRED SIATECKI
**SZÓSTY KLUCZ
DO BRAMY**

ROZMOWY NIEAUTORYZOWANE
ALBO NIEODBYTE
O PRZESZŁOŚCI ŚRODKOWEGO NADODRZA

Zielona Góra 2015

Copyright © Alfred Siatecki
Copyright © Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze

Projekt okładki
Igor Myszkiewicz

Redakcja
Alina Polak

Skład
Emilia Ćwilińska

Zdjęcie autora na okładce
Mariusz Kowalski



Zrealizowano
przy pomocy finansowej
Miasta Zielona Góra

ISBN 978-83-88426-90-2

Wydanie I Zielona Góra 2015

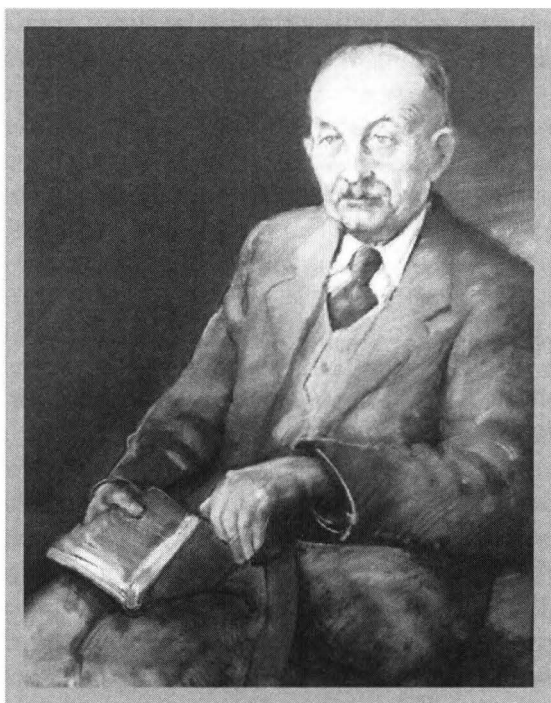
Wydawca
Muzeum Ziemi Lubuskiej
al. Niepodległości 15, 65-048 Zielona Góra
tel. 68 327 23 45, faks 68 324 65 61
www.mzl.zgora.pl, e-mail: muzeum@man.zgora.pl

Druk i oprawa
„LIGATURA”
ul. Sulechowska 4 a, 65-119 Zielona Góra

Dlatego jeśli dziś zadaję sobie pytanie: za kogo – w sensie kulturowej identyfikacji – się uważam, odpowiedź brzmi: za Polaka-Lubuszanina. Lubuszanina, bo nie czuję się ani Pomorzaninem, ani Dolnoślązakiem, ani Wielkopolaninem. Identyfikuję się z kulturowym krajobrazem obszaru leżącego na wschód od Odry i Nysy, na południe od Pomorza Zachodniego, na północ od Dolnego Śląska i za zachód od Wielkopolski. Krajobrazem względnie stałym przy jego zmiennych granicach administracyjnych.

Zbigniew Czarnuch, *Zbigniew Czarnuch.*
Twórcy zielonogórskiej kultury, 2014





*Józef Kostrzewski – portret pędzla Lecha Ratajczyka
ze zbiorów Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze*

Józef Kostrzewski

Urodził się 25 lutego 1885 w Węglewie koło Gniezna, zmarł 19 października 1969 r. w Poznaniu. Studiował historię na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, doktoryzował się na Uniwersytecie im. Friedricha Wilhelma w Berlinie. Był profesorem archeologii na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu i członkiem Polskiej Akademii Nauk. Jako twórca poznańskiej szkoły archeologii zajmował się przede wszystkim epoką brązu, okresem lateńskim i wczesnym średniowieczem. Jego dorobek naukowy to m.in. 11 syntez i monografii z zakresu prahistorii i wczesnego średniowiecza ziem polskich. Pod koniec lat 70. XX wieku jego gabinet i księgozbiór został umieszczony w bibliotece Norwida w Zielonej Górze.

SKARB SCYTYJSKI

**Rozmowa z prof. dr. hab. Józefem Kostrzewskim,
archeologiem i muzeologiem**

– Archeologia nadal jest nauką nasiąkniętą polityką?

– Już nie. Tak było przez pierwsze lata po 1945 roku, kiedy politycy gromkim głosem zapewniali, że Polska wróciła na prastare ziemie piastowskie, nazywając je odzyskanymi lub zachodnimi. Tak było również jeszcze przed pierwszą wojną światową w Niemczech, gdy berliński archeolog profesor Gustaf Kossinna ogłosił metodę etniczną. Jego teoria została wykorzystana przez nazistów w uzasadnieniu, dlaczego Niemcy domagają się prawa do roszczeń terytorialnych wobec Polski. Zdaniem Kossinny Pomorze i Wielkopolska były praojczyzną Germanów już w epoce brązu, czyli mniej więcej 3 tysiące lat temu.

– Jak pan, uczeń profesora Kossiny, na to zareagował?

– Ogłosiłem teorię autochtonicznego pochodzenia Słowian. Przekonywałem, że Słowianie pochodzą od Prasłowian, którzy już w epoce brązu zamieszkiwali na terytorium zajmowanym przez współczesną Polskę. Że Prasłowianie identycznie jak Pragermanie byli ludnością kultury łużyckiej, czym rozsierdziłem profesora Kossinnę i zwolenników jego etnicznej teorii. Nie przypuszczałem, że będzie to miało dla mnie fatalne skutki. Kiedy na początku września 1939 roku Niemcy weszli do Poznania, na uniwersytecie natychmiast pojawili się archeolodzy w mundurach. Ostrzeżony przez przyjaciół,

pod zmienionym nazwiskiem ukrywałem się w Burzynie koło Tuchowa w powiecie tarnowskim, gdzie Filarecki Związek Elsów dał schronienie wielu pracownikom Uniwersytetu Poznańskiego. Potem musiałem przenieść się do folwarku Klemensówka w Zarzeczcu koło Niska, należącym do Stanisława Hofmokla. Było to miejsce ukrywania się większej ilości takich jak ja, między innymi profesor muzykologii Stefanii Łobaczewskiej i Jerzego Sawickiego, ministra rolnictwa w rządzie Osóbki-Morawskiego.

– Pan jest uważany za ojca polskiej archeologii. W latach trzydziestych XX wieku prowadził pan badania w Biskupinie. Panu przypisuje się odkrycie grodu ludności kultury łużyckiej na wyspie otoczonej wodami Jeziora Biskupińskiego. Niewiele wcześniej podobny gród berliński archeolog Carl Schuchhardt odkrył w Wicinie, wsi na Dolnych Łużycach, wtedy w granicach Niemiec. Wiedział pan o tym? A może i pojechał pan do Wiciny sprawdzić, jakie są podobieństwa między grodami?

– Środowisko archeologów nigdy nie było liczne. Informacji o prowadzonych wykopaliskach w Biskupinie nie dało się ukryć przed Niemcami, jak i przekazu o odkryciach w Wicinie. Nawet sygnał o skarbie scytyjskim do mnie dotarł. Przecież rozprawę doktorską napisałem pod kierunkiem profesora Kossinny i obroniłem ją na berlińskim uniwersytecie. Z profesorem byłem w stanie wojny naukowej, co nie znaczy, że wśród niemieckich badaczy nie miałem kolegów i przyjaciół. Do Poznania docierały periodyki naukowe z Berlina i najważniejsze gazety centralne. Językiem niemieckim posługiwałem się tak samo jak polskim. Proszę pamiętać, że w Wielkopolsce większość starszego pokolenia chodziła do niemieckich szkół, w domach panowały niemieckie zwyczaje. W jadłospisie poznaniaków była zupa warzywno-mięsna znana jako *eintopf*, dużo potraw z wieprzowiny, na deser podawano *auflauf*, czyli omlet ucierany z cukrem i owocami. We wsiach panował niemiecki porządek, czego nie należy się wstydzić. Do jednego nie udało się przekonać Wielkopolan: do zmiany religii katolickiej na ewangelicką. Nie twierdzę, że w Poznaniu i innych miastach regionu nie było takich osób, które przeszły na wiarę luterzańską.

– Do Wiciny wrócę za chwilę. Najpierw proszę o wyjaśnienie: co to był ów skarb scytyjski znaleziony w Witaszkowie?

– Ów skarb, a właściwie jego część, pierwszy raz oglądałem w berlińskiej kolekcji eksponatów antycznych. Pewnie pan wie, że w XIX wieku niemieccy badacze bardzo interesowali się przeszłością terenów wokół Morza Śródziemnego. A gdy Heinrich Schliemann znalazł legendarną Troję, kierując się literalnym odczytaniem *Iliady* Homera, rozpoczęła się niemal inwazja prahistoryków niemieckich, angielskich, francuskich na tamte tereny. Co odkryli niemieccy archeolodzy tacy jak Walter Andrae, Ernst Curtius, Carl Humann, Friedrich Sarre, można zobaczyć w berlińskich muzeach, szczególnie w Muzeum Pergamońskim.

– Skarb scytyjski pochodzi z terenów śródziemnomorskich?

– Jeśli pyta pan, gdzie powstały jego części, to potwierdzam, że mniej więcej w tamtych okolicach.

– Pytam, gdzie został odkryty.

– Na Dolnych Łużycach. W pobliżu wsi Vettersfelde, jak mówili Niemcy, albo Wětškow, jak mówili Serbowie Łużyccy. Dziś ta wieś zwie się po polsku Witaszkowo. Co do Serbów, to ta nacja nie ma nic wspólnego z ludnością kultury łużyckiej żyjącej w epoce brązu. Serbowie Łużyccy, zwani także Serbołużyczanami, to Słowianie przybyli na Dolne Łużycy z Białej Serbii, a ta jest lokowana gdzieś na południu Europy, może nawet na Kaukazie. Osobą, która znalazła skarb scytyjski, był zniemczony Serbołużyczanin August Lauschke. Stało się to 5 października 1882 roku.

– Czy August Lauschke był archeologiem?

– Lauschke był pewnie niewykształconym chłopem, aczkolwiek zdającym sobie sprawę z postępu w gospodarce rolnej, na co wskazuje czynność, która doprowadziła go do odkrycia.

– O jakiej czynności pan mówi?

– W 1883 roku niemiecki archeolog Adolf Furtwangler opisał, jak doszło do znaleziska. Wczesną jesienią Lauschke przygotowywał ziemię pod zasiew żyta. Z doświadczenia wiedział, że pole jest podmokłe, dlatego postanowił je osuszyć. Nie stać go było na założenie

drenów, dlatego przy pomocy pługa wyorał bruzdy, którymi miał odpłynąć nadmiar wody. Zdaniem Furtwanglera czynność tę wykonał dwukrotnie, przez co pogłębił bruzdy. Na głębokości 30 centymetrów mógł natknąć się na ów skarb, ale go nie zauważył. Dopiero 7 października, po opadach deszczu, Lauschke wyszedł na pole, żeby sprawdzić, czy bruzdy spełniają swoją rolę. Wtedy zauważył wystający z ziemi masywny pierścień na głowę, a obok niego kilka innych elementów. Schylił się po nie, ale nie sądził, że przedmioty są wykonane ze złota.

– **Co Lauschke z nimi zrobił?**

– XIX wiek to czas wielu podobnych odkryć w całych Niemczech, dlatego władze zarządziły, że każdy, kto coś znajdzie, ma obowiązek powiadomić o tym księdza albo policjanta, albo nauczyciela, albo kogoś innego, komu ufa. Właścicielem dóbr w Vetttersfelde był książę Heinrich Schönaich-Carolath, mieszkający w pobliskim Am-titz. Nawiasem mówiąc, w 1939 roku hitlerowcy utworzyli tam filię obozu jenieckiego Stalag III B Fürstenberg, w którym więzili francuszanina Maksymiliana Kolbego, późniejszego świętego Kościoła katolickiego. Obóz był na polu, a jeńcy przebywali w namiotach okolonych drutem kolczastym. August Lauschke zaniósł skarb do zamku księcia Schönaich-Carolath. Czy zaniósł wszystko, co znalazł na polu? Tego nie jestem pewien.

– **A co zrobił książę?**

– Według jednego źródła książę skontaktował się z antropologiem, patologiem i archeologiem z zamiłowania Rudolphem Virchowem, tym samym, który odkrył kulturę łużycką. Wedle drugiego źródła, jak pisze Furtwangler, książę „pojął wartość skarbu, skonfiskował go i zorganizował jego sprzedaż w Berlinie. Przedmioty trafiły do antykwarium Muzeum Królewskiego w Berlinie, gdzie 22 stycznia 1883 roku zainwentaryzował je archeolog Ernst Curtius. Lauschke otrzymał pełną równowartość pieniężną tego złotego znaleziska, czyli 6 tysięcy marek”.

– **Co się składało na znalezisko?**

– Nie ma pewności co do tego, czy skarb składał się 20 przedmiotów wykonanych ze złota, czy może było ich więcej. Wedle opisu

Furtwanglera 20 przedmiotów o wadze 4,5 kilograma zainwentaryzował Ernst Curtius. Do najciekawszych zaliczył okucie gorytosu o długości 41 centymetrów w kształcie ryby, ozdobionego przedstawieniami innych zwierząt, ważące 608,5 grama. Gorytos to futerał łuczniczy, będący jednym z podstawowych elementów wyposażenia wojownika scytyjskiego. Innym przedmiotem dostarczonemu do Berlina przez księcia z Amtitz był akinakes z pochwą, również zdobioną ornamentyką zwierzęcą. Akinakes to krótki sztylet obosieczny, służący do kłucia i cięcia, używany tak przez Greków, jak i przez Scytów. Lauschke także znalazł tarczę, część od typowej scytyjskiej torby skórzanej na strzały i łuk, przetyczkę z zakończeniem w formie liścia koniczyny, łańcuch pleciony. Wśród znalezionych przedmiotów były trzy wisiorki, naramiennik, kamienna ośelka w złotej oprawce, kamienny klin w złotej oprawie, pierścionie, płytka w formie rombu. Były także naczynia gliniane, niestety, nie wiadomo ile.

– Wiadomość o skarbie pewnie rozniosła się po okolicznych wioskach. Czy sąsiedzi Lauschkego zaczęli szukać skarbów na swoich polach?

– Zbiegło się to z innymi znaleziskami na Dolnych Łużycach, nie tak wielkiej wartości, ale z punktu widzenia archeologii bardzo cennymi, bo potwierdzającymi osadnictwo ludności kultury łużyckiej na tych terenach. W 1914 roku potomek Lauschkego na tym samym polu odkrył kolejne przedmioty należące do skarbu scytyjskiego. Ponieważ zrobiło się głośno o znalezisku, pewną jego część rolnik zaniósł do muzeum w Gubinie. Niemożliwą do określenia część sprzedał jubilerom w Lubsku i Gubinie, a ci potraktowali złote antyki jak złom i je przetopili. W ten sposób zniszczyli na przykład środkowy element pochwy na sztylet. Jak niektóre przedmioty wyglądały, wiemy jedynie ze szkiców i opisów sporządzonych w Gubinie przez muzealnika Edwarda Krausego i nauczyciela Hugona Jentscha. Pewne obiekty udało się skopiować i umieścić w gubińskim muzeum.

– Tylko tam je można było oglądać?

– Większość skarbu znajdowała się w zbiorach berlińskich. W kwietniu 1945 roku, tuż przed bombardowaniem stolicy Niemiec, ten skarb i inne najbardziej wartościowe przedmioty muzealnicy

wywieźli do kopalni soli J. B. Niedersachsen w Grasleben, gdzie je ukryli. Po zakończeniu działań wojennych Brytyjczycy przetransportowali skrzynie z antykami do zamku Celle w Dolnej Saksonii. W trakcie inwentaryzacji kierownik zbiornicy Lothar Pretzell stwierdził brak wyrobów ze złota w skrzyniach, w których według spisu powinny być przedmioty antyczne, także te ze skarbu scytyjskiego. Śledztwo wdrożone przez Scotlad Yard nie wyjaśniło, kto i kiedy okradł zbiory.

– Czy to oznacza to, że w 1945 roku skarb zaginął bezpowrotnie?

– Nie w całości. Zachowana jego część wróciła do Berlina i tam można go oglądać.

– A co się stało z przedmiotami umieszczonymi w muzeum w Gubinie?

– Niemal wszystko, co znajdowało się w gubińskim muzeum przepadło w trakcie bombardowania miasta wiosną 1945 roku i po zakończeniu wojny. Z biegiem lat udało się muzealnikom odzyskać niektóre przedmioty. Dziś po niemieckiej stronie, w Muzeum Sprucker Mühle w Guben można obejrzeć kopię gorytosa w kształcie złotej ryby. Kopie innych złotych wyrobów z Witaszkowa, bo taką nazwę nadano wsi po 1945 roku, znajdują się w Muzeum Archeologicznym Środkowego Nadodrza w Zielonej Górze z siedzibą w Świdnicy. Ryba z Witaszkowa jest jednym z najbardziej znanych i najczęściej wspominanych znalezisk archeologicznych w Europie.

– Powiedział pan, że skarb jest pochodzenia scytyjskiego. Skąd taki skarb na polu w Witaszkowie, wsi leżącej między Lubskiem i Gubinem?

– Są dwie teorie na ten temat. Zanim je przedstawię, wyjaśnię, kim byli Scytowie. Lud ten żył dwa i pół tysiąca lat temu na stepach Europy. Scytowie właściwi zajmowali tereny nad Morzem Czarnym. Na wschód od nich, nad Wołgą i na północ od Morza Kaspijskiego mieszkali Sauromaci, w Azji Centralnej – Masageci, na północny wschód od Amu-darii – Sakowie. Byli to budzący strach nieujarzmieni nomadyczni wojownicy. Próbował z nimi walczyć król Persów Dariusz, ale jego wyprawa nad Morze Czarne zakończyła się klęską.

Dopiero w 339 roku przed naszą erą pokonał ich i ujarzmił Filip Macedoński. Od tego czasu następował powolny upadek imperium scytyjskiego.

– Kiedy przedmioty stanowiące skarb scytyjski znalazły się w Witaszkowie?

– Cierpliwości. Najwięcej wiadomości o Scytach przekazał Herodot. Ten starogrecki historyk mógł być świadkiem wielkości i znaczenia plemion scytyjskich. Napisał, że magiczna kraina opanowana przez Scytów jest w południowej Syberii. W XX wieku dotarli tam badacze niemieccy. W miejscu pochówku kogoś bardzo ważnego, pewnie wodza, znaleźli między innymi części uprzęży końskiej, przedmioty z drewna, tkanin i skóry, złote pierścienie zdobione zwierzęcymi motywami, udekorowane perłami szaty, powlekane złotem klamry do butów. Archeolodzy niemieccy potwierdzili, że Scytowie przykładali wagę do misternej biżuterii, często naśladując mistrzów greckich. Nie dziwi mnie, że przedmioty składające się na skarb z Witaszkowa są wyraźnie inspirowane sztuką grecką. Może zostały wykonane w warsztatach greckich dla Scytów albo, co jest bardziej prawdopodobne, przez Scytów, którzy odbyli praktykę u Greków.

– Już czas, żeby pan powiedział, jak te przedmioty dostały się do Witaszkowa.

– Mógł to być 500 rok przed Chrystusem, może 350. Wtedy przez Bramę Morawską Scytowie weszli na ziemie dzisiejszej Polski. Spustoszyli Dolny Śląsk i Łużycę. Na ślady ich obecności archeolodzy natknęli się nawet w okolicach Kruszwicy.

– Jakie są tego dowody?

– Zachowały się charakterystyczne grociki o zdeformowanych czubkach. Pewnie Scytowie strzelali z łuków do miejscowej ludności, wtedy groty strzał odbijały się o kamienie. Najciekawsze z punktu widzenia prahistoryka jest to, na co natrafili niemieccy i polscy badacze w Wicinie.

– Wicina to mała wieś w gminie Jasień, w powiecie żarskim.

– Wicina jest wielka, jeśli weźmie się pod uwagę pradzieje i to, na co w pradolinie dolinie Lubszy natrafili archeologowie. Odkrywcą tego miejsca był profesor Carl Schuchhardt z Berlina. W latach dwudziestych XX wieku prowadził badania archeologiczne po obu stronach Nysy Łużyckiej. Do Wiciny przyciągnęły go informacje o przedmiotach z brązu i żelaza znajdujących przez mieszkańców na polach. Wyniki swoich badań Schuchhardt ogłosił w 1927 roku. Mimo że odkrył kilka przedmiotów, ze względu na brak funduszy zaprzestał prowadzenia wykopalisk. Dopiero w latach sześćdziesiątych tym miejscem zainteresowali się archeolodzy zielonogórscy pod kierownictwem doktorów Adama Kołodziejskiego i Andrzeja Marcinkiana.

– Co odkryli zielonogórzanie?

– Miejsce, gdzie około 550 roku przed naszą erą ludność kultury łużyckiej zaczęła wznosić gród obronny. Zajmował on ponad czterysta arów na wysepce. Przez mokradła z lądu na wysepkę prowadziła usypana grobla. Do warowni można się było dostać przez bramę z drewnianymi wieżami, otwieraną na zewnątrz. Majdan, czyli centralne miejsce w grodzie, był zajęty przez warsztaty odlewnicze, kowalskie, garncarskie. Znajdowało się tam targowisko, a kramy kupieckie stały na obrzeżach majdanu. Warsztaty tkackie i krawieckie były w chatach przylegających do wału okalającego wyspę. W grodzie mieszkało nie więcej niż sto, sto pięćdziesiąt dzieci, kobiet i mężczyzn, na co wskazują ślady pozostawione przez około 40 domostw. Wokół grodu, w promieniu do 15 kilometrów, znajdowały się osady stałe, zamieszkałe przez rolników, pasterzy, rybaków, myśliwych, zbieraczy runa leśnego, bartników. To były osady służebne wobec grodu. Warownia miała im zapewnić bezpieczeństwo.

– Zapewniała?

– Wygląda na to, że nie zawsze. Trudno ustalić, jak to się stało, że do środka grodu przedostali się Scytowie. Może warownia była w przebudowie? Może Scytowie napadli na gród późną jesienią lub zimą, kiedy wody i bagna stanowiące naturalną osłonę były skute lodem? Może obrońcy wyjechali, a ukryci napastnicy tylko na to czekali? W każdym razie Scytowie napadli na gród i wymordowali

znajdujące się tam osoby. Lub, co jest możliwe, część mieszkańców, mam na myśli młode kobiety, ze sobą uprowadzili. Mogli je sprzedać na targach niewolników w miastach greckich i perskich.

– Czy archeolodzy znaleźli w Wicinie przedmioty świadczące o tym, że gród na pewno zniszczyli Scytowie?

– O obecności Scytów w Wicinie świadczą grociki trójkątne i żelazny czekan.

– Wróćmy do Witaszkowa leżącego około 30 kilometrów od Wiciny. Tam na polu August Lauschke znalazł przedmioty uznane przez archeologów za skarb scytyjski. Jaką drogą tam się dostały? Powiedział pan, że są dwie teorie.

– Kiedyś uważano, że w miejscu, gdzie Lauschke trafił na skarb, był kurhan, a w nim został pochowany potężny wódz scytyjski. Powoływano się na Herodota, który szczegółowo opisał, jak wyglądał pochówek scytyjskiego władcy. Zabalsamowane ciało chowano wraz z cennymi przedmiotami. Uśmiercano jego żonę, służących, konie i grzebano w tej samej mogile, a na koniec usypywano wielki kopiec. Dziś jest inna teoria dotycząca znaleziska. Zdaniem polskich i niemieckich archeologów miejsce, gdzie Lauschke natrafił na skarb, było rodzajem świątyni związanej z kultem wody. Przez dłuższy czas składano tam ofiary siłom natury. Obszar ten pokrywał kamienny bruk. W jego centrum znajdowała się studnia, w jej wnętrzu były miseczki ze szklanymi paciorkami i innymi przedmiotami.

– Scytowie przypominają mi Tatarów, którzy w XIII wieku doszli aż pod Legnicę.

– Część archeologów doszukuje się pochodzenia ludów tatarskich właśnie od Scytów.

– Dziękuję za rozmowę.

Perły lubuskiej archeologii

Krzemienne narzędzia – używane przez ludy kultury świderskiej.

Narzędzia pochodzą z lat 10 600-9600 p.n.e. Archeolodzy zatrudnieni w Muzeum Twierdzy w Kostrzynie nad Odrą znaleźli je w Górzycy w 2015 r.

Harpun kościany – został znaleziony w 1992 r. w Węglinach koło Gubina. Jest wiązany ze schyłkowopaleolityczną kulturą ahrenburską, 10-9 tys. lat p.n.e.

Bransoletki brązowe – natrafili na nie archeolodzy na cmentarzysku kurhanowym kultury w łużyckiej w Różanówce koło Siedliska. Pochodzą z około XIII w. p.n.e. Były starannie ułożone na dnie rowu otaczającego nasyp kurhanu, stanowiły najprawdopodobniej swoistego rodzaju ofiarę zakładzinową. Są przechowywane w Muzeum Archeologicznym Środkowego Nadodrza w Zielonej Górze z siedzibą w Świdnicy.

Bogini z Deszczna – kultowa figura antropomorficzna znaleziona na cmentarzysku kultury łużyckiej z 650-600 r. p.n.e. w podgorzowskim Deszcznie w 1901 r. Znalazł ją pastor Felix Hobus. Pastor przekazał figurkę do muzeum etnologicznego w Berlinie. Muzeum wykonało kilka kopii figurki. Jedna z nich znajduje się w Lubuskim Muzeum im. Jana Dekerta w Gorzowie Wielkopolskim.

Kolia z paciorków bursztynowych – pochodzi z grobu ciałopalnego grupy górzyckiej kultury łużyckiej, datowanego na V w. p.n.e. Została znaleziona w Grzmiącej koło Cybinki. Jest przechowywana w Muzeum Archeologicznym Środkowego Nadodrza w Zielonej Górze z siedzibą w Świdnicy.

Skarb brązowy – dar wotywny składający się z grotu włóczni i pięciu siekier. Jest datowany na 800 r. p.n.e. Został znaleziony w pobliżu Mirocina Dolnego koło Kożuchowa. Przedmioty znajdują się w zbiorach Muzeum Archeologicznego Środkowego Nadodrza w Zielonej Górze z siedzibą w Świdnicy.

Situla brązowa – z grobu popielnicowego grupy górzyckiej kultury łużyckiej. Poza situlą, wykonaną z blachy brązowej, w grobie znaleziono m.in. żelazny miecz jednosieczny, brązową zapinkę i drewniane naczynie. Przedmioty pochodzą z IV w. p.n.e.



Zostały znalezione w Sękowicach koło Gubina. Są przechowywane w Muzeum Archeologicznym Środkowego Nadodrza w Zielonej Górze z siedzibą w Świdnicy.

Naczynie *terra sigillata* – odkryte w 2008 r. w Górzycy w grobie młodej kobiety, pochodzące z II w. n.e. Znalezione tam także misę ceramiczną, celowo potłuczoną przed pochówkiem. Naczynie jest przechowywane w Muzeum Twierdzy w Kostrzynie nad Odrą.

Ozdoby ze srebra, brązu i szkła – m.in. zapinki, bransoleta, kabłączki skroniowe, pierścionki taśmowe, paciorki odkryto na cmentarzysku kultury wielbarskiej w Jordanowie. Cmentarzysko było użytkowane około III w. n.e. Przedmioty są przechowywane w Muzeum Regionalnym w Świebodzinie.

Gemma z wizerunkiem cesarza Gordiana III – odkryta w 1954 r. na międzyrzeckim zamku. Jest wykonana z karneolu, czyli półszlachetnego kamienia zwanego także krwawnikiem. Na jej awersie znajduje się podobizna cesarza Gordiana III, który panował w latach 238-244 n.e. Zachowały się tylko dwie gemmy z podobizną tego władcy. Jedna znajduje się w londyńskim British Museum, a druga w Muzeum Ziemi Międzyrzeckiej im. Alfa Kowalskiego.

Srebrne talary – znalezione przy szkielecie młodej kobiety w zielonogórskiej Ochli. Prawdopodobnie kobieta uciekła z objętego epidemią dżumy miasta w czasie wojny 30-letniej (1618-1648). Monety mogły stanowić posąg zmarłej. Są przechowywane w Muzeum Archeologicznym Środkowego Nadodrza w Zielonej Górze z siedzibą w Świdnicy.



*Hugo Schmidt – zdjęcie ze zbiorów Muzeum Ziemi Lubuskiej
w Zielonej Górze*

Hugo Schmidt

Urodził się 7 stycznia 1866 w Radmannsdorfie (pol. Radomiłowice) na Dolnym Śląsku, zmarł 14 sierpnia 1933 r. w Grünbergu (pol. Zielona Góra). Ukończył Seminarium Nauczycielskie w Reichenbach im Eulengebirge (pol. Dzierżonów). Pracował jako nauczyciel w szkołach grünberskich, był radnym i archiwariuszem miejskim. Interesował się historią Śląska. W 1922 r. z okazji jubileuszu 700-lecia miasta nad Złotą Łączą napisał monumentalną monografię *Geschichte der Stadt Grünberg, Schles.[ien]*, liczącą 1119 stron oraz omówienie blisko tysiąca dokumentów dotyczących dziejów miasta. Jest autorem innych prac historycznych. Jako entomolog odkrył i oznaczył kilka gatunków owadów.

ZAGADKA ZNAD ŻŁOTEJ ŁĄCZY

Rozmowa z Hugonem Schmidtem,
autorem najobszerniejszej historii Grünberga

– Zanim poproszę pana o wyjaśnienie, dlaczego w 2022 roku Zielona Góra powinna świętować swoje 800-lecie, proszę odpowiedzieć na pytanie: czy wiadomo, kiedy pojawił się pierwszy człowiek na wzgórzach zielonogórskich?

– Tego nie wiem i nie znam nikogo, kto mógłby na to pytanie odpowiedzieć. Teoretycznie powinien to zrobić archeolog, tyle że Grünberg (pol. Zielona Góra) nie miała szczęścia do pogłębionych badań archeologicznych. Archeologia jest młodą nauką, na dobrą sprawę rozwijającą się od XVIII wieku, kiedy niemiecki znawca antyku Johann Winckelmann rozpoczął wykopaliska w Pompejach i Herkulanum. Potem genialny dyletant Heinrich Schliemann przekonał czytelników Homera, że starożytna Troja istniała w Azji Mniejszej. W moich czasach archeolodzy prowadzili prace badawcze tam, gdzie jakiś amator przypadkowo znalazł coś i o tym dowiedziała się policja, pastor czy nauczyciel. Z badań Ottona Dobrindta w okolicach Wojnowa wynika, że ludzie byli tam około 8300 roku przed naszą erą. A to zaledwie trzydzieści kilometrów od Grünberga. Podczas prac wykopaliskowych w okolicy Kargowej natrafiono na fragmenty przedmiotów, którymi posługiwali się łowcy reniferów. Można więc przyjąć, że noga pierwszego człowieka stanęła na wzgórzach zielonogórskich w epoce kamienia. Potwierdza to neolityczny toporek kamienny znaleziony w 1911 lub 1912 roku w okolicy cmentarza żydowskiego.

– Kiedy w 2009 roku prowadziłem wywiad-rzekę z ostatnim spośród pierwszych archeologów zielonogórskich, doktorem Andrzejem Marcinkianem, powiedział, że miejsca szczególnie penetrowane przez badaczy berlińskich znajdowały się na wschodnich Łużycach, między Gubinem a Żarami.

– Ich zainteresowanie wynikało z tego, że w 1872 roku podczas wyćieczki na Dolne Łużyce berlińczyk Rudolf Virchow zwrócił uwagę na wyroby ceramiczne wyraźnie różniące się od znanych wcześniej. Nazwał je wytworami typu łużyckiego, co inni uczeni podnieśli do rangi kultury łużyckiej. Mniej więcej w tym samym czasie po obu stronach Nysy rozpoczął badania profesor Carl Schuchhardt z Berlina. Największy sukces odniósł w okolicach Wiciny i Starosiedla, dokąd sprowadziły go informacje policyjne, że miejscowa ludność znajduje fragmenty przedmiotów z brązu i żelaza.

– Czy profesor Schuchhardt był tym archeologiem, który odkrył skarb scytyjski na polu koło Witaszkowa?

– Przypomina pan znalezisko z 1882 roku. Podczas prac polowych w Vetttersfelde miejscowy rolnik w dwóch miejscach natrafił na skarb. Zdaniem berlińskiego archeologa Adolfa Furtwänglera, który badał znalezisko, było to ponad dwadzieścia przedmiotów wykonanych ze złota, wszystkie z wyraźnie scytyjskimi formami zdobienia.

– Scytowie to lud koczowniczy żyjący między Altajem a dolną Wołgą od VIII do końca VI wieku przed Chrystusem. Skąd ślady ich obecności nad Nysą?

– Scytów można porównać z Tatarami, którzy w 1241 roku rozbili wojska piastowskie pod Legnicą. Wszystkie plemiona żyjące wokół Morza Czarnego miały ich dość, bo to był lud niewiarygodnie bitny i grabieżczy. W VI wieku przed naszą erą zajęli Kotlinę Karpacką, skąd wyprawiali się na Nizinę Śląską. Stamtąd zaatakowali gród w Wicinie, regionalne centrum ówczesnego życia społecznego, coś w rodzaju stolicy protopaństwa.

– Wróćmy na wzgórze zielonogórskie.

– Więcej znalezisk z cmentarzysk kultury łużyckiej dotyczy okolicznych miejscowości niż Grünberga. Do najciekawszych należą naczynia gliniane odkryte w dwóch kurhanach w okolicy strzelnicy

sportowej, gdzie doktor Martin Klose, kierownik zielonogórskiego muzeum, prowadził wykopaliska. W 1882 roku przypadkowo odkryto cmentarzysko ciałopalne kultury łużyckiej w lesie niedaleko Gęsniaka. W 1902 i 1907 roku także prowadzono badania archeologiczne, niestety, nie dotarłem do sprawozdania z ich przebiegu. Wiem tylko tyle, że uzyskane tam zabytki przechowywano w zbiorach wrocławskiego Muzeum für Kunstgewerbe und Altertümer.

– Dlaczego przechowywano je we Wrocławiu, a nie w Zielonej Górze?

– Zielonogórskie muzeum powstało dopiero w 1922 roku. Pierwszy projekt jego utworzenia powstał na początku XX wieku zaraz, a może jeszcze przed otwarciem wystawy pamiątek historycznych, co miało miejsce w magistrackiej sali zebrań 23 lutego 1909 roku. Były to przedmioty zgromadzone przez miejskiego architekta Alberta Severina. Tuż przed oficjalnym uruchomieniem ekspozycji w 1922 roku doktor Klose występował do placówek muzealnych we Wrocławiu o zwrot znajdujących się tam pamiątek zielonogórskich, niestety bezskutecznie. O wiele bardziej przyjaźnie byli nastawieni kolekcjonerzy prywatni i instytucje niezwiązane wprost z muzealnictwem. Na przykład tajny radca doktor Herrmann Liffel przekazał muzeum dwa kamienie hańbiące, wykonane z piaskowca, połączone łańcuchem, ważące razem 12 kilogramów. W XVI wieku nosiły je kobiety ukarane za plotkowanie, swarliwość i rzucanie potwarzy na kupców. Drugi taki komplet znajduje się w zbiorach muzeum techniki we francuskiej Miluzie.

– Po upadku kultury łużyckiej w środkowej Europie nastąpił okres lateński, po nim rzymski. Co z tamtych lat zachowało się na zielonogórskich wzgórzach?

– Badacze twierdzą, że jeszcze w I wieku starej ery doszło do ograniczenia osadnictwa nad środkową Odrą. Proszę nie pytać dlaczego, ponieważ ta kwestia ciągle czeka na wyjaśnienie.

– Żadnych domysłów?

– Nie spotkałem wiarygodnej hipotezy w literaturze naukowej. Może nastąpiło ochłodzenie klimatu.

– Nawet ruchliwi Rzymianie nie docierali na te ziemie?

– Na pewno docierali kupcy z południowej Europy. O, to powinno zaciekawić zielonogórzan, latem 1919 roku w pobliżu browaru podczas robienia wykopów pod wodociąg robotnicy natrafili na skarb numizmatyczny. Ile było monet, niestety, dokładnie nie wiadomo. Podobno blisko 700.

– Nie policzono ich?

– Gdy wiadomość o skarbie dotarła do ratusza, po znalezisku nie było śladu. Ci, którzy wykopali numizmaty, sprzedali je zbieraczom w Berlinie i Wrocławiu. Przeprowadzone osiem lat później śledztwo wykazało, że na skarb składały się między innymi monety cesarza rzymskiego Septymiusza Sewera z II stulecia nowej ery, antoniany jednego z jego następców Gordiana III i drachmy aleksandryjskie. W tym samym roku, kiedy prowadzono śledztwo dotyczące skarbu z okolic browaru, w pobliżu kościoła Świętej Jadwigi znaleziono srebrną monetę wybitą w połowie III wieku w czasach imperatora rzymskiego Filipa I Araba.

– Po wielkiej wędrówce ludów germańskich upadło imperium rzymskie. VI wiek to koniec wędrówek ludów i początek osadnictwa słowiańskiego. Skąd przybyli Słowianie do Europy?

– Jest wiele hipotez i dopóki sprawa ta definitywnie nie zostanie wyjaśniona, nikt poważnie traktujący naukę nie uzna, że Słowianie mają cechy indoeuropejskie, a ich prakolebką jest Azja Wschodnia. Słowianie zasiedlili częściowo środkową i południową Europę oraz wschodnią w całości. Na zachodzie jeszcze w VIII stuleciu granica między ziemiami germańskimi i słowiańskimi sięgała Łaby, Menu, Dunaju. Z biegiem lat zachodnie terytoria Słowian zaczęły się kurczyć na rzecz Germanów wschodnich.

– Do końca pierwszego tysiąclecia władcy niemieccy zajęli ziemie po lewej stronie Odry i Nysy. Po prawej formowało się państwo Mieszka I. Historia wspomina o bitwie pod Cedynią w 972 roku między wojami Mieszka i Hodona, a niewiele mówi o wojnie Piasta z Czechami.

– Jest hipoteza, że pod koniec pierwszego tysiąclecia Śląsk należał do Czechów. W Kronice Thietmara można natknąć się na

informację, z których wynika, że czeski książę Bolesław II zaatakował Mieszka I, żądając zwrotu utraconego terytorium. Czy na pewno chodziło o ziemie śląskie? A może na Śląsku istniała państwowość niezależna od Czechów i ją opanował Mieszko I? Czyżby chodziło o państwo stworzone przez Dziadoszan, którzy mogli zajmować terytoria aż po Wartę? Nie pozostaje nic innego, jak czekać na poparte dowodami stanowisko archeologów w tej sprawie.

– Co wiadomo o osadnictwie w okolicy współczesnej Zielonej Góry?

– Domyślałem się, że interesuje pana odpowiedź na pytanie, co dało początek lokacyjnemu miastu.

– Tak.

– Proszę nie oczekiwać ode mnie naukowego wykładu. Owszem, archeolodzy coś znaleźli i wypowiedzieli swoje zdanie, ale to na razie za mało, żeby powiedzieć jak naprawdę było. Ich zdaniem pierwsza osada słowiańska o charakterze rolniczym była w okolicy Ceglanej Góry. Spotkałem określenie tego miejsca jako Ceglane Wzgórze, ale to tylko kwestia tłumaczenia z niemieckiego na polski.

– Znam wyniosłości zielonogórskie, a nie wiem, gdzie jest Ceglane Wzgórze czy Ceglana Góra.

– 23 marca 1906 roku w konserwatywnym dzienniku „Niederschlesisches Tageblatt” z okazji Świąt Wielkiej Nocy ukazał się tekst tej treści: „Przed około 1000 lat Śląsk znajdował się pod polską władzą. My grünberczycy przypominamy sobie z tamtych czasów pewien kamień leżący na tak zwanej Ceglanej Górze, na którym widnieje napis *Zielona gora, der grüne Berg*. Temu wzgórzowi właśnie miasto zawdzięcza swoją nazwę – Zielenberg”. W 1841 roku pastor Otto Wolff wydał pierwszą swoją książkę dotyczącą historii miasta. W niej odnosi się do nazwy. Jego zdaniem nastąpiło fonetyczne przesunięcie samogłosek. Zielenberg, co w niemieckim niczego nie oznacza, zostało zastąpione wyrazem Ziegelberg, czyli Ceglana Góra. W moich czasach miejsce to bywało nazywane Wzgórzami Winnymi.

– Mówi pan o miejscu, gdzie w 1818 roku August Grempler, właściciel wytwórni win musujących i winnic, postawił

dommek? Gdzie później powstała wykwintna restauracja Palmiarnia i skąd jest najpiękniejszy widok na miasto?

– Są dowody na to, że wspomniana jako Zielenberg osada o charakterze rolniczym istniała nie na górze, a u jej podnóża, bliżej potoku Złota Łącza, skąd mieszkańcy czerpali wodę. Jest to rejon między ulicą Kupiecką i placem Matejki. Archeolodzy wskazali miejsce, gdzie stał kościół Świętego Jana, który pierwszy raz spalił się w 1582 roku, odbudowany w 1652 znowu spłonął. Za kościołem był cmentarz Gottes Acker. Jediną pamiątką po tamtych czasach jest fragment murów pozostałych przy ulicy Podgórnej.

– Czy potwierdza pan, że niemiecka nazwa Grünberg wywodzi się z polskiego określenia osady rolniczej Zielona Góra?

– Jest to możliwe. Bardziej możliwe jest jednak to, że niemiecka nazwa pochodzi od rodu Grünbergów.

– Skąd się oni wzięli nad Złotą Łączą?

– Piastowski władca dzielniczy obejmującej Śląsk i Ziemię Lubuską, Henryk Brodaty, ożeniony z Jadwigą, późniejszą świętą Kościoła katolickiego, księżniczką wywodzącą się z Bawarii, prowadził akcję kolonizacyjną. Już jego ojciec Bolesław Wysoki uznał to za ważny sposób zagospodarowania dotąd mocno zalesionego terytorium. Wspomniany pastor Wolff w kolejnej książce o mieście, wydanej w 1848 roku, podaje, że w czasach księcia Brodatego członek rodu Grünbergów uzyskał przywilej założenia miasta i sprowadzenia osadników. Za namową dworu śląskiego, a może nawet samej księżnej Jadwigi, sprowadził kolonizatorów z południowych Niemiec, z Frankonii, słynącej z uprawy winorośli i sukiennictwa. Tą hipotezą Wolff wyjaśniał, dlaczego mieszkańcy miasta zajmowali się produkcją wina i sukna.

– W 1900 roku miasto uroczyście obchodziło 750-lecie istnienia miejscowych winnic, co oznaczało, że pierwszy krzew posadzono w 1150.

– Część historyków uważa, że Henrykowie Brodaty i Pobożny kontynuowali kolonizację zapoczątkowaną przez swoich poprzedników na tronie śląskim. Że poszli tropem króla Węgrów Gejzy II, który mieszkańcom przeludnionych terenów nad górnym Renem dał

możliwość osiedlenia się w Siedmiogrodzie. Wedle tej hipotezy pierwsi koloniści napłynęli na ziemię śląską w połowie XII wieku. Była to niezwykle ruchliwa ludność walońska i flamandzka, której jedna część znała zasady uprawy winorośli, drugiej nieobca była sztuka tkacka. Czy tak było, tego pewnie nigdy się nie dowiemy. Nie sądzę, żeby gdzieś zachował się jakikolwiek dowód, kiedy posadzono pierwszy krzew winorośli i czy na pewno zrobił to przybysz znad górnego Renu.

– Słyszałem jeszcze inną wersję dotyczącą początków uprawy winorośli. Że stało się to za sprawą zakonników.

– W 1217 roku na prośbę swojej żony Jadwigi Henryk Brodaty ufundował klasztor augustianów w Nowogrodzie Bobrzańskim. W rzeczywistości chodziło o kanoników regularnych żyjących według reguły świętego Augustyna. W 1278 roku zostało wydzielone księstwo żagańskie. Pierwszym władcą został Przemko, najmłodszy syna Konrada I, księcia głogowskiego. Nie wiadomo, czy za namową Przemka, czy kogoś z zarządu klasztoru, w 1284 roku augustianie postanowili, że ich siedziba będzie w książęcym Żaganiu. Zanim to się stało, dość szeroko rozwinęli swoją działalność duszpasterską. Do sprawowania mszy było im potrzebne wino, a że klimat okolic położonego na wzgórzach Grünberga był łaskawy, przekonali mieszkańców do uprawy winnych latorośli i produkcji wina. Związana z zakonnikami wersja dotycząca początków zielonogórskiego winiarstwa jest prawdopodobna.

– W najstarszych dokumentach jest mowa o miejscowościach Gruninberg i Grunenberch.

– W akcie z 5 marca 1302 roku zostało użyte „in territorio Grunenbergensii”. W dokumencie z 1310 roku jest mowa o „civitas Gruninbergensii”. Widziałem czternastowieczną mapę dystryktów w księstwie głogowskim, gdzie występuje „Grunenberg”. Wśród miast przyjętych w 1329 roku w lenno przez Henryka Wiernego od Jana Luksemburskiego, króla Czech i Polski, znajdował się „Grunemberch”. W brewe papieża Grzegorza XI z 1376 roku jest mowa o „parochialis Grunicberge et Silesiae”. Książę Henryk VIII Wróbel tytułował się „princeps Grunenbergensii”.

– W miejscu osady Zielona Góra, jak podaje Wolff, powstało miasto Grünberg?

– Niezupełnie tak. Osada rolnicza była po południowo-wschodniej stronie Złotej Łączy, gród o charakterze targowym, rozsiadł się na zachodnim brzegu rzeki. Powiedziałem wcześniej, że jedna z hipotez dotyczących nazwy miasta przyjmuje, że pochodzi ona od rodu Grünbergów. To bardziej legenda niż cokolwiek prawdy. Bo może jednak miasto lokacyjne wzięło swoją nazwę od osady rolniczej Zielona Góra. Wgłębiając się w przeszłość miasta, spotykałem dowody urzędowe z nazwą brzmiącą po polsku. W 1641 roku król polski Władysław IV Waza wystawił dokument dla kupców z Zielonej Góry. W 1887 roku warszawski tygodnik „Bluszcz” opublikował artykuł *Winobranie w Zielonogórze na Szlązku*. Mnie to nie zaskoczyło, tym bardziej że każdy język stara się dopasować nazewnictwo obce do swoich potrzeb. Wedle języka polskiego niemiecki München to Monachium, po angielsku – Munich, po włosku – Monaco. Na Dresden Polacy mówią Drezno, na Leipzig – Lipsk. Położone niedaleko Kolonii, założone przez Celtów Aquae Grani lub Aquisgranum, dla Niemców jest Aachen, dla Holendrów – Aken, dla Francuzów i Belgów – Aix-la-Chapelle, dla Polaków – Akwizgran.

– Wracam do początku naszej rozmowy. Skoro w 1922 roku Grünberg świętowało swoje 700-lecie, to czy 100 lat później, czyli w 2022 Zielona Góra powinna obchodzić 800-lecie?

– Otto Wolff podał, że miasto zostało założone w 1222 roku. Prawdopodobnie powtórzył to po Johannie Johnie, który w swojej kronice wydanej w 1816 roku zaznaczył, że „pierwsi Niemcy przybyli na te tereny dopiero po 1163 roku”. Ten dziejopis stwierdził, że „większość kronik jako rok powstania miasta podaje 1222, inne z kolei 1321”. John mógł znać kronikę pastora Johanna Nippego z pierwszej połowy XVII stulecia, która była bardziej opisem przekazów historycznych i relacji niż zbiorem dokumentów. Podobnie w 1900 roku postąpił kolejny autor kroniki miasta August Förster.

– Pan jest autorem najobszerniejszej, mam na myśli przede wszystkim liczbę stron, monografii miasta.

– Nie jest to moja pierwsza książka o dziejach Grünberga. W 1911 roku wydałem rzecz o mieście i powiecie pod koniec XVIII wieku,

a cztery lata później coś w rodzaju podręcznika dla dzieci o przeszłości miasta. Ta, o której pan wspominał, rzeczywiście jest najobszerniejszą pracą dotyczącą dziejów Grünberga, poczynając od osady pod Ceglana Górá na prawym brzegu Złotej Łączy. Książka liczy 1119 stron. Dodałem do niej aneks w postaci omówienia coś 950 dokumentów z historii miasta w latach 1302-1740, pochodzących z miejscowego archiwum.

– Przeglądając książkę, doszedłem do wniosku, że pan korzystał z wcześniejszych prac dotyczących historii miasta, Śląska i Ziemi Lubuskiej.

– Zgadza się. Pełnymi garściami czerpałem z kroniki Samuela Reichego, pochodzącej z przełomu XVIII i XIX stulecia, odkrytej dopiero w 1902 roku, a pisanej jedną ręką, w której autor przedstawił przeszłość Grünberga od 1629 do 1795 roku. Jednak najbardziej przydatna okazała się praca pierwszego kronikarza - pastora Johanesa Nippego, zapoczątkowana wpisami w 1609 roku i prowadzona aż do śmierci autora w 1653. Po przejrzaniu dzieła Augusta Förstera z 1900 roku doszedłem do wniosku, że jest ono najbliższe temu, co miałem zamiar napisać. Ale i byłem krytyczny wobec pracy Förstera. Uznałem, że trzeba oddzielić przekazy niezwyfikowane od materiału historycznego. Jako archiwariusz miałem możliwość dotarcia do wcześnie nieznanych akt i materiałów. Oczywiście przeanalizowałem i inne poza wspomnianymi opracowania rękopiśmienne oraz wydane drukiem.

– Gdyby w 2022 roku władze Zielonej Góry chciały przekonać mieszkańców, że miasto ma 800 lat i że jest to okazja do świętowania, na jaki dokument powinny się powołać?

– Poza stwierdzeniami zawartymi w książkach o przeszłości Grünberga nie znam żadnego dokumentu, z którego wynika, że rok 1222 oznacza początek lokacyjnego miasta. Może taki akt istniał, może dotarł do niego Johannes Nippe i może dokument uległ zniszczeniu. Trzeba wziąć pod uwagę to, że w średniowiecznym mieście często wybuchały pożary. Drewniany ratusz miejski spalił się w 1456 roku. Kolejne pożary były w 1582, 1627, 1651. Wymieniam jedynie te pożogi, które odnotowali kronikarze.

– Czy dotarł pan do źródeł wskazujących, kiedy powstało miasto?

– Miasto istniało przed 5 marca 1302 roku. Potwierdzenie tego znajduje się w dokumencie, z którego dowiadujemy się o darowiźnie księcia Henryka III Głogowskiego wsi Jędrzychów jako leżącej „in territorio Grunenbergensis” oraz innego dokumentu - młodszego o osiem lat, a wspominającego o mieszczanach. Może to oznaczać, że na początku XIV stulecia Grünberg był ośrodkiem administracyjno-sądowym, ustanowionym na mocy prawa saskiego lub magdeburskiego.

– Czyli przed 1302 rokiem osada targowa nad Złotą Łączą stała się miastem lokacyjnym?

– Takie informacje spotkałam w kronikach Reichego, Nippego, Johna, Förstera. Niestety, nie widziałem potwierdzenia w postaci dokumentów. W części pierwszej mojej historii miasta zamieściłem jako dokument numer 1 materiał ikonograficzny pisany ręcznie z 29 czerwca 1310 roku. Jest to umowa kilku miast leżących w księstwie głogowskim, dotycząca ścigania rabusiów, podpalaczy i przestępców porywających kobiety. Czy wtedy Grünberg miał prawa miejskie? Obecność jego przedstawicieli wśród podpisujących ów dokument może świadczyć o tym, że był ośrodkiem miejskim. Potwierdzenie charakteru miejskiego znajduje się w dokumencie wydanym 28 lutego 1312 roku przez kancelarię księstwa głogowskiego, trzy lata po śmierci Henryka III. Jest w nim mowa o podziale księstwa między synów księcia. Spotkałem informację, że właśnie ten władca lokował Grünberg na prawie niemieckim. Czyli założycielem jest Henryk Brodaty, książę śląski.

– Polski badacz Władysław Korcz, powołując się na twierdzenia znanych sobie historyków, wysuwa tezę, że Zielona Góra mogła otrzymać prawa miejskie w latach 1265-1270, w 1315 lub w 1323 roku. Sugeruje, że ten ostatni rok jest najbliższy prawdy.

– Gdyby był dokument, profesor Korcz nie miałby wątpliwości. Skoro Henryk Brodaty w 1253 roku nadał Głogowowi prawa magdeburskie, a już było to miasto ukształtowane przestrzennie, to można przyjąć, że identyczna jurysdykcja dotyczyła i innych ośrodków

leżących w księstwie glogowskim. Mówię o Krośnie, Gubinie, Nowogrodzie, Żaganiu, Kożuchowie, Szprotawie. Wtedy istniała zasada, że miasta powinny być oddalone od siebie o dwadzieścia, trzydzieści kilometrów. I jeszcze jeden dowód, może najmniej przekonujący, że miasto powstało w XIII stuleciu. Jest nim archaiczny kształt rynku: wydłużony, otoczony domami.

– Jaki wpływa z tego wniosek?

– Ze względu na brak dokumentów potwierdzających konkretną datę nadania praw miejskich, nie należy odrzucać roku 1222 jako tego, kiedy położona nad Złotą Łączą osada stała się miastem. Nie należy też mieć pewności co do roku 1323 jako tego, w którym Grünberg otrzymał lokację na prawie niemieckim.

– Kiedy pan zaczął spisywać dzieje miasta, które ukazały się jako książka w 1922?

– 1 kwietnia 1902 roku z rodziną zamieszkałem w Grünbergu przy Krautstrasse 8. Tam w czasie wolnym od pracy w szkole zacząłem pisać historię miasta. Została wydana w miejscowej drukarni Levysohna i rozsprzedana wśród mieszkańców miasta podczas jubileuszu 700-lecia. Po jej ukazaniu się Fritz Ohnesorge, autor zbioru dokumentów źródłowych z 1903 roku, stwierdził, że „zaspokoiliśmy głód wiedzy dotyczący przeszłości naszego miasta”. Moja praca dotyczyła dziejów Grünberga do 1740 roku. Ciąg dalszy, do 1933 roku, postanowiłem przedstawić w drugiej części. Mimo że rzecz sumiennie wykonałem, nie wyszła drukiem.

– W 2011 roku ukazał się pierwszy tom *Historii Zielonej Góry* pod redakcją rodowitego zielonogórzanina, profesora Uniwersytetu Zielonogórskiego, Wojciecha Strzyżewskiego. We wstępie prezydent miasta Janusz Kubicki napisał „Schmidt był zielonogórskim nauczycielem i archiwistą. Jego książka do dziś jest skarbnicą wiedzy o przedwojennym Grünbergu. Zwłaszcza że autor miał dostęp do archiwalnych dokumentów, które uległy zniszczeniu podczas II wojny światowej”.

– Dziękuję za te słowa.

– A ja dziękuję za rozmowę.

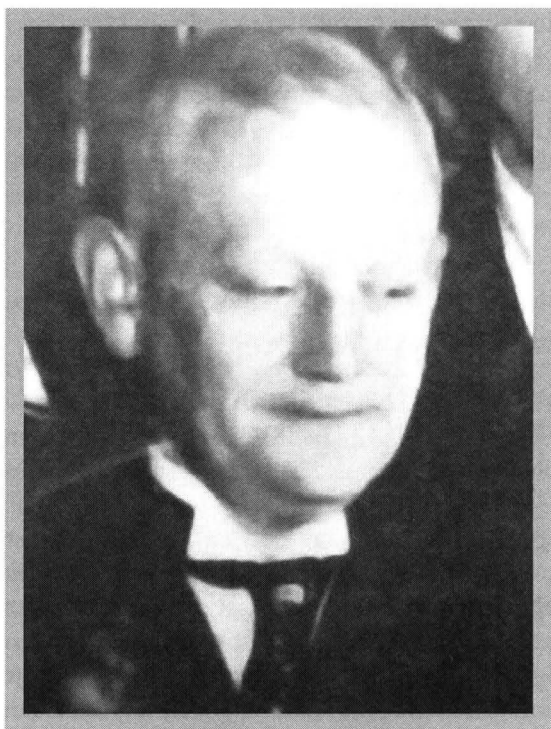
Mieszkańcy Grünberga / Zielonej Góry

Rok	Liczba
1313	– 800
1314	– 100
1349	– 200
1480	– 2000
1497	– 600
1625	– 10 000
1631	– 5000
1680	– 550
1740	– 3494
1760	– 4510
1787	– 6461
1843	– 10 405
1885	– 14 395
1900	– 20 983
1910	– 23 168
1925	– 125 221
1939	– 26 076
1946	– 15 738
1950	– 31 134
1955	– 39 443
1960	– 54 261
1965	– 62 844
1970	– 73 156
1975	– 84 230
1980	– 109 926
1985	– 100 000
2000	– 118 786
2005	– 118 221
2010	– 117 669
2015	– 136 762

Pozostałe Zielone Góry w Polsce

* Zielona Góra – wieś kaszubska w gminie Lubichowo, powiat starogardzki, województwo pomorskie. Najstarsza wzmianka o wsi pochodzi z 1373 r. Zamieszkała przez 214 osób.

- * Zielona Góra – wieś w gminie Koluszki, powiat łódzki wschodni, województwo łódzkie. Dawniej była kolonią w gminie Gałkówek.
- * Zielona Góra – część wsi Niekłan Mały w gminie Stąporków, powiat konecki, województwo świętokrzyskie.
- * Zielona Góra – przysiółek wsi Szymonków w gminie Wołczyn, powiat kluczborski, województwo opolskie.
- * Zielona Góra – osada leśna w gminie Olsztyn, powiat częstochowski, województwo śląskie.
- * Zielonagóra – wieś w gminie Obrzycko, powiat szamotulski, województwo wielkopolskie, zamieszkała przez około 650 mieszkańców. Wzmiankowana po raz pierwszy w 1757 r.



Fritz Buchholz – zdjęcie z archiwum Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wielkopolskim

Fritz Buchholz

Urodził się 16 września 1894 w Landsbergu an der Warthe (pol. Gorzów Wielkopolski), zmarł 21 czerwca 1945 r. w Dobiegniewie. Studiował prawo na uniwersytecie w Berlinie, chodził też na wykłady profesorów historii brandenburskiej. Po powrocie do Landsberga został urzędnikiem magistrackim, gdzie zajmował się wszystkim, co dotyczyło przeszłości miasta. Prowadził archiwum miejskie. W 1931 r. spowodował przeniesienie muzeum miejskiego do sal ratusza, gdzie według zasad naukowych przedstawił dzieje miasta. Podczas prac wykopaliskowych w Karninie odkrył cmentarzysko ludności cywilizacji łużyckiej. Napisał przewodnik po Landsbergu i powiecie. Spod jego pióra wyszło 58 większych publikacji.

MIASTO WZESZŁO NAD WARTĄ

Rozmowa z Fritzem Buchholzem,
landsberskim archiwistą i regionalistą

– Landsberski prawnik Theodor Burhardt do tego stopnia interesował się sadownictwem, że wyhodował wiele odmian drzew owocowych, wśród nich sławną Renetę Landsberską. Pan, również prawnik z wykształcenia, zajmował się archeologią.

– Archeologią zainteresowałem się podczas wakacji jeszcze jako gimnazjalista. Nie pamiętam okoliczności, w jakich dowiedziałem się, że pastor Felix Hobus poszukuje osób, które pomogą mu w prowadzeniu prac wykopaliskowych. Było to długo po tym, jak pastor jeszcze jako pomocnik proboszcza parafii w Deszcznie natrafił na figurkę antropomorficzną.

– Chodzi o posązek mniej więcej sprzed trzech tysięcy lat, zwany boginią z Deszczna, odkryty w 1901 roku na cmentarzysku cywilizacji łużyckiej. Miejsca jego znalezienia pastor Hobus nigdy dokładnie nie wskazał. Archeolodzy podejrzewali nawet, że ktoś inny natrafił na posązek i odstąpił go pastorowi. Kopia figurki uważanej za najbardziej wartościowy przedmiot sprzed wieków odkryty na Środkowym Nadodrzu znajduje się w Muzeum Lubuskim w Gorzowie.

– Swoim znaleziskiem pastor zainteresował brandenburskie stowarzyszenie antropologów i etnologów, a oryginał przekazał do muzeum archeologicznego w Berlinie. Zbiegło się to z serią wartościowych odkryć archeologicznych, szczególnie wokół Morza

Śródziemnego i zakładaniem muzeów sztuki starożytnej w Europie. Zaraz po ujawnieniu odkrycia przez pastora Hobusa, w miejscowościach wokół Landsberga pojawiło się wiele osób gotowych szukać skarbów. Archeologia stała się modna w Niemczech. Wykłady o dawnych cywilizacjach przez długie lata przyciągały tłumy berlińczyków do sal uniwersyteckich. Słuchając sławnego profesora Gustafa Kossinny pomyślałem, że skoro Felix Hobus znalazł posążek bogini niedaleko Landsberga, to i ja mógłbym prowadzić prace wykopaliskowe, tym bardziej że nabrałem doświadczenia u boku pastora.

– Chodziło panu tylko o odkrywanie przeszłości ziemi nadwarciańskiej czy o zarabianie na przedmiotach znajdujących na cmentarzyskach?

– Proszę nie podejrzewać mnie o tak niecne zachowanie.

– Obserwatorzy pana podróży zastanawiają się, dlaczego pojawiał się pan w miejscach, gdzie podczas prac polowych rolnicy natrafiali na skarby. Pan przedstawiał się jako muzealnik i je kupował. Jeśli znalezisko było większe, pan je dzielił po to, żeby pojedyncze egzemplarze sprzedąć, dorabiając sfałszowaną historię.

– Zdarzało się, że wymyślałem historyjki, ale proszę nie przypisywać mi tak niegodziwych kroków na masową skalę. To, co robiłem z szacunku dla odkryć archeologicznych, służyło umacnianiu wiedzy o pradziejach okolic Landsberga.

– Badacze berlińscy uważali figurkę pochodzącą z cmentarzyska w Karninie za zbyt podobną do posążka z Deszczna. Podejrzewali pana o wykonanie doskonałego fałsyfikatu.

– W 1926 roku na pewno prowadziłem wykopaliska w Karninie, co można sprawdzić w sprawozdaniach. Odkryłem 120 grobów popielnicowych ludności cywilizacji łużyckiej. Uważam, że to jednak była cywilizacja, a nie tylko kultura. Wszystko, co znalazłem w Karninie, opisałem i przedstawiłem do wiadomości osobom zainteresowanych pradziejami ziemi landsberskiej.

– Przedmioty odkryte przez pana i pastora Hobusa wskazują, że tereny nadwarciańskie były zamieszkałe przez społeczność

cywilizacji łużyckiej, która była tu około tysiąca lat przed Chrystusem. Czy wcześniej żaden człowiek nie postawił swojej stopy nad Wartą?

– Nie wiem, czy odkryte w Landsbergu i okolicznych miejscowościach znaleziska archeologiczne były przypadkowe, jak i nie mogę dać wielu przykładów potwierdzających, że były spodziewane. Na pewno nasiliły się po tym, jak pastor Hobus odkrył wspomnianą figurkę antropomorficzną. Wiele odkryć przypadkowych wiązało się z prowadzonymi pracami budowlanymi. Na przykład podczas robót ziemnych przy przebudowie landsberskiego teatru w latach 1925-1926 i w 1930 roku natrafiono na groby średniowieczne, cmentarzysko ludności cywilizacji łużyckiej i grób neolityczny z połowy trzeciego tysiąclecia starej ery. Na tej podstawie badacze doszli do wniosku, że pierwsi ludzie mogli być obecni w miejscu, gdzie wpada Noteć do Warty już nawet w mezolicie, kiedy Pradolinę Toruńsko-Eberswaldzką pokrywała tajga. Mogli to być przybysze z terenów naddunajskich. Może myśliwi polujący na renifery.

– O znaleziskach z epoki brązu pan wspomniał.

– Są one liczne, co świadczy o tym, że przed trzema tysiącami lat tereny nadwarciańskie nie były pustynią, jeśli chodzi o mieszkańców. Sporo jest też znalezisk w postaci żuźla żelaznego, a to wskazuje na umiejętność wytopu żelaza z rudy darniowej. To może świadczyć, że obszar był atrakcyjny pod względem osadniczym dla społeczności przynależnej do grupy górzyckiej w połowie ostatniego tysiąclecia poprzedniej ery. W czasach przedrzymskich i rzymskich tereny nadwarciańskie były liczniej zamieszkałe niż w pierwszym tysiącleciu po Chrystusie. Archeolodzy natrafili na ślady osad w Chwałęcicach, Karninie, Ciecierzycach, Ulimiu, Wieprzycach. Mogła tu mieszkać ludność miejscowa oraz przybyła z południa i wschodu.

– Wczesne średniowiecze? Pytam o mieszkańców Nadwarcia w pierwszym tysiącleciu.

– Badaczom nie udało się zbyt wiele ustalić, co tu się działo między okresem rzymskim a schyłkiem pierwszego tysiąclecia. Na podstawie nielicznych znalezisk nie można dojść do naukowych wniosków dotyczących osadnictwa.

– **A Santok?**

– Ze względu na doskonałe położenie, przede wszystkim obronne, w widłach Noteci i Warty był tam gród warowny przypuszczalnie przed VII wiekiem. Z badań wykonanych w latach 1932-1934, kiedy prowadzono regulację koryta Warty, wynika, że już za pierwszych Piastów gród miał status kasztelanii. Z pewnością odegrał wielką rolę w czasach, kiedy Mieszko I walczył z Pomorzanami. Nie czytałem *Kroniki polskiej* Galla Anonima, powtarzam więc za osobami znającymi historię Polski, że ów dziejopis nazwał warownię santoką „kluczem i strażnicą królestwa”. A gród obronny w Santoku był, trzeba tak to nazwać, solą w oku władców Marchii Brandenburskiej.

– **Stał na ich drodze ku ziemiom piastowskim i dlatego margrabia brandenburski Jan I zdecydował o budowie swojego grodu na wprost Santoka, po drugiej stronie rzeki?**

– (po dłuższym milczeniu) Zastanawiam się nad odpowiedzią. Chciałbym, żeby pan nie odebrał jej jako niemiecki punkt widzenia. Saram się naświetlić sprawę obiektywnie.

– **Nie Polacy weszli na terytorium zajmowane przez Niemców, żeby odebrać im domy. Pozbawić ich własności.**

– Słuszne stwierdzenie, chociaż nie do końca. W stosunkach polsko-niemieckich na przestrzeni wieków da się znaleźć przykłady, że Polacy też nie byli święci. Choćby pod Myśliborzem w 1278 roku, wcześniej pod Lubuszem, jeszcze wcześniej Chrobry zajął Łużycę. Przecież w 1399 roku podpisaniem układu w Kołczynie zakończyła się wojna głogowsko-landsberska. A czy margrabiowie brandenburscy nie składali hołdów lennych władcom Polski?

– **Od XVIII wieku w Polsce było powtarzane, że jak świat światem, Niemiec nie będzie Polakowi bratem.**

– Co dla jednego jest nieszczęściem, dla drugiego może być szczęściem.

– **Czy w tym miejscu, gdzie margrabia Jan I wyznaczył miejsce na nowy gród, istniała osada?**

– Czytałem w opracowaniach dotyczących średniowiecza, że w miejscu wskazanym przez margrabiego, na wzgórzach i między nimi, było rozrzuconych pięć osad rolniczych.

– **Pięć osad słowiańskich czy pięć germańskich?**

– Badania archeologiczne nie potwierdziły, czyje to były osady. W 1830 roku blisko centrum Landsberga odkryto skarb składający się z monet, co doprowadziło regionalnych historyków do sformułowania hipotezy, że w tym miejscu była osada targowa. Niestety brak innych dowodów na uznanie istnienia takiej osady.

– W 967 roku ziemia zwana lubuską należała do Piastów. Czy już wtedy Lubusz był jej tytularną stolicą, nie wiadomo. Na pewno w 1120 roku Bolesław Krzywousty inkorporował ją do swego królestwa i cztery lata później doprowadził do utworzenia biskupstwa lubuskiego. W 1231 roku cesarz Fryderyk II Hohenstauf nadał margrabiom brandenburskim Janowi I i Ottonowi III jako lenno zaodrzańską Marchię z księstwem pomorskim. O to terytorium także władcy łuzycy toczyli boje z Piastami.

– Po bitwie z Mongołami pod Legnicą, gdzie poległ władca Śląska i ziemi lubuskiej Henryk II Pobożny, dzielnica została mocno osłabiona. Do tego doszły walki między Piastami, co było na rękę Brandenburczykom. Do historii przeszedł szczególnie Bolesław Rogatka, książę legnicki i lubuski, który chciał być władcą całego Śląska, ale na drodze stanął mu książę wrocławski Henryk III. Aby zdobyć pieniądze na wojnę z bratem, w 1249 roku Rogatka zastawił ziemię lubuską arcybiskupowi magdeburskiemu Wilbrandowi. Ponieważ Piast nie wykupił ziemi lubuskiej, biskup sprzedał jej zastawioną część margrabiom Janowi i Ottonowi. W ten sposób została otwarta droga z Brandenburgii ku terytoriom zajmowanym przez piastowską Polskę.

– Od 1250 roku Brandenburgia była na ziemi kostrzyńskiej i kinieckiej, ale jeszcze nie tam, gdzie leży Gorzów. Ciągłe na drodze ku wschodniej Wielkopolsce stał gród w Santoku.

– Warownia w Santoku w kierunku północnym była bramą na Pomorze, w stronę wschodnią broniła dostępu do Wielkopolski. Nie

z Pomorzanami, a z Brandenburczykami Piastowie najczęściej toczyli boje o Santok. Gdy po śmierci Henryka Brodatego Brandenburczycy zajęli Santok, gród odzyskał jego syn Henryk Pobożny w 1239 roku, najpierw wygrywając bitwę pod Lubuszem. Czy znowu zajęli go Brandenburczycy, trudno ustalić. Na pewno margrabiowie Jan i Otton zachodzili w głowę, w jaki sposób mieć Santok na zawsze.

– I doszli do wniosku, że najlepszym wyjściem będzie ożenienie Konrada, syna margrabiego Jana, z Konstancją, córką księcia wielkopolskiego Przemysła I.

– Ponieważ w 1254 roku oboje mieli dopiero po dziewięć lat, wydanie Konstancji za Konrada w tym czasie nie wchodziło w rachubę, rodzice ich więc zawarli układ przedmałżeński. Posagiem Konstancji miała być kasztelania santocka, ale bez grodu w Santoku. Mimo że formalnie ślub młodej pary odbył się dopiero w 1260 roku, natychmiast po podpisaniu układu Brandenburczycy weszli na terytorium kasztelanii. A co się tyczy młodych, była przeszkoda: Konrad i Konstancja to praprawnukowie Mieszka Starego. Dlatego o wydanie zgody na zawarcie małżeństwa oba dwory zwróciły się do papieża. Aleksander IV polecił biskupowi magdeburskiemu udzielenie dyspensy, jako powód podając troskę o utrwalenie pokoju między władcami. Pokój trwał krótko. Pięć lat po ślubie Konrada i Konstancji Brandenburczycy zajęli warownię w Santoku. Gdy Wielkopolanie ją odbili, Brandenburczycy ponownie zaatakowali grodzian. Przechodzenie Santoka z rąk do rąk trwało do 1278 roku, kiedy odzyskał go na dłużej Bolesław II Pobożny.

– W tym czasie na wprost santockiego grodu, po północno-zachodniej stronie Noteci i na prawym brzegu Warty zaczął powstawać nowy gród, który od 19 maja 1946 roku jest Gorzowem Wielkopolskim. Akt lokacyjny, sporządzony po łacinie, prawdopodobnie zaginął podczas drugiej wojny światowej. Pamięta pan, jak wyglądał ten dokument i jaka była jego treść?

– Mam go jeszcze przed oczami. Gdy mi się udało przekonać nadburmistrza Ottona Gerloffa, że miejskie muzeum należy przenieść z piwnicy liceum przy Böhmstrasse (pol. ul. 30 Stycznia) do sal

ratuszowych przy Richtstrasse (pol. ul. Władysława Sikorskiego), urządziłem profesjonalną ekspozycję ułożoną chronologicznie i tematycznie. Wśród dokumentów znajdował się ten pierwszy, sporządzony ręką kapelana Heidenreicha w dniu świętych Procesjusza i Martyniana, 2 lipca 1257 roku. Jako świadków tego historycznego wydarzenia Heidenreich podał: Heinricha, cześnika ze Spandau, Heinricha z Snetlingen, Heinricha z Werben i Heinricha z Thenis. Na dokumencie znajdowała się pieczęć margrabiego brandenburskiego Jana I w zbroi i hełmie, z chorągwią w prawej ręce i z tarczą, na której był orzeł, w lewej. Dokument upoważniał Alberta z Luge do założenia miasta, które otrzymało łacińską nazwę Landisberch Nova. Nazwa z biegiem lat się zmieniała, aby ostatecznie zadomowić się jako Landsberg an der Warthe.

– Jaka była treść aktu lokacyjnego?

– Zaczynał się tradycyjnie od „W imię Świętej i Jedynej Trójcy”. Potem stało, że margrabia Jan daje pełnomocnictwo wiernemu Albertowi zwanemu z Luge, aby miasto Landisberch Nowy urządził w następujący sposób. „Każda trzecia część czynszu z parceli i wólk do niego będzie należała i także każdy trzeci denar z dochodów z sądownictwa. Przydzielamy naszemu miastu 104 wólki jako rolę i 50 wólk jako pastwiska, także od każdej wólki roli pół ćwierci monety brandenburskiej nam jako roczny czynsz będzie płacony, po upływie całkowitego zwolnienia od podatku, które trwać będzie od następnego święta Marcina przez dziesięć lat. Po upływie dziesięciu lat mają mieszkańcy miasta posiadać prawo Brandenburga i jak długo jego wolny od podatku czas trwać będzie, nie będą musieli płacić żadnego dodatkowego cła, potem jednak będą musieli się zadowolić cłami i podatkami takimi jakie obowiązują mieszkańców Brandenburga. Także rybołówstwo ma być na Noteci pół mili w górę i jedną całą w dół wspólne dla wszystkich, którzy mają na to ochotę. Wszystkie dochody od budynków na rynku w czasie wolnym od podatków mają służyć miastu, po tym jednak należy nam płacić dwa denary od każdego straganu, a sołtysowi jeden. Z reszty ma korzystać miasto. Tak samo ma sołtys otrzymywać третią część od wszystkich młynów na Kłodawie w obrębie miasta i ich pół. Wreszcie chcemy umocnić miasto do świętego Marcina płotami i rowami, a później solidniejszą palisadą i fosą. Oprócz tego nadajemy na

prawie lennym wcześniej wymienionemu sołtysowi 64 włóki poza wymienionym obszarem miejskim i uprawiamy go budować tam młyny i czerpać korzyści nie płacąc nam za to niczego”.

– Lokacja Landsberga niedaleko Santoka świadczyła o tym, że miasto miało być przeciwwagą dla piastowskiego grodu.

– Nie mam wątpliwości, że to był główny cel margrabiego Jana I. W akcie lokacyjnym przecież jest mowa o wzniesieniu fortyfikacji.

– Margrabia powtórzył metodę zastosowaną cztery lata wcześniej w innym miejscu Brandenburgii.

– O czym pan mówi?

– W 1253 roku Jan I zajął Lubusz, biskupią stolicę ziemi lubuskiej i najważniejsze miasto w księstwie. W tym samym roku lokował nadodrzański Frankfurt pomyślany jako przeciwwaga dla Lubusza.

– Słuszne spostrzeżenie. Frankfurt szybko stał się najważniejszym miastem po zachodniej stronie Odry, Landsberg rozwinął się jako wiodący ośrodek po stronie wschodniej. W połowie XVI wieku, po przeniesieniu stolicy Nowej Marchii z Myśliborza do Kostrzyna, Landsberg stracił na znaczeniu, co trwało krótko, bo po śmierci margrabiego Jana Hohenzollerna odzyskał dawną pozycję.

– Landsberg. Dlaczego taka nazwa miasta?

– Na północny wschód od Berlina leży Altlandsberg, założony w 1230 roku na mocy dokumentu tego samego władcy, który lokował Landsberg an der Warthe. Stamtąd, z ziemi barnimskiej, prawdopodobnie pochodzili pierwsi osadnicy.

– Czy miejsce, gdzie powstało miasto, wcześniej miało nazwę?

– Źródła nic o tym nie wspominają.

– A wiadomo, gdzie dokładnie powstała osada dająca początek miastu?

– Lokacyjne miasto miało kształt podkowiasto-trapezowaty, 400 na 600 metrów. Osią była droga prowadząca ze wschodu na zachód.

Od strony Santoka znajdowała się brama, a za nią wykształciło się przedmieście. Takich przedmieść i bram z czasem powstało więcej.

– **Jakie obowiązki margrabia powierzył Albertowi z Luge?**

– Był on zasadźcą, czyli pośrednikiem między margrabią i mieszkańcami. Jego zadania sprowadzały się do wytyczenia granic miasta, sprowadzenia fachowców i osadników, przydzielenia pól i łąk, wskazania miejsc do prowadzenia handlu. Albert był też pierwszym sołtysem, a ta funkcja nakładała na niego obowiązek pilnowania porządku i przewodniczenia sądowi ławniczemu.

– **Co wiadomo o Albercie zanim został zasadźcą?**

– Zapewne pochodził z rodu rycerskiego, o czym świadczy to, że otrzymał rozległe lenno nad Wartą. Może nawet był spokrewniony z margrabią Janem, ponieważ ten tytułował go *fidelis noster*. Być może jego mała ojczyzna znajdowała się niedaleko miasta Salzwedel w Starej Marchii, gdzie leży wieś Lüge.

– **Czy długo Albert sprawował wyznaczone funkcje?**

– Zmarł przed 1299 rokiem. Po nim zadania należące do landsberskiego sołtysa objął jego najstarszy syn, także Albert. Miał on do pomocy braci Tydekina, Jana i Mikołaja. Każdy z nich otrzymał prawo do czwartej części dochodów z młynów pod miastem i z miejskich czynszów łąnowych. Każdy administrował przydzielonym sobie okręgiem. Ten podział obowiązywał jeszcze do XVIII wieku.

– **Z czego utrzymywali się mieszkańcy miasta?**

– W akcie lokacyjnym była mowa o tym, ile pól i pastwisk należy do miasta. Mieszkańcy mieli prawo łowić ryby w Warcie. Mogli budować młyny na Kłodawce. Głównym źródłem ich utrzymania było rolnictwo i hodowla zwierząt oraz handel.

– **Miasto powstało w strefie granicznej. Jaki to miało wpływ na jego rozwój?**

– W 1278 roku margrabiowie Albrecht III i Otto IV zobowiązali sołtysa do budowy umocnień miejskich. Na ten cel kazali przeznaczyć dochody z landsberskich ogrodów i winnic.

– Nadal dochodziło do zatargów granicznych?

– Kroniki brandenburskie wspominały o napadach oddziałów wielkopolskich na wsie wokół Landsberga. Ze źródeł wiem, że w 1365 roku w grodzie panowali Dobrogost, Arnold, Holryk i Bartold von Ostenowie. Oni poddali Santok królowi Kazimierzowi Wielkiemu. Wtedy władcy Brandenburgii i Królestwa Polskiego zawarli pokój zwany landsberskim. Po śmierci króla Kazimierza Brandenburczycy opanowali Santok. Kolejnymi właścicielami zamku byli joannici, Polacy, ponownie joannici, a potem Krzyżacy. Po nich znowu Brandenburczycy aż do XX wieku.

– W 1319 roku zmarł bezpotomnie margrabia Waldemar, co oznaczało wygaśnięcie dynastii Askańczyków.

– Szczególnie po zachodniej stronie Odry rozpętała się walka o władzę. Po stronie wschodniej apetyt na rządy w Nowej Marchii miał książę pomorski Warcisław IV, spokrewniony z rodem askańskim. Jednak władzę w obu prowincjach przejęli Wittelsbachowie, a po nich Luksemburgowie. W imieniu Zygmunta Luksemburczyka rządy w Nowej Marchii sprawował wójt czy starosta Jan Vartemberk, Czech na dworze głogowskim. Król chciał sprzedać prowincję Polsce, ale do transakcji nie doszło. W 1402 roku kupili ją Krzyżacy. Gdy w 1415 roku Hohenzollernowie uzyskali władzę w Brandenburgii, rozpoczęli starania o Nową Marchię. Po czterdziestu latach zabiegów elektor brandenburski Fryderyk II Żelazny odkupił od Krzyżaków tę część prowincji. Do końca pierwszej wojny światowej Hohenzollernowie władali Brandenburgią, w składzie której była Nowa Marchia, a która potem weszła w skład terytorium Rzeszy.

– Dziękuję za rozmowę.

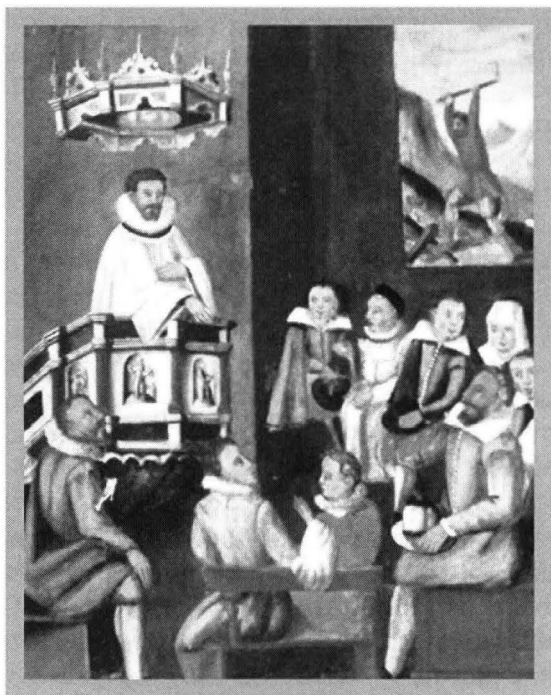
Mieszkańcy Landsberga / Gorzowa

Rok	Liczba
1585	– 4000(?)
1652	– 1249
1709	– 4040
1750	– 4171
1801	– 6155
1844	– 10 307
1849	– 12 079
1871	– 18 551
1890	– 28 065
1900	– 33 597
1905	– 36 934
1910	– 39 339
1919	– 40 264
1925	– 43 303
1930	– 45 940
1939	– 45 083
1944	– 59 560
1946	– 28 188
1950	– 31 292
1955	– 44 690
1960	– 56 058
1965	– 67 339
1970	– 76 281
1975	– 87 179
1980	– 105 900
1985	– 115 660
1990	– 124 285
1995	– 124 779
1999	– 126 408
2010	– 124 575
2014	– 124 274

Gorzów Śląski

Miasto leży w powiecie oleskim, należy do województwa opolskiego. Pierwsza wzmianka o nim pochodzi z 1241. Prawa miejskie

otrzymało w 1291 r. W 1750 r. miasto zostało wymienione po polsku jako Gorzowo i Landsberg po niemiecku. Od 1742 do 1945 r. wraz ze Śląskiem najpierw należało do Prus, potem do Niemiec. Zajmuje 18,68 km kw. Liczy 2537 mieszkańców. Herb miasta: w srebrnym polu tarczy późnogotyckiej jeleń czerwony zwrócony w prawo w skoku nad zielonym wzgórzem. Jest siedzibą władz gminy miejsko-wiejskiej.



*Pastor Stephan Holstein wygłaszający kazanie z ambony do wiernych –
ilustracja do przykazania „Pamiętaj, abys dzień święty święcił”
na parapecie empory zachodniej kościoła w Kłepsku*

Stephan Holstein

Urodził się w Züllichau (pol. Sulechów), zmarł także w Züllichau. Jego ojciec był kuśnierzem. Po studiach teologicznych na uniwersytecie we Frankfurcie nad Odrą pełnił posługę duszpasterską w rodzinnym miasteczku. Był m.in. diakonem i opiekunem biblioteki parafialnej w Züllichau. W latach 1603-1622 został proboszczem parafii w Klemzig (pol. Kłepsk). Pisał utwory literackie o treści religijnej i teksty uroczystych kazań. Brał udział w dysputach filozoficznych odbywanych we Frankfurcie. Po powrocie do Züllichau był archidiakonem.

BIBLIA W OBRAZACH

Rozmowa z pastorem Stephanem Holsteinem,
proboszczem parafii ewangelickiej w Klemzig

– Dlaczego ksiądz z promieniującego na okoliczne miejscowości miasteczka, jakim był Sulechów z archidiakonatem, został proboszczem wiejskiej parafii?

– Były co najmniej trzy tego przyczyny. Najważniejsza jest ta, i tylko o niej wolę mówić, że właściciele dóbr w pobliskim Klemzigu, mam na myśli czcigodnych Unruhów, do których również należały majątki w Bukowie i Kruszynie, zaproponowali mi pełnienie urzędu kaznodziejskiego. Wiązało się to z wykonywaniem zadań należących do proboszcza i administratora parafii ewangelickiej w obrządku augsburskim.

– Co ksiądz wiedział o Klępsku?

– Pyta pan o przeszłość wsi czy dzieje parafii i tamtejszego kościoła?

– Najpierw o wsi.

– Powtórzę to, czego dowiedziałem się ze starych ksiąg parafialnych. Było w nich, że od 1234 roku ziemia sulechowsko-babimojska znajdowała się we władaniu śląskich Piastów. Wcześniej musiała tu być słowiańska osada, ale o tym dziejopis nie wspomniał. Moim zdaniem już za Bolesława Chrobrego przebiegał tędy trakt handlowy z Łużyc do Wielkopolski, o czym świadczy charakterystyczna zabudowa osady określana jako ulicówka. Pod koniec XIII wieku już stał we wsi drewniany kościół zrębowy. Wtedy dobra należały do

komesa Jaktora, a Klemzig stał się sporą parafią obejmującą sąsiednie miejscowości. Kolejnymi właścicielami majątku byli Hannus de Calkrute i Friczo Treppelen. Postawiona za ich czasów zachodnia ściana nawy kościelnej przetrwa jeszcze setki lat. W dokumentach parafialnych jest mowa o tym, że do tutejszego kościoła sięgała władza duchowa cystersów z klasztoru w pobliskiej Obrze.

– Skoro aż tu sięgali cystersi, to wspomniany kościół z pewnością należał do katolików?

– Położony w diecezji poznańskiej, w archidiaconacie pszczewskim, na pewno był w rękach katolików. Czy na pewno cystersi administrowali tą parafią, nie udało mi się ustalić. Pewnie tak.

– A kiedy klępski kościół stał się świątynią ewangelicką?

– Pogranicze Śląska, Wielkopolski, Brandenburgii i Łużyc ze względu na zalesienie było słabo zasiedlone, toteż władcy ściągali tu osadników. Pochodzili oni głównie z przeludnionych północnych księstw niemieckich i z Bawarii. Z Bawarii pewnie dlatego, że stamtąd wywodziła się żona śląskiego władcy Henryka Brodatego, Jadwiga, święta Kościoła katolickiego. Obok wcześniej założonych wsi osadnicy zakładali swoje kolonie i folwarki. A że wyznawali religię katolicką, chodzili do tego samego kościoła, w którym modlili się polscy mieszkańcy wsi.

– Henryk Brodaty panował na początku XIII wieku. Wtedy Klępsk był wsią polską.

– Znowu troszkę przypomnienia przeszłości. W 1249 roku książę śląski i lubuski Bolesław Rogatka, mający fatalną opinię, uważany za zakałę szlacheckiego rodu Piastów, walczył ze swoim bratem Henrykiem o sprawowanie rządów w dzielnicy wrocławskiej. A że skarbiec księcia był pusty, na prowadzenie wojny zaciągnął pożyczkę u arcybiskupa magdeburgskiego. Zastawem była ziemia lubuska. Rogatka przegrał wojnę z bratem, a zastawione księstwo przeszło na własność arcybiskupa. Ten z kolei sprzedał je margrabiom brandenburskim, którzy już byli panami ziemi na północ od Lubusza. W ten sposób cała wschodnia część Środkowego Nadodrza znalazła się w ich posiadaniu i niebawem stała się Nową Marchią. W praktyce ziemia ta przechodziła z rąk do rąk. Źródła podają, że dopiero

w 1482 roku, na mocy układów z królem Czechów i Węgrów, Maciejem Korwinem, brandenburscy Hohenzollernowie stali się władcami całego terytorium lubuskiego.

– W 1517 roku augustiański mnich Marcin Luter przybił 95 tez do drzwi katedry wittenberskiej, wzywając teologów do dyskusji. Wśród nich była i ta, że jedynym autorytetem dla chrześcijanina jest Biblia. Stary i Nowy Testament jest najważniejszym prawem, jakie obowiązuje każdego chrześcijanina.

– Doktor Luter twierdził, że w Słowo Boże, niby w pieluszki, owinięty jest Chrystus. Pastor jako kaznodzieja powinien odkrywać w tych pieluszkach przemawiającego Boga. Ponieważ zaś właśnie przez Chrystusa przemówił Bóg najpotężniej, pastor powinien w całym Piśmie Świętym tego Chrystusa szukać i odsłaniać tak, aby mogli Go zobaczyć członkowie wspólnoty wyznaniowej. Bo czymże jest Biblia? Może legendą? Może wspomnieniem?... Nie. Biblia jest fundamentem, na którym opiera się Kościół. Jest miarą i gwarancją czystości zwiastowania chrześcijańskiego. Ale pana pewnie interesuje, kiedy nowa religia dotarła do Klemziga i jak została przyjęta przez mieszkańców?

– To też, lecz przede wszystkim dlaczego tak szybko została zaakceptowana w Brandenburgii?

– Proszę pamiętać o zasadzie obowiązującej w księstwach niemieckich. Mówi ona tak: czyja władza, tego religia. Elektorowie brandenburscy dość szybko przeszli na luteranizm. Panujący w Nowej Marchii margrabia Johann von Hohenzollern w 1538 roku w farze kostrzyńskiej przyjął komunię pod dwiema postaciami, co było równoznaczne z wyznaniem wiary ewangelickiej. Jeszcze wcześniej, bo w 1527 roku, nowa religia dotarła do Sulechowa. Kronikarze twierdzą, że było to pierwsze miasto w Brandenburgii, gdzie wprowadzono nową religię. W Klemzigu stało się to dopiero w 1576 roku, kiedy właściciel majątku i patron kościoła Gregor von Kalckreut zmienił wyznanie katolickie na luterzańskie. Proszę zauważyć, że między 1521 rokiem, kiedy oficjalnie zaczęła się reformacja, a 1576, kiedy pan Kalckreut przyjął *Formułę zgody*, przez co stał się ewangelikiem, minęło pół wieku. Był to okres, kiedy teolodzy, filozofowie, duchowni wyjaśniali w krajach niemieckich, jakie są zasady nowej

religii. Że jej celem jest połączenie pobożności z życiem codziennym. Bywało, że od poniedziałku do soboty ludzie zachowywali się tak, jakby wraz ze zdjęciem z siebie niedzielного odzienia, zdejmowali pobożność.

– **Byli katolikami tylko w niedzielę.**

– Nie tylko w Klemzigu tak się działo. Na to zwrócił uwagę doktor Luter. Dlatego uznał, że trzeba to zmienić przy pomocy mniej skomplikowanych zasad religijnych. Nie papież jest głową Kościoła, mówił, lecz Chrystus, jedyny pośrednik w zbawieniu. Matkę Jezusa trzeba szanować, ale nie czcić. To samo dotyczy świętych. Zadaniem duchownych jest przewodniczenie obrzędom religijnym i głoszenie kazań. W tym samym roku, kiedy pan Kalckreuth przyjął komunię pod dwiema postaciami, świątynia katolicka w Klemzigu stała się Domem Bożym ewangelików.

– **Odbyło się to pod przymusem czy katolicy oddali kościół dobrowolnie?**

– Jak już powiedziałem, obowiązywała zasada: czyja władza, tego religia. Ponadto, co jest bardzo ważne, a kto wie, czy nie najważniejsze, doktor Luter przełożył Biblię na język niemiecki. Wyszedł z założenia, że nie można być dobrym chrześcijaninem, jeśli się nie rozumie, czego Bóg oczekuje od chrześcijanina. Przekład Biblii był pierwszym bardzo ważnym zadaniem wykonanym przez doktora Lutra. Drugie dotyczyło kazań. Reformator przekonywał, żeby zamiast w niezrozumiałej dla prostych ludzi łacinie, duchowni zaczęli głosić kazania w języku codziennym.

– **A jaki był język codzienny w Kłepsku?**

– Kiedy objąłem parafię w 1603 roku, wszyscy posługiwali się niemieckim. Należy przyjąć, że język ten dotarł do Klemziga razem z pierwszymi kolonistami w XIII wieku. Później zaczął wypierać mowę polską i stał się obowiązującym w parafii. Zresztą nigdy nie słyszałem o kimś we wsi czy w folwarku, kto mimo że czuł się Polakiem, nie rozumiał mowy niemieckiej.

– **Czy ksiądz wie, kiedy ukazał się pierwszy przekład Pisma Świętego na język polski?**

– W średniowieczu tłumaczono fragmenty Starego i Nowego Testamentu na staropolski. Pierwsze pełne przekłady Biblii z hebrajskiego, aramejskiego i greckiego zaczęły się ukazywać w czasie reformacji. W 1563 roku wyszła Biblia brzeska, zwana Radziwiłłowską, była przeznaczona dla ewangelików rytu kalwińskiego. Prawie równocześnie ukazała się Biblia nieświeska Szymona Budnego przeznaczona dla arian. W 1632 roku wyszła drukiem Biblia gdańska dla luteran i kalwinistów. Polscy katolicy otrzymali cały przekład Starego i Nowego Testamentu z łaciny w 1561 roku. Bywa ono nazywane Biblią Leopolity lub Szarffenbergowską albo Krakowską. Do historii przekładów na potrzeby polskich katolików przeszło Pismo Święte z 1599 roku w tłumaczeniu z łaciny przez jezuitę Jakuba Wujka.

– Ksiądz był pierwszym ewangelickim duchownym w Kłępsku?

– Pierwszym w 1576 roku, z przerwą na pełnienie posługi w latach 1591-1595, kiedy sprawował urząd archidiakona w Sulechowie, był Baltasar Nevius. Swoją pracę w parafii zaczął od dostosowania świątyni katolickiej do wymogów obrządku ewangelickiego. Pierwszym jego zadaniem było umieszczenie w kościele pięknie wykonanej chrzcielnicy. Znajdują się na niej starannie dobrane sceny i cytaty biblijne. Pod słowami świętego Piotra „Panie! Dobrze nam tu być” znajduje się rok jej wykonania: 1581. Z inicjatywy pastora Neviusa do kościoła dostawiono murowaną zakrystię. Wzdłuż wewnętrznych ścian głównej nawy powstały drewniane, charakterystyczne dla świątyń ewangelickich empory. W 1593 roku, kiedy pastor Nevius został archidiakonem w Sulechowie, administratorem parafii był pastor Valentin Kindler. Pod jego nadzorem została ukończona przebudowa kościoła zrębowego na słupowo-ramowy.

– A kiedy ksiądz rozpoczął posługę w Kłępsku?

– Pierwszy raz wszedłem do kościoła parafialnego w 1603 roku. Wszedłem i oniemiałem z wrażenia. Znalazłem się w wyjątkowej świątyni, z cudownym ołtarzem, ale jeszcze bez malowideł i rzeźb, które w późniejszym okresie odróżniały ten kościół od innych.

– Znawczy historii kłępskiego kościoła twierdzą, że głównym sprawcą nigdzie nie spotykanego wystroju stał się ksiądz proboszcz. Skąd ten pomysł?

– Podpowiedział mi doktor Luter.

– W jaki sposób, skoro zmarł w 1546 roku, 57 lat przed tym, kiedy ksiądz został zarządcą parafii w Kłepsku?

– Nie osobiście podpowiedział, uczynił to przy pomocy swoich rozpraw filozoficznych. Doktor Luter twierdził, że można być dobrym chrześcijaninem tylko wtedy, gdy się rozumie Słowo Boże podane w Piśmie Świętym. Dlatego przetłumaczył Biblię na niemiecki, a po nim uczynili to inni, przekładając tę pierwszą księgę spośród wszystkich ksiąg na swoje języki ojczyste. Słowo Boże z Biblii docierało do wiernych za pośrednictwem duchownego, ponieważ oni w większości nie umieli czytać i pisać. Po objęciu parafii zacząłem zastanawiać się, jak przekazać treść Biblii tym, którzy są analfabetami. I któreś bezsennej nocy wpadłem na pomysł, że trzeba ją wyrazić w obrazach. Biblię przecież można tak zilustrować, żeby wierni nie musieli jej interpretować, a rozumieli znaczenie każdego Słowa Bożego. Ludzie bardziej wierzą oczom niż uszom.

– I dlatego kościół stał się wielką galerią, w której znajduje się 117 malowideł, w większości ze starannie dobranymi inskrypcjami?

– Malowidła nawiązują treścią do Biblii. Wykonując je, malarze dokładnie analizowali to, co się znajdowało w niemieckich przekładach Starego i Nowego Testamentu. Wielu z nich zrozumiało wtedy, że Biblia nie jest jeszcze jedną książką, lecz źródłem mądrości prowadzących człowieka do zbawienia. Nie musiałem ich przekonywać, że przyczyny kryzysu wiary można upatrywać w złym wpływie z zewnątrz Kościoła, z bezbożnego świata, lecz i w niezrozumiałych zrzędzeniach Boga przedstawionych w Biblii. Do nich należało więc takie zilustrowanie Pisma Świętego, żeby każdy parafianin nie miał wątpliwości, gdzie jest prawda. Żeby każdy odróżniał dobro od zła. Słuszne od niesłusznego.

– Zlecenie na wykonanie ilustracji otrzymał jeden warsztat malarski czy kilku artystów? Jeśli kilku, to skąd pochodzili malarze?

– Pracowało kilku malarzy wywodzących się z różnych miejscowości Brandenburgii i Śląska. Świadczy o tym choćby zróżnicowanie

kolorystyczne poszczególnych zespołów ikonograficznych, utrzymane jednak w tonacji malarstwa niderlandzkiego. Ale, na co warto zwrócić uwagę, sceny biblijne zostały przedstawione z wyjątkową dokładnością i starannością, co podnosi wartość artystyczną malowideł. Przez większość wiernych uczestniczących w nabożeństwach stały się zrozumiałe nie tylko dlatego, że są dynamiczne, ale i dzięki użyciu jasnych barw. One naprawdę przemawiają do wiernych.

– Od której części kościoła rozpoczął ksiądz obrazowe przedstawianie Pisma Świętego?

– Punktem wyjścia stała się ambona nadwieszona od strony południowej między prezbiterium i nawą. Wyszedłem z założenia, że trudno jest dotrzeć ze Słowem Bożym do wiernych, jeśli miejsce, z którego duchowny je głosi, nie zostanie specjalnie wyróżnione. Dlatego na ścianie ambony są malarskie wizerunki czterech ewangelistów, a na portalu napis: „Bo wargi kapłańskie umiejętnośći strzec mają, a pytać się będą na zakon z ust jego. Aniołem zaiste jest Pana zastępów”. Starłem się, żeby kazanie było przybliżeniem tekstu biblijnego, dodatkowo wzmocnione malowidłami, które były w zasięgu wzroku wiernych. To była część ziemską. Wyżej, kiedy wierni podnieśli głowy, mieli przed oczami część niebiańską. Kazanie musi, jak napisał święty Augustyn, nauczać, pocieszać, wzruszać i napominać. Dodatkowo zarządziłem ozdobienie ambony rzeźbami przedstawiającymi doktora Lutra i jego współpracownika Philippa Melanchtona.

– Nawę i chór opasują empory. Ich parapety są pełne malowideł. Co przedstawiają ilustracje na emporze południowej?

– Z artystycznego punktu widzenia są one najmniej ciekawe. Treść komentarzy też mi się nie podoba ze względu na zbyt prosty dydaktyzm. Jest tam sześć scen zaczynających się od stworzenia Adama i Ewy po ich wygnanie z raju.

– Empora zachodnia.

– Malowidła dotyczą Dzięsiorga przykazań. Cykl uzupełnia scena z wręceniem tablic przykazań Mojżeszowi na górze Synaj i jedno malowidło przedstawiające skutek przestrzegania danych praw oraz drugie, mówiące o lekceważeniu Bożego zakonu.

– Czy to prawda, że malowidło ilustrujące trzecie przykazanie „Pamiętaj, abyś dzień święty święcił” przedstawia scenę z Kłępska?

– Kaznodzieją głoszącym Słowo Boże z ambony wedle malarza ja jestem. Gdybym miał wątpliwości, powinienem zwrócić uwagę na wystrój ambony. To na pewno jest kazalnica znajdująca się w naszym kościele. Wśród wiernych uczestniczących w nabożeństwie są przedstawiciele rodów sprawujących patronat nad świątynią. Kalkreuthów i Unruhów.

– Empora południowa.

– Jej wnętrze malarze wypełnili symboliczną personifikacją zmysłów powonienia, słuchu, dotyku, smaku i wzroku. W kwaterach bocznych starali się malarsko odpowiedzieć na pytanie o sens życia na ziemi. Ten sens sprowadza się do żywota wiecznego.

– Co przedstawiają empory północne w prezbiterium?

– Po środku jest wyrzeźbione gniazdo pelikana, będące symbolem Jezusa Chrystusa. Na malowidłach w kierunku wschodnim zostali przedstawieni grzesznicy, między innymi oszalały Nabuchodonozor, Maria Magdalena, celnik Zachariasz. Jest też scena z potrójnym zaparciem się świętego Piotra. Te obrazy powinny przekonać wiernych, że szczerym żalem i pokutą można zmazać grzechy, ale trzeba spełnić kilka warunków, przede wszystkim trzeba wzbudzić w sobie zbawienną wiarę. Sześć malowideł w kierunku zachodnim przedstawia cuda Jezusa, wśród nich uzdrowienie paralityka, uciszenie burzy na morzu, zamianę wody w wino podczas wesela w Kanie Galilejskiej.

– A co przedstawia strop nawy?

– Tam znajduje się 35 dużych i małych prostokątnych kwater. W kwaterach dużych malarze umieścili pionowe przedstawienia świadków Chrystusa, czyli proroków ze Starego Testamentu i apostołów z Nowego Testamentu. W kwaterach małych są poziome personifikacje cnót chrześcijańskich: wiary, nadziei i miłości oraz kardynalnych: roztropności, wstrzemięźliwości i męstwa.

– Zostały jeszcze dekoracje na stropie prezbiterium.

– Wszystko, co znalazło się na stropie prezbiterium, malarze umieścili między sporej wielkości malowidłami *Zwiastowanie Marii* i *Sąd Ostateczny*. Są tam wizerunki czterech ewangelistów i 15 par malowideł przedstawiających sceny ze Starego i Nowego Testamentu, zestawionych wedle zasady: zapowiedź i wypełnienie. Otwiera je znajdujące się po jednej stronie stworzenie Adama i po drugiej – Boże Narodzenie, zamyka wizja proroka Ezechiela o zmartwychwstaniu i znaki zwiastujące nadejście Sądu Ostatecznego. Ten strop jest widzialnym Słowem Bożym, ewangelią trwającą na wieki.

– Co jest na stropie przylegającej do chóru empory północno-wschodniej?

– W tamtej części kościoła znajdowała się łoża głównego kolatora. Dlatego uznałem za najwłaściwsze umieszczenie tam obrazowej pieśni pochwalnej według Psalmu 150. Wykonują ją aniołowie na instrumentach wymienionych w tekście psalmu. Przekonałem malarza, żeby na zachodniej ścianie łoży za abstrakcyjnym wnętrzem pałacu ukazał pejzaż z okolic Klemziga z rozpoznawalną bryłą naszego kościoła.

– Od samego początku ksiądz był przekonany o wyższości przekazu obrazowego nad słowem drukowanym?

– Broń Boże. Zawsze uważałem słowo zapisane przy pomocy liter za największą wartość przekazu, bo niemożliwą do interpretacji, ale w tamtych warunkach nie miałem prawa opierać się tylko na słowie drukowanym. Wyjaśniłem już, że to z powodu nieumiejętności posługiwania się alfabetem przez większość parafian.

– Przekazanie treści Biblii przy pomocy ilustracji naniesionych na ściany kościoła musiało dużo kosztować. Czy parafianie nie buntowali się, gdy ksiądz domagał się pieniędzy?

– We wsi i folwarku mieszkali ubodzy wierni. Składane przez nich ofiary zaspokajały jedynie najpilniejsze potrzeby parafii. Na szczęście moja propozycja obrazowego przekazania Biblii i takiego udekorowania kościoła, o jakim opowiedziałem, spotkała się z aprobatą właścicieli dóbr. Głównymi fundatorami wystroju świątyni byli przedstawiciele rodów Kalckreuthów i Unruhów. Ich herby rodowe znajdują się pod malowidłem przedstawiającym Sąd Ostateczny. Na

ambonie kazałem umieścić epigraf, że za sprawą „szlachetnie urodzonego, wielmożnego, czcigodnego i dostojnego pana Hansa von Kalckreutha stanęła Panu Bogu dla Jego służby, kościołowi temu dla ozdoby, a jemu samemu na wieczną chrześcijańską pamiątkę”.

– Czy to były jedyne formy wyrażania wdzięczności za ofiarę na rzecz kościoła?

– Nie tylko w Klemzigu, bo i w większości parafii, przyjęło się, że po śmierci fundatorów miejscem ich spoczynku będą podziemia kościelne. Ściany kościoły stały się miejscem, gdzie potomni umieszczali epitafia fundatorów i płyty nagrobne. W niektórych inskrypcjach można odnaleźć odniesienia do fundatorów, a nawet natknąć się na ich wizerunki.

– Pod obrazem z herbami Kalckreuthów i Unruhów malarz umieścił jeszcze jeden herb z żurawiem w centrum. Do kogo on należy?

– Żuraw jako symbol ma wiele znaczeń. Mnie odpowiadają te, które są oznaką mądrości, wiedzy, czujności i doświadczeń. W tej podniesionej nodze żuraw trzyma kamień, który w razie zaśnięcia ptaka upada mu na drugą nogę i go budzi. Godła z tym ptakiem dawniej były opatrywane napisem „Ut alii dormant”, co znaczy: aby inni odpoczęli. Mimo że moja rodzina nigdy nie miała herbu, postanowiłem znakiem żurawia zaznaczyć swoją obecność w Klemzig. Proszę nie traktować tego jako chęci dorównania właścicielom okolicznych dóbr i fundatorom kościoła. Herb z żurawiem jest oznaką wspólnego działania.

– Zostawił ksiądz po sobie nie tylko pamięć, ale i coś, co przetrwało wieki i jest podziwiane przez pokolenia. W Kłępsku najpierw był kościół katolicki, potem ewangelicki, po 1945 roku świątynia wróciła do katolików. Najważniejsze jest to, że żadna religia nie zniszczyła dorobku swoich poprzedników. To najlepszy przykład tolerancji wyznaniowej i wiary w tego samego Boga.

– Bogu niech będą dzięki.

– Dziękuję za rozmowę.

Lubuski Szlak Organowy

Kościół pw. Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny w Kłępsku po powrocie do katolików został ponownie poświęcony 10 sierpnia 1945 r. Do 1958 r. należał do parafii w Nowym Kramsku. Po erygowaniu parafii w Łęgowie Sulechowskim stał się kościołem filialnym.

Ks. Olgierd Banaś jest piątym proboszczem i pierwszym, który zdał sobie sprawę z tego, jaką wartość dla kultury w ogóle, a szczególnie religijnej, ma wystrój i wyposażenie kłępskiego kościoła. W latach 90. XX wieku zlecił konserwację malowideł pracownikom i studentom Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. W 2013 r. zespół specjalistów z tej samej uczelni przeprowadził konserwację ołtarza i ambony. Wcześniej, bo w latach 2006-2009 właściciel zakładu organomistrzowskiego Ars Organum z podsulechowskiego Głogusza wykonał częściową rekonstrukcję i konserwację organów. Instrument powstał w pracowni Ludwiga Hartiga, urodzonego w Neusalz (pol. Nowa Sól), ucznia wrocławskiego mistrza Johanna Englera. Po powrocie do rodzinnego miasta Hartig otrzymał zamówienie na budowę organów w Klemzig. W 1822 r. były gotowe. Kłępskie organy to instrument z mechaniczną trakturą rejestrów i gry, wykorzystujący wiatrownice klapowo-zasurowe. Mają 453 piszczałki, z czego 403 są w sekcji manualowej (ręcznej) i 50 to sekcja pedałowa, 41 piszczałek ze stopu organowego (cyny i ołowiu) tworzy front instrumentu. Klawisze są z hebanu, nakładki ciemne z bejcowanej gruszy, nakładki białe z kości wołu.

Hartig jest twórcą organów m.in. w kościołach znajdujących się dziś u Świętego Antoniego w Nowej Soli, Ołoboku, Trzebiechowie, Międzylesiu, Mirocinie Górnym, Smolnie Wielkim, Otyniu, Koźuchowie. To miejscowości leżące w diecezji zielonogórsko-gorzowskiej. Organy z pracowni Hartiga są także w niemieckich świątyniach w Zerkwitz, Straupitz i Lübben oraz w kościele pw. Świętej Trójcy w Poznaniu. Wiele instrumentów nie dotrwało do naszych czasów, m.in. w kościele gimnazjalnym w Głogowie, w Nowogrodzie Bobrzańskim, Gubinie. Historycy podają, że zbudował około 30 instrumentów.

Od 2012 r. istnieje Lubuski Szlak Organowy. Zaczął się w Kłępsku i przebiega przez 18 miejscowości, w których znajdują się organy z pracowni Hartiga oraz innych sławnych budowniczych, wśród nich Wilhelma Sauera, Carla Bukowa, Samuela Meineharta, Gustava Heizego. Od 2009 r. w kłępskim kościele odbywają się koncerty organowe.



*Samuel Friedrich Lauterbach – rycina z książki Eugeniusza Dzięcioleńskiego
„Wschowa i Ziemia Wschowska w literaturze”, Wschowa 2006*

Samuel Friedrich Lauterbach

Urodził się 30 października 1662 we Wschowie, zmarł 24 czerwca 1728 r. w Wschowie. Kształcił się w Toruniu, Wrocławiu i Wittenberdze. Od 1691 r. był pastorem, najpierw w Osowej Sieni, potem w Międzychodzie i Wschowie. W 1717 r. został wybrany na seniora okręgowego, a dziesięć lat później generalnego Kościoła ewangelicko-augsburskiego w Wielkopolsce. Napisał wiele prac teologicznych i historycznych. Najbardziej znana jest opowieść o pastorze Valeriusie Herbergerze. Był autorem pierwszej niemieckojęzycznej historii Polski.

KRÓLOWIE NA CHWILĘ WE WSCHOWIE

Rozmowa z pastorem Samuelem Lauterbachem,
historykiem i duchownym Kościoła ewangelicko-augsburskiego

– Ksiądz pracował w polskiej Wschowie, zamieszkałej w dużej części przez ludność posługującą się językiem niemieckim. Był ksiądz Polakiem czy Niemcem?

– W XVII stuleciu nie dzielono ludzi ze względu na przynależność państwową. Najważniejsza była wyznawana religia. Urodziłem się i wychowałem w rodzinie luterańskiej, której przodkowie przywędrowali z Niemiec do Wschowy. Mój ojciec był szewcem, trochę znał język polski, ale na co dzień posługiwał się mową niemiecką dlatego, że większość mieszczan wschowskich mówiła po niemiecku. Miasto leżało przy granicy z Brandenburgią, niedaleko Saksonii, było gościnne wobec przybyszy z przeludnionych Niemiec. Tu stawiał pierwsze kroki mincerz królewski Andrzej Tynff, ten sam, który zapisał się w powiedzonku „Dobry żart tynfa wart”. W moich gimnazjach i na uniwersytecie w Wittenberdze językiem wykładowym był niemiecki.

– Zasłynął ksiądz jako pierwszy historyk, który po niemiecku napisał dzieło dotyczące życia i czynów władców polskich *Pohlische Chronike*.

– Dotarło do mnie, że kronika cieszyła się dużą popularnością w krajach niemieckojęzycznych, ponieważ na tym obszarze była głównym źródłem wiedzy o Królestwie Polskim. Pisząc kronikę, miałem na uwadze przeciętnie wykształconą osobę, czyli nauczyciela,

duchownego, oficera, kupca, właściciela majątku prowadzącego interesy w Rzeczypospolitej. Ostatnie słowa kroniki są wyznaniem mojej wiary: „Każdy dba o swoją ojczyznę. Kończę moją polską historię książąt i królów wiecznym życzeniem: *Es gehe Polen wohl!* Niech się Polsce dobrze wiedzie!”

– Co wiadomo o początkach Wschowy?

– Niewiele poza tym, że w XII stuleciu był tu gród. Prawdopodobnie rozwinął się on z wcześniej założonej osady. Niemieccy historycy podają rok 1150 jako ten, kiedy powstało miasto. Dziejopisarze polscy twierdzą, że Wschowa istniała wcześniej, gdyż jest o niej wzmianka w bulli protekcyjnej *Ex commisso nobis a Deo* (zwanej bullą Gnieźnieńską lub Żółtą) wydanej przez papieża Innocentego II w 1136 roku na skutek długotrwałych zabiegów dyplomatycznych Bolesława Krzywoustego i arcybiskupa gnieźnieńskiego Jakuba ze Żnina. Obie informacje w sprawie początków miasta budzą wątpliwości badaczy. Nie można natomiast podważyć dokumentu, w którym władcy śląscy Bolesław Rogatka i jego brat Henryk Biały w 1248 roku darowują karczmę klasztorowi w Obrze. Dokument ten został wystawiony w interesującym pana mieście.

– A kiedy Wschowa otrzymała prawa miejskie?

– Tego nie można ustalić, ponieważ nie zachował się dokument lokacyjny. Być może spłonął w jednym z licznych pożarów miasta. Historycy przyjmują, że mogło to się stać około 1273 roku. Wtedy książę wielkopolski Przemysław II nadał prawo magdeburskie Przyczynie, położonej blisko Wschowy, ale nazwy miasta nie wymienił.

– Czy Wschowa zawsze była Wschową?

– Pyta pan o nazwę?

– Tak.

– Najstarsza nazwa to Veschov. Nie poznałem na tyle języka polskiego, żeby wyprowadzić jej rodowód. Polscy toponimicy, czyli badacze nazw miejscowych podają, że mogą być dwa jej źródła. Pierwsze, wywodzące się od staropolskiego „wschować”, oznacza miejsce, gdzie można się schronić. Więcej zwolenników ma drugi źródłosłów, od Wieszowa, a ta nazwa wywodzi się od imienia Wielisław.

W zlatynizowanej formie miasto występowało jako Veschowam. Niemiecka nazwa Fraustadt mogła powstać w XV stuleciu. Odwołuje się ona do Matki Bożej, którą otaczano w mieście kultem. Potwierdzenie tego znajdujemy w pierwszym kościele wschowskim pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny, kiedy kult Bożej Rodzicielki rozwijało bractwo Naszej Kochanej Pani.

– Czy natrafił ksiądz na informację o tym, kiedy Wschowa stała się miastem królewskim, zaliczanym do najważniejszych ośrodków w Koronie Polskiej?

– W okresie rozbicia dzielnicowego miasto należało to do ksiąząt śląskich, to do wielkopolskich. W 1343 roku, kiedy Wschowa była we władaniu księcia żagańsko-głogowskiego Henryka Żelaznego, król Kazimierz Wielki wyruszył zbrojnie na pogranicze wielkopolsko-śląskie, zajął miasto i przyłączył je do Korony Polskiej. Od tego czasu Wschowa jako miasto królewskie była wśród sześciu najważniejszych metropolii pod panowaniem władców polskich. Kolejny raz Kazimierz Wielki przyjechał do miasta w 1349 roku. Potwierdzenie tego znajduje się w dokumencie dotyczącym uposażenia kościoła w Tymbarku.

– 25 lutego 1363 roku zapisał się w dziejach Wschowy jako dzień królewskiego wesela. Wtedy Kazimierz Wielki poślubił żagańską Jadwigę, córką księcia Henryka Żelaznego.

– Kazimierz miał 55 lat, Jadwiga skończyła 13. Nawet jak na tamte czasy ogromna różnica wieku. Królowi chodziło o jedno: ponieważ z dotychczasowymi trzema żonami nie doczekał się syna, miał nadzieję, że młodziutka Jadwiga urodzi następcę tronu.

– A co na to papież? Przecież dwie żony Kazimierza, heska Adelajda i Czeszka Krystyna Rokiczana, jeszcze żyły. Urban V zaakceptował bigamię?

– Król co najmniej dwa razy popełnił bigamię. Ożenił się z Czeszką, nie uzyskawszy unieważnienia związku z Adelajdą. Starał się o zgodę papieża, ale Urban V zwlekał. Zatem należy przyjąć, że kanonicznie małżeństwo z Rokiczaną nie było ważne, jak i nieważne następne, z młodziutką żaganią. Już ze związku z Jadwigą urodziły się trzy córki, a papież jeszcze nie dał zgody na to małżeństwo, mimo

zabiegów królewskich dyplomatów. Poza tym, że żyła kanonicznie poślubiona Adelajda i nie zaakceptowana przez prawo Krystyna Rokiczana, Kazimierza i Jadwigę łączyło pokrewieństwo czwartego stopnia, co uniemożliwiało udzielenie dyspensy. W świetle prawa kanonicznego małżeństwo króla z żaganią było nielegalne.

– Co wiadomo o ślubie króla Kazimierza i księżniczki Jadwigi?

– Działo się to w zapusty 1363 roku w kościele parafialnym we Wschowie. Ślubu udzielił arcybiskup gnieźnieński Jarosław Bogoria Skotnicki. Mimo że uroczystość była cicha, uczestniczyli w niej biskupi, możni Śląska, Wielkopolski, Mazowsza, Małopolski, Rusi, wysłannicy zaprzyjaźnionych władców i nuncjusz papieski. Ojciec panny młodej, książę Henryk Żelazny, wydał ucztę weselną na zamku. Goście biesiadowali przez wiele dni, delektując się wyśmienitym jadem i wznosząc toasty za szczęśliwe pożycie młodej pary.

– Czy żagańska Jadwiga była koronowana na królową Polski?

– Jedni dziejopisarze podają, że stało się to we Wschowie niedługo po uroczystości w kościele lub nawet w trakcie zaślubin. Drudzy mają wątpliwości. W tej sprawie nie zachowały się żadne dokumenty. Po ślubie i weselu Jadwiga zamieszkała w komnatach na Wawelu. Niestety, nigdy nie wydała na świat syna. Po śmierci króla wróciła do Żagania i wyszła za mąż za księcia legnickiego Ruprechta, któremu urodziła trzy córki.

– Kazimierz Wielki nie pozostawił męskiego potomka, dlatego na tronie krakowskim na krótko zasiadł Ludwik Węgierski. On także nie miał syna. Koronę królewską otrzymała jego najmłodsza córka, Jadwiga, od 1386 roku żona wielkiego księcia litewskiego Władysława Jagiełły. Czy nowy monarcha bywał we Wschowie?

– W 1416 r. Jagiełło spotkał się we Wschowie z margrabią Miśni Wilhelmem Bogatym. To właśnie podczas tego kilkudniowego pobytu król miał ponoć zdecydować o biciu we Wschowie półgroszków koronnych. Wcześniej potwierdził przywileje nadane przez Kazimierza Wielkiego, wśród nich zezwolenie na handel solą. W 1422 roku „w piątek nazajutrz Święta Bożego Ciała przywilejem stanowił, iż Rycerstwo i obywatele Ziemi Wschowskiej zachowani być mają przy

wszystkich prawach i swobodach, które inni obywatele ziem wielkopolskich używać zwykli”.

– Czy kolejni władcy, Władysław Warneńczyk i Kazimierz Jagiellończyk, zagładali do Wschowy?

– Zajęty sprawami tureckimi Warneńczyk żył w trudnym dla Korony Polskiej czasie. Mimo bardzo młodego wieku i braku doświadczenia w sterowaniu państwem, zasiadał także na tronie węgierskim. Władysław zginął pod Warną w bitwie z Turkami. Dopiero jego następca Kazimierz Jagiellończyk okazał się władcą mającym na uwadze przyszłość państwa. W maju 1462 roku z licznym orszakiem na kilka dni zatrzymał się we Wschowie. Król udawał się do Głogowa na spotkanie z monarchą czeskim Jerzym z Podiebradu. Za polskim królem maszerowało pięć tysięcy wojska. Za Czechem dwa tysiące. Następstwem tego spotkania, które historycy nazwali zjazdem głogowskim, było wstąpienie królewicza Władysława na tron czeski, a na stolicę książęcą w Głogowie najpierw Jana Olbrachta, potem Zygmunta, tego samego, który jako władca Polski był nazywany Starym.

– Zygmunt Stary był we Wschowie?

– Kronikarz klasztorny podaje, że w 1539 roku ten monarcha zaszczycił miasto swoją obecnością. Informacja o jego pobycie z grupą senatorów znajduje się we wstępie do kroniki wschowskiego klasztoru.

– Ostatni z Jagiellonów, Zygmunt August, miał powód odwiedzić miasto?

– Ani Zygmunt August, ani Anna Jagiellonka, ani Stefan Batory, ani inni królowie elekcyjni...

– A władcy pochodzący z rodu Wettynów?

– Proszę o cierpliwość. O nich opowiem za chwilę. Na razie mówię o poprzednikach Sasów. Prawda, trzeba wspomnieć o króciutkim pobycie Zygmunta Wazy i królewicza Władysława w 1623 roku. Kolejni władcy elekcyjni, Jan Kazimierz i Michał Korybut Wiśniowiecki, byli zajęci obroną Rzeczypospolitej Obojga Narodów przed Szwedami. W podobnej sytuacji sprawował rządy w kraju Jan Sobieski, który przeszedł do historii Europy jako pogromca Turków pod Wiedniem.

– W 1697 roku na tronie królewskim zasiadł August II Mocny z saskich Wettynów. Ewangelik, który tuż przed elekcją przeszedł na katolicyzm.

– To interesująca osobowość. Jako elektor Saksonii występował pod imionami Fryderyk August I. Mimo że był zwierzchnikiem Kościoła luterńskiego w swoim państwie, tuż przed elekcją w Rzeczypospolitej przeszedł na katolicyzm. Gdyby nie zmienił wyznania, nie zostałby królem Polski. Zresztą jego wybór jest dyskusyjny, bo sejm elekcyjny opowiedział się za francuskim księciem Contim. Gdy to się stało, Rosja, Brandenburgia i Austria zjednoczyły siły i stanęły po stronie Sasa. Oprócz zmiany wyznania, o objęciu tronu przez Augusta Mocnego zadecydowało szybkie jego pojawienie się w Warszawie i przekupienie części szlachty.

– August I Mocny panował z przerwą, bo w 1704 roku został zdetronizowany. Wtedy tron objął popierany przez Szwedów Stanisław Leszczyński, z czym Sas nie chciał się zgodzić.

– Do jego klęski przyczyniła się przegrana bitwa ze Szwedami pod Wschową w 1706 roku. Dopiero gdy Szwedzi zagrozili podbojem Saksonii, August zrzekł się korony polskiej, ale zaraz wziął udział w wojnie o sukcesję hiszpańską. Kolejne przegrane przez Szwedów bitwy na ziemiach Rzeczypospolitej spowodowały ucieczkę Leszczyńskiego i w 1709 roku powrót Augusta na tron królewski.

– Jako Fryderyk August I panował w Saksonii i jako August II Mocny w Rzeczypospolitej. Czy to było dobre rozwiązanie?

– Jako elektor saski i król polski Wettyn otoczył się ministrami z możliwych rodów. W Rzeczypospolitej był bardziej władcą tytularnym niż rzeczywistym, co ani przed nim, ani po nim nie oznaczało wyjątkowej sytuacji. Każdy rozsądny władca zawsze otacza się mądrzejszymi od siebie. August starał się z tego korzystać i... korzystać z uciech życia. Na podboje miłosne wyruszał na przykład podczas karnawału w Warszawie, kryjąc swą twarz za maską i uwodząc żony dyplomatów, a nawet zwykłe mieszcзки. Dziejopisarze twierdzą, że oprócz żony miał wiele kochanek, z którymi spłodził ponad trzysta dzieci. Oficjalną metresą była Anna Konstancja von Hoym, bardziej znana jako hrabina Cosel. Z Urszulą Lubomirską, żoną podstolego

koronnego, król miał syna. August był ojcem dzieci Marianny Denhoff z domu Bielińskiej, żony podkomorzego litewskiego.

– Zasadniczym miejscem jego panowania była Warszawa czy Drezno?

– August II zmieniał miejsca swego pobytu. Kilka tygodni w stolicy Rzeczypospolitej, kilka w stolicy Saksonii. I czasem w połowie drogi, czyli we Wschowie, która za jego panowania była uważana za drugą stolicę Polski.

– W którym roku August II Mocny był pierwszy raz witany we Wschowie?

– Dobrze pan to ujął. Że był witany. Stało się to 1 września 1699 roku. Król przyjechał drogą z Leszna z samego rana, około godziny szóstej. Przy wjeździe do miasta witało monarchę Bractwo Strzeleckie w liczbie około stu mężczyzn z flagami w kolorze żółtym z królewskim herbem. Przy skrzyżowaniu dróg czekali na króla przedstawiciele innych bractw cechowych trzymający polskie flagi państwowe, czerwone z białym orłem. Wzdłuż ulicy Kamiennej stały drzewka-choinki naprzemiennie z członkami cechów: dwa drzewka – człowiek – dwa drzewka – człowiek... Droga uroczystego przejazdu prowadziła do Bramy Polskiej. Należący do innych bractw i cechów ustawili się przy bramie, na uliczkach i rynku, aż do Bramy Głogowskiej. Trzymali swoje czerwone, niebieskie lub białe flagi. Samych młynarzy było ze stu.

– A gdzie był burmistrz i pozostali włodarze miasta?

– Burmistrz z całym magistratem czekał na króla przy bramie tryumfalnej. Tam w imieniu mieszczan powitał Augusta i przekazał mu klucze do miasta. Na koniec zebrani zawołali: „Vivat Augustus secundus”. Wjazd do Wschowy był wkroczeniem króla w zamkniętą przestrzeń miejską. Architektura i urbanistyka miasta odgrywały w organizacji tego święta funkcję strukturalną.

– Jak wyglądała brama tryumfalna?

– Była ozdobą Bramy Polskiej. Nad czterema kolumnami korynckimi umieszczono z daleka widoczny gzyms. Pomiędzy kolumnami znajdowały się przedstawienia Marsa jako boga wojny i Herkulesa

jako boga zwycięstwa. Nad nimi widniała inskrypcja „CREDIT UTERQVE DES AUGUSTI”, która czyniła króla większym bohaterem niż mityczni bogowie. Dodatkowo na kapitelach umieszczono inskrypcje wskazujące obszary heroicznej działalności monarchy. Ponad Herkulesem znajdował się napis „Podolien”, w medalionie „Camienietz”, nad Marsem „Ukraina”. Inskrypcje nawiązywały do pokoju zawartego z Imperium Osmańskim w Karłowicach i do odzyskania Podola z Kamieńcem Podolskim oraz zachodniej części Ukrainy.

– Nie powiedział ksiądz o kwiatach. Czyżby brama nie była ozdobiona piwoniami, różami, daliami...?

– Nad gzymsem znajdowała się trybuna muzyczna, na jej końcach umieszczono krótkie kolumny, po obu stronach czerwone i marmoryzowane duże kule z ogniem. Na tyłach trybuny, ozdobionej nieemożliwą do policzenia ilością kwiatów i listowia, mieli swoje miejsce muzykanci i chór.

– **Sporo.**

– To nie wszystko. Brama była ozdobiona przedstawieniami wojowników tureckich i tatarskich w zbrojach, z flagami osmańskimi pełnymi gwiazd i z półksiężycem. Na postumencie stał wizerunek króla, nad nim inskrypcja „AUGUSTUS II”, pod nim „ET AUGUSTUS ET SECUNDUS”. Za postumentem były zawieszone ozdobne festony. Umieszczona ponad sklepieniem bogini Fama w prawej ręce trzymała wieniec z siedmiu gwiazd, oznaczających pełnię cnót, którym koronowała głowę monarchy. W jej lewej ręce tkwił puzon z napisanym złotem „Vivat”. Wszystko wyglądało jak z marmuru, a części metalowe i napisy były w kolorze złotym.

– **Zachwycające.**

– Król pewnie też tak pomyślał. A gdy przeniósł wzrok na szczyt, zobaczył hebrajski napis „Jehovah”, skąd w kierunku białego orła na czerwonym polu w centrum bramy wymykał się mocny promień. Inskrypcja nad nim mówiła, że pod rządami Augusta II dla Polski nastaną złote czasy, król będzie ochraniać swoich obywateli, a Wschowa będzie wzrastała i kwitła. Były jeszcze łacińskie napisy, które w przekładzie na polski mówiły, że „Szczęśliwe miasto, które

boi się Jezusa” i „Jeśli Bóg z nami, któż przeciw nam?”. Nie brakowało miejskich znaków Wschowy.

– Ktoś pewnie doradził włodarzom Wschowy, jak powinna wyglądać intrada?

– Na rok przed wizytą we Wschowie August II odwiedził Gdańsk. Tam był witany z wszystkimi najwyższymi honorami. W dużej części gdańską uroczystość powtórzono we Wschowie.

– Z czym wiązała się królewska wizyta?

– W 1699 roku we Wschowie pierwszy raz obradował senat Rzeczypospolitej Obojga Narodów. W czasie panowania Augusta II takie spotkania powtórzyły się w 1711, 1717, 1719 i 1728 roku. Pobyt monarchy w 1717 roku przeciągnął się do czterech tygodni. Wtedy August II przyjmował poselstwa zagraniczne, podejmował decyzje polityczne i uczładował. Nie wypada mi powiedzieć, że wtedy zabawił się ze swoimi kochankami, ale tak to wyglądało.

– Gdzie podczas pobytów we Wschowie rezydował król?

– Kronikarz klasztorny zanotował, że w 1717 roku rezydencja monarchy znajdowała się w zachodniej pierzei rynku. „Na jego mieszkanie był przygotowany cały szereg budynków na sposób królewski, to znaczy bok rynku od strony zachodniej ustąpił fosie i łamanym ścianom od domu do domu, a w górnych piętrach było wygodne przejście zrobione, wszystko w porządku ułożone. Od strony kościoła parafialnego było miejsce dla straży wojskowej, sala na zebrania senatorów, gdzie indziej sala przyjęć, czyli audiencjonalna, dalej sypialnia Najjaśniejszego Króla, jadalnie na obiady i kolacje, wreszcie wielka kancelaria koronna. Zjechała się tutaj niemała ilość możnowładców koronnych, tak ze stanu senatorskiego, jak i rycerskiego. Stąd i nasz ubogi kościół w samo święto Niepokalanego Poczęcia NMP okazał się bogaty obecnością Najjaśniejszego majestatu i jaśnie wielmożnych mężów”.

– Co na ten temat napisał Józef Joneman w pracy o przeszłości Wschowy?

– „W usposobionych dla króla pokojach była osobna sala dla obiadowania dla senatu i inszych dygnitarzy i kuchnię w rynku za

gankiem na ratusz idącym, druga w tyle rezydencji królewskiej, blisko kościoła farnego, założono do tej kondygnacji pokojów dla króla przeznaczonych były dane schody zewnątrz ulicy ciągnącej ku kościołowi podwójne, jedne do wejścia od rynku, drugie ku kościołowi” – napisał ów szlachcic wschowski.

– August II Mocny zmarł w 1733 roku. I natychmiast rozpoczęła się wojna o sukcesję polską. Najpierw na tron wrócił Stanisław Leszczyński. Potem przy poparciu Austrii władzę przejął August III, syn zmarłego króla. Znowu Wettynowie panowali w Rzeczypospolitej i Saksonii.

– Tak było.

– I znowu Wschowę, leżącą w połowie drogi między Dreznem i Warszawą, kolejny Sas obrał za miejsce, gdzie podejmował decyzje?

– Pierwszy raz August III przyjechał do Wschowy w lipcu 1737 roku. Wtedy w mieście obradowała Rada Senatorska i wówczas zapadła decyzja o zawarciu konkordatu między Rzeczpospolitą a Stolicą Apostolską. I wtedy też król udzielił audiencji posłowi tureckiemu. Audiencja została odnotowana, ale niczym szczególnym nie zapisała się w kronice dyplomacji. Inaczej sprawa wyglądała jeśli chodzi o audiencję udzieloną posłowi Porty Ottomańskiej w 1755 roku.

– Co takiego się wydarzyło?

– Źle się wyraziłem. Sama audiencja pewnie niczym nie różniła się od innych spotkań monarchy z dyplomatami najwyższej rangi. Na tym szczeblu obowiązuje stały ceremoniał i tak musiało być w trakcie spotkania Augusta III z posłem tureckim. Co innego zwróciło uwagę kronikarzy. Posel zamieszkał w pałacu osowosieńskim. Codziennie do jego rezydencji dostarczano pięć owieczek lub jagniąt, 30 królików, 20 młodych kurcząt, 60 kilogramów ryżu, 30 kilogramów cebuli, 20 kilogramów miodu, po 15 kilogramów kawy, cukru i mąki, ponadto czosnek, świeży ser, mleko, cytryny, oliwę i sok z limonek. Proszę sobie wyobrazić, ile osób zasiadało przy poselskim stole. Ale wtedy, w 1755 roku, posel zjadł śniadanie we wschowskim zamku w towarzystwie swoich współpracowników i gospodarzy. A skutek tej audiencji był taki, że niebawem wyroby miejscowych

złotników, sukienników i mistrzów innych cechów zaczęły trafiać na dwór sułtański.

– Jak często August III zatrzymywał się we Wschowie?

– Co najmniej pięć razy. Jego pobyt najczęściej był powiązany z obradami senatu.

– Gdzie radzili senatorowie?

– W ratuszu. Tak się nieszczęśliwie albo szczęśliwie złożyło, że w 1685 roku ratusz się spalił. Po pożarze został odbudowany, dodatkowo ozdobiony i powiększony o pomieszczenia reprezentacyjne godne króla i senatu. Zebrania senatorów odbywały się na pierwszym piętrze w sali zwanej Wielką. Było to duże pomieszczenie z pięcioma okratowanymi oknami i podłogą z drewnianych klepek. Ławy senatorskie były ustawione po obu stronach tronu, a wejście, którym wprowadzano posłów zagranicznych, znajdowało się od strony wschodniej.

– A gdzie mieszkał król?

– Rezydencja królewska znajdowała się w kamieniczkach w zachodniej pierzei rynkowej. Mieszkał tam August III i jego ministrowie. Niektórzy zajmowali kwatery w domach mieszczańskich. Na przykład książę Lubomirski miał zapewnione lokum w trzech domach należących do rzeźników, w pierzei południowej. Podkanclerz koronny Jan Małachowski zajął domy przy rynku od strony północnej. Kancelaria koronna była w kamieniczkach po zachodniej stronie rynku.

– Kto poniósł koszty przebudowy ratusza i kamieniczek wokół rynku?

– Z punktu widzenia majstrów budowlanych był to złoty czas. Nie nadążali z realizacją zamówień. Wschowa stała się skupiskiem snycerzy i kamieniarzy. Główny ciężar przebudowy spadł na miasto. Kancelaria królewska zdawała sobie sprawę z tego, że Wschowa nie jest w stanie spełnić wszystkich oczekiwań, dlatego wsparła miasto ośmioma tysiącami złotych polskich. Przebudowano także kościoły i powiększono budynki klasztorne, żeby duchowieństwo towarzyszące monarchom miało gdzie kwaterować.

– Zgodzi się ksiądz ze mną, że miasto na tym skorzystało?

– Wschowa otrzymała nowoczesną i atrakcyjną aranżację. Bramę Polską zdobiły dwie rzeźby lwów z piaskowca. Jeden siedzący lew, z głową zwróconą heraldycznie na lewo, prawą łapą podtrzymywał tarczę z łacińską inskrypcją „PER TE PAX” (Dzięki Tobie pokój) i herbem Wettynów. Drugi siedzący lew, zwrócony głową en face, lewą łapą podtrzymywał tarczę z inskrypcją „IN TE HONOR” (W Tobie cześć) i herbem Wschowy. Lwa ze względu na czujność i siłę uważano za najlepszego stróża i opiekuna. W każdym zakątku miasta było widać zmiany. Przybyło gospód, rozrosło się targowisko. Na uliczkach można było spotkać artystów.

– Można uznać Wschowę za nieoficjalną stolicę Rzeczypospolitej.

– W 1755 roku ukazała się ustawa podatkowa o poborze podymnego w Koronie. Sklasyfikowała ona miasta królewskie. Do pierwszej klasy zaliczono Warszawę. Do drugiej Kraków, Poznań i Wschowę.

– Czy August III Sas był ostatnim monarchą, który wizytował Wschowę?

– Miasto odwiedził jeszcze Fryderyk Wilhelm II, ale to był monarcha pruski, a panu pewnie chodziło o władców panujących w Polsce.

– Dziękuję za rozmowę.

Znane osoby związane ze Wschową

Valerius Herberger (1562-1627) – poeta i duchowny ewangelicki zwany Małym Lutrem. Jest autorem hymnów, m.in. *Valet will ich dir sagen, du arge falsche Welt* (pol. *Już się to żegnam z tobą, świecie niestateczny*) wciąż się znajduje w polskich śpiewnikach protestanckich. Urodził się i zmarł we Wschowie.

Melchior Teschner (1584-1635) – kompozytor luterkański. Jest autorem muzyki do wielu pieśni religijnych, nadal wykonywanych w kościołach ewangelickich. Urodził się we Wschowie, zmarł w Przyczynie.

Matheus Vechner (1587-1630) – lekarz nadworny króla Zygmunta III Wazy. Urodził się i zmarł we Wschowie.

Andreas Gryphius (1616-1664) – poeta i dramaturg niemiecki. W 1649 r. ożenił się we Wschowie z Rosiną Deutschländer. We Wschowie stworzył m.in. dramat *Cardenio und Celinde oder Unglücklich Verliebte*. Urodził się i zmarł w Głogowie.

Andrzej Tymff (1618-1690) – mincerz królewski. W 1651 r. objął w dzierżawę mennicę wschowską, potem poznańską, bydgoską, krakowską i lwowską. W 1663 r. rozpoczął emisję złotych o mniejszej zawartości srebra, nazywanych tynfami.

Mikołaj Chwałkowski (1646-1712) – znawca prawa, historyk, pisarz i dyplomata. Pełnomocnik prawny na dworze Jakuba, księcia kurlandzkiego Jakuba, poseł księcia Kurlandii Fryderyka Kazimierza przy królu polskim w Warszawie. Autor prac z zakresu historii prawa polskiego *Regni Poloniae ius publicum i Singularia quaedam polonica*. Urodził się we Wschowie.

Chrystian Gryphius (1649-1706) – poeta i nauczyciel. Jest m.in. autorem wiersza na cześć króla Jana Sobieskiego *An den König von Johann den Dritten*. Urodził się we Wschowie, większość życia spędził we Wrocławiu.

Rafał Gurowski (1716-1797) – autor wierszy epitafijnych, m.in. starosta wschowski, kasztelan poznański. Zmarł w Dryżynie koło Szlichtyngowej, jego ciało zostało złożone w kościele franciszkanów we Wschowie.

Florian Stablewski (1841-1906) – arcybiskup gnieźnieński i poznański i prymas Polski. W latach 1876-1891 był posłem do parlamentu pruskiego, gdzie występował w obronie języka polskiego.

Założył Drukarnię i Księgarnię Świętego Wojciecha w Poznaniu.
Urodził się we Wschowie.

Hugo Licht (1841-1923) – niemiecki architekt i budowniczy. Jego prace to m.in. projekt pomnika cesarza Wilhelma I we Wrocławiu, projekt Muzeum Sztuki Użytkowej w Lipsku, projekt i wykonanie Nowego Ratusza w Lipsku.

Bronisław Geremek (1932-2008) – historyk i polityk. Jako minister spraw zagranicznych w 1999 r. w imieniu rządu polskiego złożył dokumenty ratyfikacyjne Paktu Północnoatlantyckiego znajdujące się w depozycie rządu Stanów Zjednoczonych Ameryki. W latach 1945-1948 mieszkał we Wschowie.



*Heinrich von Brühl – obraz Marcellego Bacciarellego
ze zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie*

Heinrich von Brühl

Urodził się 13 sierpnia 1700 w Gangloffsömmern w Turyngii, zmarł 28 października 1763 r. w Dreźnie. Był pierwszym ministrem Saksonii i faworytem na dworach władców polskich Augusta II i Augusta III, gdzie dał się poznać jako sprawny organizator i manipulant. Należało do niego pięć miast, 170 wsi i około 120 tys. ha ziemi. W 1740 r. kupił posiadłość w Pförten (pol. Brody) na wschodnich Łużycach, położoną na dawnym szlaku z Drezna do Warszawy. W brodzkim pałacu umieścił największy na świecie serwis z porcelany, zwany Łabędzim.

SERWIS ŁABĘDZI

Rozmowa z Heinrichem von Brühlem,
właścicielem dóbr w Brodach

– August II Mocny zmarł w Warszawie. Krystian Watzdorf, bohater powieści *Brühl* Kraszewskiego, powiedział o nim, że „żył dużo, miał trzysta co najmniej kochanek, rozsypał miliony, wypił rzekę wina, nałamał podków i naściął głów dosyć”. A jak pan ocenia władcę Saksonii i Rzeczypospolitej?

– Królowi wdzięczny byłem za wszystko, co przy jego boku uzyskałem i kim się stałem. Jako skromny paż na dworze drezdeńskim karierę urzędniczą zaczynałem. Pilnie wykonywać powierzone zadania starałem się i zawsze miałem ochotę robić więcej, co Jego Wysokość dostrzegł i należycie docenił, dlatego mimo młodego wieku i nieszczególnego pochodzenia, w moje ręce ważne urzędy oddał. Mój pan, świętej pamięci August II z rodu Wettynów, władca z krwi i kości był, to i swoje wady miał. A któż ich nie ma? Złe strony w moim postępowaniu także da się wskazać. Przy łożu umierającego Augusta obecny byłem, więc wiem, co powiedział, zanim oczy na wieki zamknął. Powiedział: „Całe moje życie było jednym nieprzerwanym grzechem”. I jeszcze coś niewyraźnie dodał, może to była prośba o wybaczenie.

– Również o panu, hrabio, bohaterowie powieści Kraszewskiego nie mieli dobrej opinii. A Stanisław Trembecki napisał, że pan to „Niebezpieczny faworyt, pod monarchy cieniem, / Kąkol zamieszek pańskim rozsiewał imieniem”. Stanisław

Siupkiewicz ogłosił, że dorobił się pan pieniędzy, sprzedając urzędy w Rzeczypospolitej.

– Niesprawiedliwe pomówienia. Nie tylko oni pomyje na moją głowę wylali. Na dworze drezdeńskim też licznych wrogów miałem. Choćby Sułkowski i jego kompania.

– Przywołani autorzy twierdzą, że był pan bezwzględny, a do najwyższego urzędu doszedł podstępem, usuwając księcia Aleksandra Sułkowskiego z najbliższego otoczenia Augusta III.

– Kto politykiem nie umie być, niech sieje i orze, a nie miejsce u boku władcy zajmuje. Minister, który swoim pryncypałem nie potrafi kręcić, nie powinien ministrem być. To marny aktor w politycznym teatrze. Taki poważania na dworze władcy nigdy nie znajdzie i nie zdobędzie fortuny, o którą przecież mu chodziło. Trzeba cieleńcy rozum mieć, aby uwierzyć, że politycy dobru publicznemu służą. A intrygi, które pan przypomniałeś, zawsze częścią dworskiego życia były.

– Historycy podają, że mimo ogromnego talentu politycznego nie przeprowadził pan choćby jednej reformy. O czasach saskich piszą, że Rzeczpospolita nierządem stała. I że pana polityka doprowadziła do wojny siedmioletniej w Europie.

– Gdyby król mnie słuchał, a polscy magnaci zamiast jeść, pić i popuszczać pasa, na moją politykę się zdali, pod berłem Wettynów w wielkie państwo udałoby się Saksonię i Rzeczpospolitą złączyć. A gdyby to się tak udało, jak planowałem, wojny z Saksonią armia Hohenzollerna nie miałby odwagi rozpocząć. I Śląsk w ręce Prusaków by się nie dostał.

– August panuje, Brühl administruje. Taka opinia krążyła po złączonej unii personalną Saksonii i Rzeczypospolitej?

– Uwierz mi, prokuratorze, że okiem, uchem, myślą i wolą mego pana byłem.

– Wybitny polski znawca epoki saskiej Władysław Konopczyński twierdził, że pan zbierał łapówki, okradał kasy saskie, oszukiwał i demoralizował opinię, ogłupiał króla, psuł

mu pożycie z rodziną, szpiegował królową, królewietę i cały kraj.

– Dość tego!

– **Zaprzecza pan?**

– Dość, powiedziałem. Albo koniec naszej rozmowy.

– Mając trzydzieści cztery lata, ożenił się pan z siedemnastoletnią hrabianką Marią Anną Kollowrath-Krakovský'ą. Było to małżeństwo z miłości czy z rozsądku? A może z wyrachowania?

– Z nakazu.

– **Z nakazu króla?**

– Bez kobiet nic się nie dzieje. To i sekretem dworu drezdeńskiego było, że córkę pana mego, Augusta II Mocnego, z pozamałżeńskiego związku z hrabiną Cosel, Fryderykę Aleksandrę, zamężną hrabinę Moszyńską, miłowałem. Miłowałem, ale poślubić jej nie mogłem. Królowa nakazała, abym hrabiankę Annę Franciszkę Kollowrath-Krakovský'ą, córkę ochmistrzyni drezdeńskiej i czeskiego magnata, za żonę pojął. Na dworze saskim nawet o tym, którą pannę za którego kawalera wydać, królowa decydowała.

– Kraszewski podaje, że sercu Anny Franciszki był miłszy radca i szambelan królewski Watzdorf, którego pan kazał zamknąć w Königsteinie tylko dlatego, żeby pozbyć się rywala do ręki hrabianki. Radca zmarł tam po czternastu latach więzienia, „dobity tęsknotą i niewolą”.

– Stało się wedle życzenia królowej Marii Józefy i ochmistrzyni, rodzonej matki mojej żony. Dwadzieścia osiem lat małżeństwem byliśmy. Prawda, na pokaz żyliśmy. Na scenie życia wszyscyśmy aktorami, dlatego swoją rolę trzeba dobrze odegrać. Anna Franciszka swoje życie miała, ja, służbą zajęty, swoje. Dziesięcioro dzieci Anna na świat wydała, połowa w zdrowiu dorosłości doczekała. Niczego małżonce mojej nie szczędziłem. Dzieci też należycie wyposażylem. I wnukom sporo się dostało. Prawnukom takż.

– W każdej encyklopedii występuje pan jako ten Europejczyk, który miał największy serwis z porcelany.

– Wolałbym, żeby nie tylko z tej przyczyny moje nazwisko w kronikach zapisane zostało. Choćby z tej, że ogromne starania czynilem, aby doprowadzić do złączenia Saksonii i Rzeczypospolitej pod berłem Wettynów.

– Porcelana, to białe złoto, jak uważano na europejskich dworach, została wynaleziona w Chinach w siódmym stuleciu. Gdy osiemset lat później pierwsze porcelanowe naczynia pojawiły się w Portugalii, Francji, Niemczech, wywarły wrażenie przede wszystkim na możnych, bo jedynie ich było stać na taki wydatek. Ile prawdy jest w tym, że porcelaną się zachwycano w Europie i zazdroszczono Chińczykom, że wynaleźli technikę wyrobu tak pięknych naczyń?

– Dopiero co paziem na dworze Augusta II zostałem, kiedy królewski alchemik Ehrenfried Tschirnhaus, robiąc różne doświadczenia, pilnie strzeżoną tajemnicę chińskich mistrzów przypadkiem odkrywać zaczął. Zaczął i nagle ten świat opuścił. Jego pracę Johann Böttger kontynuował. Król złota potrzebował, bo wydatki ogromne, na wojnę z Prusami się zanosilo, a skarbiec pusty. Mimo że do sposobu przemiany różnych metali w złoto Böttger nie dotarł, piec do wypalania glinek wymyślił, to i po tym król specjalną opieką go otoczył. Kto Böttgerowi podszeptał, żeby kazał sobie przywieźć glinę z okolic Miśni, dalibóg nie wiem. Za to wiem, bo w mojej obecności August II pod niebiosa Böttgera wychwalał. Nie Bawaria, nie Prusy, cieszył się, lecz Saksonia pierwszym krajem w Europie jest, gdzie naczynia z porcelany zaczęto wyrabiać. Dworowi saskiemu wielkie korzyści materialne to przynosiło, a i splendoru dodawało. W owym czasie istniał przesąd, że w zetknięciu z trucizną, w potrawie lub napoju podaną, porcelanowe naczynie się rozpada.

– Kiedy powstała pierwsza manufaktura porcelany?

– Odkrycia Tschirnhausa i Böttgera tak króla zachwyciły, że 23 stycznia 1710 roku dekret wydał, na mocy którego w Dreźnie manufaktura ceramiczna powstała. Dwa miesiące później na zamek Albrechtsburg w Miśni przeniesiona została, skąd do pokładów glinki bardzo blisko było.

– Domyślam się, że za przykładem Chińczyków miśnieńska manufaktura pilnie strzegła tajemnicy związanej z tworzeniem porcelanowych cacek.

– Tak być miało, ale nie było. Jakim sposobem tajemnice z zamku Albrechtsburg wyciekły, tego nikt nie wiedział. Szpiedzy? Może być, bo jak grzyby po deszczu w całej Europie manufaktury porcelanowe zaczęły wyrastać. Böttger jeszcze dobrze pieca do wypalania glinki nie uruchomił, a już w Turynii na zamku Raustein bracia Greinerowie serwisy niewiele brzydsze od miśnieńskich wypalali. W Bohemii Klášterec nad Ohří już z pięknych talerzy słynął. Manufaktura w Saargemünd w Lotaryngii im dorównywała. W francuskim Saint-Amand-les-Eaux Maximilian-Joseph de Betzigues dawno zamknięty warsztat garncarski na powrót uruchomił. W manufakturze Saint-Cloud porcelanowe pojemniki na tabakę robili. W Saint-Uze naczynia do gotowania powstawały. W Sévres wszystko czynili, żeby tylko wielkość Miśni przyćmić. Rosyjski car Piotr I Wielki manufakturę w Petersburgu kazał założyć. Na ziemiach wschodniej Rzeczypospolitej rozgłos zyskał warsztat w Korcu. Królewski przywilej sprzedaży swoich wyrobów w całym kraju garncarze z Ćmielowa na Wyżynie Sandomierskiej dostali. Tyle się tego namnożyło, że i nawet szlachciurkowie brukowi kazali sobie na porcelanowych talerzach jadło podawać.

– „Tymczasem goście, potraw czekający w sali, / Z zadziwieniem na wielki serwis poglądali, / Którego równie drogi kruszec jak robota. / Jest podanie, że książę Radziwiłł-Sierota / Kazał ten sprzęt na urząd w Wenecyi zrobić / I wedle własnych planów po polsku ozdobić.”

– Andreas Gryphius?

– Wyimek z Księgi XII poematu narodowego *Pan Tadeusz* Adama Mickiewicza.

– Nie znam.

– Poemat powstał w 1832 roku. Wróćmy do Drezna, a właściwie do Miśni. Pan, będąc odpowiedzialnym przed królem za zbieranie podatków i akcyzy, był także dyrektorem manufaktury porcelany. Na Albrechtsburgu pod okiem mistrzów

Johanna Kändlera i Johanna Eberleina powstawały klejnoty sztuki ceramicznej. W Europie były nazywane białym złotem.
– Święta prawda! W Miśni klejnoty powstawały. Od przyjęcia farb naszkliwowych przy produkcji porcelany i ustalenia stylu miśnieńskich wyrobów to się zaczęło się rozwijać. O ile wiem, bo i nie wszystkie tajemnice nawet mnie mistrzowie zdradzali, w 1720 roku przybył tam malarz Johann Horoldt. Skąd? Nie pytałem, a on nie chwalił się, gdzie nauki pobierał i u kogo terminował.

– Od razu miśnieńscy mistrzowie robili te cieszące oczy naczynia stołowe?

– Z początku figurki i ozdóbki wypalali, którymi August się zachwycił. Pierwszy wielki serwis stołowy, tysiąc a może i więcej naczyń liczący, dla hrabiego Sułkowskiego i jego małżonki wykonali. Potem tak szybko serwisy dworskie powstawały, że panowanie nad manufakturą straciłem. A to z żółtym lwem, a to z czerwonym smokiem, a to z brązowym słoniem. Żółty myśliwski. Zielony myśliwski. Koronacyjny z okazji wstąpienia Augusta III na polski tron. Wszystkie były herbami rodowymi ozdobione. Kto pieniądze miał, o cenę nie pytał. Król powiadał, że z porcelaną jest jak z pomarańczami: jeśli na jedno lub drugie się zachoruje, nigdy tego dosyć się nie ma i zawsze więcej chce się mieć.

– Pan też zachorował na porcelanę miśnieńską.

– W 1737 roku, jak za małżonkę Annę Franciszkę Kollovraht-Krakovskýą pojąłem, trochę za jej namową i trochę dla podniesienia swego samopoczucia zastawę stołową kazałem zrobić. Jedyną w swoim rodzaju. Niepowtarzalną. Żeby na każdym dworze o niej rozprawiano, a moje nazwisko z szacunkiem i podziwem wymawiano. Tyle co pałac od fundamentów postawić, kosztowała, ale dumny z niej byłem. Małżonka moja też. O wyjątkowości serwisu nazwanego Łabędzim na dworach od Lizbony do Petersburga plotkowano. Do Miśni królowie z zamówieniami posłańców ślali, a każdy chciał mieć zastawę, jeśli nie wielkością, to przepychem i zdobieniami bogatszą od mojej albo chociaż równą.

– Co wyróżniało serwis Łabędzi, że wzbudził zachwyt na dworach całej Europy?

– Przede wszystkim wyjątkowej urody dekoracje. I jeszcze raz dekoracje. Nie było im równych. Nawet król to podkreślił i do mistrza Kändlera o to pretensję miał.

– Chodzi o tego samego rzeźbiarza Johanna Kändlera, który był współautorem dekoracji Zwingeru w Dreźnie?

– O niegoż. Bóg Ojciec nie zdolności, jakimi obdarował wielu mistrzów, a talent wielkiego artysty mu dał. Od wykonania rzeźb porcelanowych dla pałacu Japońskiego w Dreźnie Kändler zaczął. Przyjemnych dla oka, ale jakichś takich... Mnie one się nie widziały, a król pod niebiosa je wychwalał. Ale gdy figurki polskiej szlachty w kontuszach Kändler zaczął rzeźbić, o, że mistrz wielki, widać było. Mistrzu Kändler, zastawę stołową dla setki biesiadników u was zamawiam. Ile będzie kosztowała, mnie to nie interesuje. Choćbym królewski skarbiec miał okraść, w terminie zapłacę, ale i wy, mistrzu, terminu dotrzymajcie. Za cztery lata chcę mieć serwis wielki i taki piękny, żeby na jego widok ci, co znajdują się przy moim stole, gęby rozdziawiali.

– Johann Kändler bez zmruczenia oka przyjął zamówienie?

– Od dyrektora manufaktury miałby nie przyjąć? Od tego, który jest jego panem?

– Zgodził się sam jej wykonać czy robotę zlecił podwładnym?

– Do pomocy Johanna Eberleina sobie wziął. Nie mniej utalentowanego, tyle że bez doświadczenia w dekorowaniu porcelany. A może i lepiej, że pierwszy raz to robił, bo wyborne arcydzieło wyszło.

– Który to był rok?

– 1737.

– Ile zajęło im wykonanie serwisu?

– Ostatnią część dostałem w 1741 roku.

– Aż cztery lata?!

– Tyle czasu potrzebowali na wykonanie 2200 półmisek i waz do zupy, talerzy głębokich i talerzyków, podstawków, filiżanek i spodków, nelsonek, żardinierok, porcjówek, kompotierek, sosjerek,

salaterek, cukiernic, mleczników... Niektóre trudno było nazwać. Małżonka moja też nie wiedziała, jakie ich przeznaczenie, to stały na stole niby bukietki. Pytałem Kändlera, a on, że kto jak kto, ale pierwszy minister króla Rzeczypospolitej i elektora Saksonii wszystko powinien wiedzieć. Co się Waszej Wysokości nie widzi, zabiorę, Kändler tak do mnie. Miałbym się pozbyć najprawdziwszej twardej porcelany? Arcydzieła zdobione w kolorowo-złotym duchu?

– Co przedstawiały ozdoby?

– Kändler i Eberlein tak zrobili, jak moja małżonka sobie tego życzyła. Jedno to figurki były, drugie – malunki. Na naczyniach i przedmiotach dekoracyjnych znak złożony z herbów Brühlów i Kollovratów powtórzyli, aby wszystkim wiadome było, przy czym stole siedzą.

– Nie malunki zachwycały gości?

– Prawda to, że nie malunki. Dla ptaków z podziwu goście nie mogli wyjść. Na każdym przedmiocie Kändler i Eberlein figurkę przedstawiającą łabędzie albo inne istoty związane z wodą umieścili. Gdy o nazwy owych zwierząt ich pytałem, odpowiadali, że są tam delfiny, nereidy, syreny, muszle.

– Dlaczego ozdobili je istotami związanymi z wodą, a nie, na przykład, z lasem czy sadem albo ziemią?

– O to również pytałem. To mi Kändler odpowiedział, że kiedy drugi serwis zamówię, to zwierzętami łownymi i scenami z polowania postara się go ozdobić. Mistrzu Kändler, wy mnie byle historijką nie bałamućcie. Coś musiało spowodować, że parę łabędzią wybrałeś. Wtedy mi przyznał się, że gdy Eberleina spytał, czym mój serwis ozdobić, tamten przypomniał mu opowieść z mitologii greckiej o nieszczęśliwej miłości nimfy morskiej Galatei i pasterza Akisa. Cyklop Polifem także w nereidzie Galatei się zakochał. Kiedy cyklop zrozumiał, że nereida gdzie indziej ulokowała uczucia, ścigać kochanków zaczął. Nimfa Galatea do morza wskoczyła, pasterz Akis przygnieciony skałą padł. Wtedy Galatea krew swego umiłowanego w rzekę Acis zamieniła, co przez Sycylię płynie

– Naczynia i przedmioty wykonane w miśnieńskiej manufakturze porcelany przez Kändlera i Eberleina przeszły do historii świata jako serwis Łabędzi.

– Od początku tego się spodziewałem. Kiedy w 1737 roku pierwszą część serwisu do mojego pałacu, te talerze, te wazy, te konfiturierki, te... przywieźli, zachwyt mojej małżonki, mój i tych, którzy je oglądali, wzbudziły. Zanim nasze oczy je ujrzały, długą drogę po pałacach i dworach Saksonii odbyły, wszędzie zachwyt i podziw wzbudzając.

– Prawda to, że potrawy podawane w tak wyjątkowych naczyniach lepiej smakowały?

– Przedstawcie sobie, że po każdym przyjęciu już nie tylko figurek ubywało, ale i filiżanek, i spodków, sosjerek, nawet talerzy głębokich.

– Goście je kradli? Nazwę to delikatniej. Goście brali je sobie na pamiątkę?

– Każdego, kogo do pałacu zapraszałem, zawsze czymś obdarowywałem. Czymś, co swoją wartość miało. Taki zwyczaj z domu rodzinnego w Gangloffsömmern wyniosłem, dokąd on z moimi przodkami herbu Jastrzębiec z Brylewa w Wielkopolsce zawędrował.

– O tym historycy napisali co innego.

– Co tam historycy. W 1748 roku trybunał piotrkowski orzekł był, że polska krew w moich żyłach płynie.

– Historycy dowodzą, że przedstawił pan trybunałowi sfałszowaną genealogię.

– A kto w Warszawie i wokół miasta pałace stawiał? Kto podwarszawskie wsie Łomianki i Wola kupił? Kto generałem artylerii koronnej, generalnym komisarzem do wrót Morza Bałtyckiego, rotmistrzem chorągwi husarskiej, starostą błońskim, bolimowskim, kampinoskim, kościerzyńskim, lipnickim, piaseczyńskim, radomskim i spiskim, wójtem bydgoskim, dziedzicem na Gołębiowie, Górcie, Miechanowie, Pakosławiu, Sowinach, Turwi, Łodzi i kawalerem Orderu Orła Białego był?

– O tym niech pan nie wspomina, bo się wyda, ile pieniędzy te zaszczytne urzędy kosztowały i że podstępem pan je uzyskał.

– Gdyby tak było, jak mnie posądzacie, Marii Amalii, mojej pierworodnej, za Jerzego Mniszcha, późniejszego marszałka nadwornego koronnego, nie wydałbym.

– **A co Maria Amalia otrzymała w posagu?**

– Niemało. Oprócz dóbr wielkich ów porcelanowy klejnot, zwany serwisem Łabędzim, był. Potem, kiedy moja wnuczka za księcia Adama Kazimierza Czartoryskiego się wydawała, sporą część serwisu jako wiano dostała.

– **A co było z resztą łabądków lub schwanów, jak z niemiecka popularnie serwis określano?**

– W 1740 roku pałac z majątkiem w Pforten na Łużycach od dworzanina królewskiego Karla Watzdorfa kupiłem. Johannowi Knöfelowi, temu co pałac Unruhów w Kargowej postawił, rezydencję razem z miastem, nie pozbawiając jej otoczenia i naturalnego krajobrazu, kazałem zaprojektować. Imponująca miała być. Gdy rezydencja gotowa była, serwis Łabędzi w niej umieściłem. Wyobraźcie sobie, że wszystkie książęce głowy za punkt swego honoru tam zajrzeć uważały. Nad malowniczym jeziorem park w stylu angielskim i francuskim, pełen niezwykle rzadkich okazów drzew i krzewów, był. Jednego roku w ogrodzie *Sen nocy letniej* Szekspira wystawiłem, w mojej reżyserii, co po dworach całej Europy echem się odbiło.

– **Ile prawdy jest w tym, że zaznaczył pan w testamencie, że serwis Łabędzi nie może zostać podzielony?**

– Chciałem, żeby schwany ciekawość i zachwyt jak największej ilości ludzi budziły. W galeriach i muzeach pokazywane były, ale nie jako pojedyncze egzemplarze. Dlatego zapis ten zrobiłem: serwis Łabędzi jako dzieło sztuki wyłącznie w całości może być dziedziczone.

– **Dziękuję za rozmowę.**

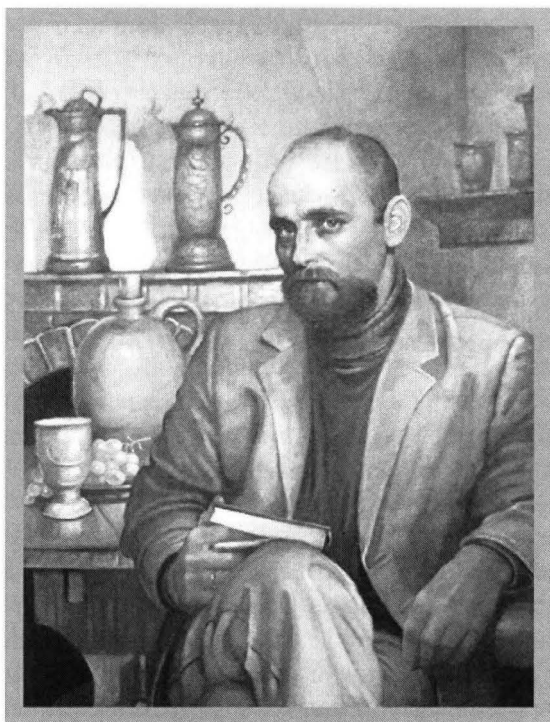
Rozproszony serwis

Do 1939 r. serwis Łabędzi na pewno znajdował się w pałacu w Pförten, służąc właścicielom majątku, którymi byli potomkowie Heinricha von Brühla. Czy znajdował się tam w całości? Z tekstów różnych autorów wynika, że z 2200 naczyń i przedmiotów w Pförten zostało może 1400. Reszta zaginęła w niemożliwych do wskazania okolicznościach. Część mogła ulec zniszczeniu. 15 lutego 1945 r. żołnierze Armii Czerwonej weszli do miasteczka, nie tocząc żadnych walk z wojskami niemieckimi. Wtedy jednak pałac został podpалony. Przez kogo? Może przez uciekających Niemców, a może przez czerwonoarmistów? Czy jeszcze wtedy serwis Łabędzi znajdował się w pałacu?

Po Brodach krąży legenda, że zanim czerwonoarmiści weszli do miasteczka, właściciele majątku kazali służbie spakować dzieła sztuki i najcenniejsze sprzęty, załadować je na wozy i wywieźć z Pförten. Konwój nie przekroczył Nysy Łużyckiej. Zawrócił? Dokąd? A może, jak domyślają się poszukiwacze skarbów z Brodów, to, co było na wozach, zostało zakopane wzdłuż drogi w lesie? Byli już tacy, którzy drobnymi krokami uważnie podążali tą samą drogą, ale niczego, co pochodziło z pałacu, nie znaleźli. (Coś podobnego stało się z majątkiem znajdującym się do 1945 r. w pałacu Talleyrandów w Żaganiu. Śledczym udało się potwierdzić, że skrzynie z obrazami, rzeźbami, książkami, manuskryptami, naczyniami i innymi sprzętami zostały załadowane na samochody. Kolumna ruszyła w stronę Klitschdorf [pol. Kliczków], jednak nigdy tam nie dotarła. Co się mogło stać z częścią ładunku, przedstawiłem w powieści *Szajbus*). Wedle drugiej legendy potomkowie Heinricha von Brühla kazali serwis Łabędzi zapakować do skrzyń i je zatopić w Jeziorze Brodzkim. I znowu znaleźli się tacy, którzy wynajęli nurków, żeby metr po metrze sprawdzili, czy na dnie leżą jakieś talerzyki, wazy, filiżanki. Niczego, co miałyby znaki miśnieńskiej manufaktury, nie znaleźli. Jest i trzecia opowieść, chyba najbardziej przekonująca. Otóż kiedy Armia Czerwona zbliżała się do Nysy, ostatni właściciel pałacu kazał porcelanę zapakować do skrzyń i ukryć w piwnicach. Może nawet zamurować? Gdzie? To mogłoby się wyjaśnić, gdyby zachowały się plany pałacu, a one spłonęły w 1945 r. Zdaniem poszukiwacza skarbów i archiwisty Lecha Zwirełły, „z miesiącami

tuż po zakończeniu drugiej wojny światowej wiązą się najbardziej tragiczne, ale i tajemnicze losy serwisu. Wójt powiadomił władze o tym, że w piwnicach w Brodach jest zabezpieczone dzieło sztuki tej klasy. Jednak nikt nie zainteresował się serwisem. Do pałacu zaczęli się zjeżdżać szabrownicy i znawcy, którzy oferowali łapówki za wejście do podziemi. W sierpniu 1945 r. wójt został aresztowany, jak twierdził, w wyniku prowokacji handlarzy, którzy chcieli mieć łatwy dostęp do podziemi. Kiedy wyszedł z aresztu w grudniu, po serwisie pozostało tylko wspomnienie”. Delegat ministra kultury ds. zabezpieczenia dzieł sztuki w województwie dolnośląskim, Stefan Styczyński, w 1948 r. oglądał spalony pałac w Brodach. Powołując się na rozmowę z wójtem, tak opisał stan podziemi w 1945 r. „Sama piwnica, przeszło 30 m kw. powierzchni, sklepiona na wysokości ok. 4 m, zabudowana na całej wysokości i szerokości półkami. Pośrodku posiadała również silną konstrukcję półek dostępnych z obu stron. Na środkowej części i na niższych półkach mieściły się największe i najcięższe okazy, misy i łabędzie. Górne półki wypełnione były mniejszymi egzemplarzami, przeważnie figuralnymi grupami, wazonami, talerzami itp. Informator zaznacza, że ogólne wrażenie, jakiego doznał po wejściu do piwnicy, to poczucie wielkiego bogactwa i niezwykłości, którą to niezwykłość powiększała, jak się wyraził, ta »porcelanowa łabędziarnia«”.

Jak to się stało, że zaginione łabądkie, jak polscy historycy nazywają naczynia stanowiące ów słynny serwis, co rusz trafiają na aukcje dzieł sztuki, gdzie osiągają zawrotne ceny? Może jednak zaraz za żołnierzami Armii Czerwonej pojawili się w Brodach wysłannicy tych, którzy wiedzieli, jaką wartość ma serwis Łabędzi? A może to byli zwykli szabrownicy? Znawcy zabytkowej porcelany twierdzą, że właścicielami pojedynczych łabądków są kolekcjonerzy na całym świecie, kilku z nich mieszka w Warszawie. Po dwa półmiski z serwisu Łabędziego mają muzea Narodowe we Wrocławiu i Zamek Kórnik. Pojedyncze naczynia są w zbiorach muzeów w Poznaniu, Krakowie i Gdańsku.



*Bogdan Kres – portret pędzla Ireny Bierwiazzonek
ze zbiorów Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze*

Bogdan Kres

Urodził się 1932 w Bydgoszczy, zmarł 19 października 2003 r. w Zielonej Górze. Ukończył studia archeologiczne na Uniwersytecie Warszawskim. Rozprawę doktorską obronił na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. W latach 1956-1958 pracował w Muzeum Regionalnym w Międzyrzeczu. Potem przeniósł się do Zielonej Góry, gdzie od 1965 do 1970 r. był dyrektorem Muzeum Ziemi Lubuskiej. Jako docent wykładał w Wyższej Szkole Pedagogicznej. Spod jego pióra wyszły m.in. prace *Zarys dziejów winiarstwa zielonogórskiego*, *Szkło artystyczne w zbiorach zielonogórskiego muzeum*, *Cmentarzysko ludności kultury łużyckiej w Zawadzie pow. Zielona Góra*.

BONAPARTE MÓGŁ ZGINĄĆ W MIĘDZYRZECZU

**Rozmowa z dr. Bogdanem Kressem,
badaczem przeszłości**

– Po tryumfie armii Napoleona Bonapartego pod Austerlitz rozpadło się Święte Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego...

– ...co postanowił wykorzystać król Prus Fryderyk Wilhelm III, domagając się od zwycięzcy wycofania wojsk francuskich ze wszystkich państw niemieckich i zgody na utworzenie konfederacji północnogermańskiej pod nadzorem Prus. Bonaparte odpowiedział zwycięską bitwą pod Jeną i Austerstädt. Piękna Luiza, jak mówiono o żonie pruskiego monarchy, zapisała, że „W ciągu jednego dnia los zburzył budowlę, nad wzniesieniem której ludzie pracowali przez dwa stulecia”. Król uszedł z Berlina do Prus Wschodnich. Jego droga prowadziła przez Landsberg, przez który przejechał 28 października 1806 roku, nawet nie zatrzymując się na odpoczynek.

– Trzy dni później tą samą drogą do nadwarciańskiego Landsberga wjechał regiment francuski. 26 listopada Napoleon też był w Landsbergu, ale nie zatrzymał się w mieście na dłużej. Ze swoją świtą ruszył w stronę Międzyrzecza. Czy już wtedy dał Polakom nadzieję na odzyskanie państwa?

– Prawdę mówiąc, to jeszcze zanim Bonaparte rozpoczął wojnę z Austrią, Polacy stanęli u jego boku, mając obietnicę odzyskania własnego państwa. Najpierw wiązali nadzieję z Tadeuszem Kościuszką. Potem z Janem Henrykiem Dąbrowskim i polskimi

legionami we Włoszech. Józef Wybicki wezwał rodaków słowami: „Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę, / będziem Polakami, / dał nam przykład Bonaparte, / jak zwyciężać mamy”. A wie pan, co o Polakach powiedział po bitwie po Samosierrą?

– „Dla moich Polaków nie ma rzeczy niemożliwych”. Do swoich żołnierzy powiedział: „Pijcie jak Polacy, ale bądźcie równie dzielni jak oni”. A podczas przeglądu wojska, gdy skompromitował się polski pułk, rzucił: „Ci ludzie umieją się tylko bić”.

– Dopiero klęska wojsk pruskich w Turyngii sprawiła, że plan Bonaparte’go dotyczący likwidacji Królestwa Prus mógł się udać. Cesarz Francuzów chciał na miejscu Prus zorganizować nowe państwo. Najpierw jednak postanowił zająć środkową Europę, przywracając w niej Polskę. Żeby to mogło się stać, generał Wybicki napisał odezwę do Polaków, a generał Dąbrowski wywołał powstanie w Wielkopolsce będącej pod zaborem pruskim. Armia francuska w zasadzie bez walki wkraczała do miasteczek, przyjaźnie witana. Młodzi mężczyźni nawet ochoczo wstępowali do polskiego wojska, które organizowało się u boku Francuzów.

– Dlaczego Napoleon ruszył z Landsbergą w stronę Międzyrzecza, a nie wprost ku Poznaniowi, drogą przez Skwierzynę i Pniewy?

– Nie potrafię odpowiedzieć, chociaż wydaje mi się, że chciał jechać traktem frankfurckim, a ten prowadził z Berlina przez Frankfurt i Międzyrzecz do Poznania. Przyjazdu cesarza do miasta spodziewali się mieszkańcy między innymi dlatego, że wcześniej pojawiła się forpocztą wojsk francuskich pod dowództwem generała Rémy’ego Exelmansa. Ponadto przed zaborami Międzyrzecz był najdalej na zachód wysuniętym miastem polskim.

– Kiedy Francuzi weszli do Międzyrzecza?

– Stało się to 1 listopada 1806 roku. Tego dnia właściciel majątku ziemskiego Weinhard Kiutzel wybrał się na przejażdżkę po swoich dobrach. Był on pierwszym, który natknął się na Francuzów. Natychmiast zawrócił konia i pogalopował do miasta. Przy karczmie Pod Żłotymi Lwami krzyknął: „Wojska napoleońskie będą za chwilę w Międzyrzeczu! Już są na górach kęszyckich!” Po niedługim czasie

Francuzi byli przy karczmie. Dowódca strzelców generał Exelmans, Alzarczyk z pochodzenia, spytał po niemiecku: „Co to za budowla widoczna za karczmą?” Ktoś odpowiedział, że to stary polski zamek. Generał kazał podwładnym zsiąść z koni i wyprowadzić je na pobliską łąkę. Żołnierze rozebrali drewniany płot i rozpalili ognisko. Mieszkańcy miasta, myśląc, że palą się stodoły na trakcie frankfurckim, wybiegli, żeby je ugasić. Ale że to byli Francuzi, zapanowało coś na kształt wymuszonego zadowolenia, chociaż, jak podają kronikarze, mieszczenie w większości niemieckiego pochodzenia, nie odnosili się z przyjaźnią do Francuzów.

– **Strzelców trzeba było nakarmić, przenocować, może i zabawić.**

– Jak podaje kronikarz, generał Exelmans wezwał burmistrza Carla Browna. Zażądał od niego przygotowania dla żołnierzy 800 strawnych zup, 800 porcji mięsa, 10 ton piwa, 5 ton wina, dla 800 koni owsa i siana. Natychmiast. A przed odjazdem strzelców polecił przygotować: 20 zielonych płaszczy, dwie pary butów i 40 par ostróg. Za produkty miała zapłacić kasa cesarska w Poznaniu. Żołnierze kwaterowali w stodołach, oficerowie zaś przenieśli się do zamku, gdzie byli goszczeni przez kupców.

– **Jak długo strzelcy generała Exelmansa stacjonowali w Międzyrzeczu?**

– Niespełna dwa dni. Z Międzyrzecza ruszyli drogą przez Pszczew do Prusimia i dalej w kierunku Poznania. Inna wersja mówi, że poszli przez Trzciel.

– **Może regiment podzielił się na dwa pododdziały?**

– Tego dziś pewnie nie da się wyjaśnić. Są bowiem dwa punkty widzenia czasów napoleońskich. Polski i pruski. Polska ludność rodzima traktowała Francuzów jako oswobodzicieli, pruska – jako najęźdźców. Z polskich przekazów wynika, że tak forpocza, jak i święta Bonapartego w każdej miejscowości były albo witane serdecznie, często goszczone, albo tylko pozdrawiane. Niemieckie przekazy na ten temat milczą lub traktują tamte czasy z niechęcią.

– **Dlatego jest trudno oddzielić legendę od rzeczywistości?**

– Większość dziejopisów podaje, że Bonaparte przyjechał do Międzyrzecza wprost ze Skwierzyny od strony Pszczewa. Są też i tacy, którzy przekonują, że wjechał do miasta od strony Trzciela. Mało tego, że zanim postawił nogę na międzyrzeckim bruku, kwaterował w budynku bramnym w Trzcielu i że tam został ugoszczony przez mieszczan.

– **Co na ten temat mówią stare kroniki?**

– Ani nie zaprzeczają, że tak było, ani nie potwierdzają tego faktu. W spisie mieszkańców Trzciela, zapoczątkowanym w 1784 roku, będącym również kroniką miasta, jest taka informacja: „od dnia 7 maja 1793 roku do 1807 roku byliśmy pod panowaniem Króla Pruskiego Frydrycha Wilhelma. Francuzi idąc przeciw Królowi Pruskiemu i Cesarzowi Rosji z wielkim wojskiem weszli do naszego kraju dnia 1 listopada 1806 roku. Zawarli pokój w roku 1807 i zostaliśmy jako Księstwo Wielkie warszawskie do 1812 roku”.

– **Kronikarze nie wątpią, że Napoleon przebywał w Międzyrzeczu?**

– Wszyscy dokumentaliści potwierdzają pobyt cesarza w mieście. Jedni podają, że przyjechał około szesnastej i po krótkim odpoczynku odjechał w stronę Wielkopolski. Drudzy pobyt Bonapartego w Międzyrzeczu wydłużają do wieczora, nocy i ranka następnego dnia.

– **Skoro identycznie jak w Trzcielu są różne zdania na temat pobytu cesarza w Międzyrzeczu, to skąd wiadomo, że na pewno był w mieście?**

– Wiadomo jedynie na podstawie przekazu ustnego.

– **Legenda?**

– W każdej legendzie jako informacji przekazywanej z ust do ust, często ubarwionej, bywa, że i podważanej, jeśli chodzi o wiarygodność, jednak kryje się ziarno prawdy. Gdyby nawet zgodzić się, że Bonaparte nocował w Międzyrzeczu, to nie wszystkie wydarzenia związane z tym faktem są możliwe do przyjęcia bez wątpliwości.

– **Mimo to przyjmuję, że 26 listopada 1806 roku Napoleon przyjechał do Międzyrzecza. Gdzie się zatrzymał?**

– Na kwaterę cesarza minister dworu wybrał największy, bo dwupiętrowy dom Johanna Volmera, stojący w pobliżu ratusza. W znanych mi dokumentach Volmer występuje jako Johann, chociaż mam wątpliwości, bo może był Janem.

– **Kim był Volmer?**

– Tylko w jednym są zgodne kroniki miejskie: Volmer to bardzo bogaty kupiec i przedsiębiorca, filantrop i ojciec ubogich.

– **Był zatem Polakiem czy Prusakiem?**

– Volmerowie od dwóch pokoleń mieszkali w Międzyrzeczu. Zajmowali się rzemiosłem sukiennym. W tamtym czasie w mieście było 760 warsztatów sukienniczych. Volmerowie pobierali od nich gotowe wyroby i sprzedawali je w Rosji, Chinach, Polsce, Prusach, na Litwie. Bardzo wysokiej jakości sukno międzyrzeckie było oznaczone sygnaturą JJVM. Ojciec Johanna, tego, w którego domu miał mieszkać Bonaparte, Christof Volmer, w latach 1772-1795 sprawował urząd burmistrza miasta. Johann urodził się w 1753 roku. Jako lojalny poddany króla polskiego 29 lipca 1791 roku uroczystie podpisał Ustawę Rządową, czyli słynną Konstytucję 3 Maja, zrobił to wspólnie ze starostą międzyrzeckim Antonim Jabłonowskim i 248 mieszczanami. Cieszył się ogromnym szacunkiem w mieście i był stawiany za wzór przedsiębiorczego obywatela Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Z pewnością należał do najbogatszych międzyrzeczan, o czym świadczył jego dwupiętrowy dom stojący w pobliżu ratusza.

– **W 1793 roku doszło do drugiego rozbioru Polski. Międzyrzecz znalazł się w granicach Królestwa Pruskiego.**

– 7 maja 1793 roku mieszkańcy Międzyrzecza i okolic złożyli hołd wierności królowi pruskiemu Fryderykowi Wilhelmowi II. Wśród nich był najbogatszy międzyrzeczanin. Królowi został przedstawiony jako Johann Volmer, wyśmienity kupiec, a przy tym człowiek spokojny i niezawodny. Jak poprzednio w Warszawie, tak teraz w Berlinie był traktowany jako mąż godny zaufania.

– **Volmer pozostał katolikiem czy przeszedł na wiarę ewangelicką?**

– Międzyrzecz leżał na pograniczu polsko-brandenburskim. Miasto było tak samo tolerancyjne wobec katolików, jak i luteran. Wśród 2510 mieszkańców żyło 700 Żydów. O znaczeniu tej grupy wyznaniowej w mieście świadczy to, że główna uroczystość, podczas której mieszkańcy składali hołd wierności władcy pruskiemu, odbyła się w synagodze. Należy przyjąć, że Volmer wyznawał wiarę ewangelicką, chociaż mógł być ochrzczony kościele katolickim.

– Zażrzyjmy do jego domu. Jak ten najbogatszy, spokojny, godny zaufania mąż przyjął cesarza Francuzów?

– Znowu są dwie wersje. Wedle jednej, nie wylewnie, ale z szacunkiem należnym gościowi i podróżnemu. Wedle drugiej, Bonaparte chciał porozmawiać z właścicielem domu, Volmer zaś nie palił się do rozmowy z cesarzem, dlatego wysłał przed jego oblicze zarządcę swoich dóbr Buchholza. Zirytowany taką odpowiedzią Bonaparte po zamkniętego z żoną i córką kupca posłał Buchholza w towarzystwie swoich żołnierzy. Volmer nie miał wyboru. Jak podaje kronikarz, ze ściśniętym sercem poszedł na piętro zajmowane przez cesarza i przedstawił się jako właściciel kamienicy.

– Czy cesarz go zrugał?

– Nie. W wydawanym w Poznaniu czasopiśmie „Aus dem Posner Lande” ukazała się konfabulowana relacja z rozmowy Bonapartego z Volmerem pióra Engelberta Hertela. „– Jakim interesami pan się zajmuje? – zapytał cesarz. – Handlem suknem do Rosji. – Ilu ludzi zatrudnia pańska fabryka? – Żadnego – odpowiedział Volmer – bo w okolicznych miastach mieszkają przeważnie sukiennicy i od nich skupujemy sukno. – Jaki jest rozmiar takiej sztuki sukna i jaka jest najniższa cena? – Sztuka sukna to 24 łokcie, a cena wynosi 24 talary. – Cesarz po chwili zastanowienia zwrócił się do przysłuchującego się rozmowie marszałka Alexandra Berthiera: – 24 talary, ile to jest franków? – Sto franków, Wasza wysokość – odparł Berthier. – Każcie mi przynieść, drogi Berthier, płaszcz noszony przez piechura, a wy panowie [zwrócił się do Volmera i Buchholza], przynieście mi taką sztukę sukna i rozłóżcie ją na tym dużym stole”.

– I pewnie Volmer miał ochotę powiedzieć, że najeżdźcy na Królestwo Prus nie sprzedą ani łokcia sukna, ale powiedział

co innego? Na przykład, że najpierw musi zrealizować wszystkie wcześniejsze zamówienia.

– Hertel pisze, że „Buchholz rozłożył szybko sukno i odmierzył je płaszczem. Po chwili stwierdził, że jedna sztuk sukna wychodzi na uszycie czterech płaszczy. Napoleon wyraźnie zadowolony powiedział radosnym tonem: – Dostarczy mi pan dziesięć tysięcy takich sztuk sukna! – Zaskoczony tym Volmer zaczął tłumaczyć, że jest w stanie dostarczyć tylko dwa tysiące sztuk materiału”. Cesarz nakazał marszałkowi Berthierowi wystawić asygnatę na cesarską kasę wojenną w Poznaniu, gdzie kupiec mógł podjąć kwotę należną po dostarczeniu zamówienia. Gdy Buchholz wyraził obawy, co do wartości asygnaty w czasie wojny, Bonaparte oznaczył ją własnoręcznym podpisem.

– I dopiero gdy Volmer dostarczył sukno Francuzom, kasa cesarska zrealizowała asygnatę?

– Na ten temat kronikarze milczą.

– Co jeszcze wiadomo o pobycie Napoleona w Międzyrzeczu?

– 26 listopada pewnie zjadł kolację w towarzystwie marszałka Berthiera i może wysłuchał relacji czy meldunków z przemarszu wojsk. Prawdopodobnie potem, a może wcześniej, ten leworęczny władca, przypominam to tylko dlatego, że mówi się, iż osoby leworęczne są bardziej inteligentne, więc potem napisał list do Józefiny. Kroniki odnotowały, że pierwszy list w kampanii wiodącej ku utworzeniu Księstwa Warszawskiego cesarz napisał w Międzyrzeczu. Kopia dokumentu znajduje się w miejscowym muzeum.

– Czyli poza rozmową cesarza z kupcem na temat sukna nie ciekawego nie wydarzyło się w mieście tamtego dnia.

– 26 listopada nic. Następnego dnia zaledwie dziesięć metrów i kilka minut dzieliło Europę od zdarzenia, które mogło zmienić bieg historii.

– Co takiego miało miejsce w Międzyrzeczu?

– Miało albo i nie. Prawdziwości tego zdarzenia nie potwierdza żaden świadek. Jest to jedynie przekaz ustny, uwieczniony po latach przez niemieckich kronikarzy miasta. Otóż wczesnym rankiem

27 listopada radca podatkowy Friedrich Sprengel postanowił zastrzelić cesarza Francuzów. Miał tego dokonać w zemście za niedawne upokorzenie króla Fryderyka Wilhelma i klęskę armii pruskiej na polach bitew pod Jeną i Austerstädt. Ze sztucernym pożyczonym od swego sąsiada, mistrza murarskiego Buttela, Sprengel dostał się do wieży ratusza, stojącej na wprost domu Volmera. Z tego miejsca do drzwi domu było najwyżej dziesięć metrów.

– **Dziesięć? Jestem pewny, że jest kilka razy więcej.**

– Dziś jest kilka razy więcej. Do 1827 roku drewniana wieża stała na wprost domu Volmera. Po pożarze zbudowano wieżę w tym miejscu, gdzie jest teraz, czyli mniej więcej pięćdziesiąt metrów od miejsca, gdzie mieszkał Volmer z rodziną.

– **Sprengel zaatakował cesarza?**

– Buttell, który mu pożyczył sztucer, domyślił się, co chce zrobić jego sąsiad. Ledwie zaczęło się rozwidniać, dostał się do wieży, gdzie zastał Sprengela i zaczął go przekonywać, żeby zrezygnował ze swego zamiaru. Nie myślał o tym, że zabicie cesarza Francuzów w Międzyrzeczu może zmienić losy pobitych Prus. Buttell zdawał sobie sprawę ze zgubnych skutków tego czynu przede wszystkim w odniesieniu do Międzyrzecza. Przecież Francuzi w odwecie mogli ograbić i spalić miasto. Część kronikarzy zgodnie powtarza, że Buttelowi udało się namówić Sprengela do odłożenia sztucera w chwili, kiedy otworzyły się drzwi i cesarz wyszedł z domu na rynek. Inna część podaje, że nie Buttell przekonał swego sąsiada, żeby zmienił swoją decyzję. Czekał w wieży Sprengel sam doszedł do wniosku, jaki konsekwencje może spowodować jego czyn.

– **Czy cesarz albo ktoś z jego świty dowiedział się o przygotowanym zamachu?**

– Na ten temat w kronice miejskiej nie ma nawet jednego słowa.

– Historycy podają, że prób zamachu na Napoleona było bardzo dużo. Po przegranej wyprawie na Rosję, kiedy 12 grudnia 1812 roku pod przybranym nazwiskiem księcia Vincenza Napoleon zatrzymał się w Głogowie, w pośpiechu szykowano zamach na jego życie. I może zamach by się udał, gdyby gość

po szybkiej wieczerzy i niecałej godzinie snu nie wyjechał z miasta.

– Biografowie Bonapartego podają, że miał niebywale wycucie sytuacji. Szósty zmysł mu podpowiadał, jakie powinien podjąć działania. Przy tym był wyjątkowym strategiem wojskowym, mężem stanu i władcą, którego można było krytykować. Chciał i umiał słuchać doradców. W przeciwieństwie do innych panujących był cierpliwy oraz, co nie jest częstą cechą panujących, wyróżniała go niemal żelazna wytrzymałość na wszelkie trudy. Bywało, że spał godzinę w ciągu doby.

– Co się zmieniło w Międzyrzeczu po wyjeździe Napoleona z miasta?

– Komendantem garnizonu został Alzarczyk pułkownik Target. Zamieszkał w tym samym domu, w którym pod koniec listopada kwaterował Bonaparte ze swoją świtą. W noc sylwestrową z 1806 na 1807 rok wybuchł pożar w pobliskiej piekarni. Bezsnieżna zima mogła sprzyjać rozprzestrzenianiu się ognia na kryte gontami dachy domów. Komendant Target zorganizował akcję gaśniczą. Gdy wracał konno na kwaterę, został zaatakowany przez podpitego mieszczanina, byłego podoficera armii pruskiej Golza. Sąd wojenny skazał zamachowca na karę śmierci przez powieszenie. Skazańca przyprowadzono pod szubienicę i odczytano wyrok. Wtedy mieszczki zaczęły błagać Targeta o darowanie życia Goltowi. Komendant zamienił karę śmierci na okładanie kijami.

– Czy długo Francuzi stacjonowali w mieście?

– Do połowy 1807 roku. 9 lipca zawarli traktat z Prusami w Tylży. Na jego mocy Królestwo Prus zrzekało się ziem zajętych podczas drugiego, trzeciego i częściowo pierwszego rozbioru Polski. Na mocy traktatu zawartego w Tylży z Rosją dwa dni wcześniej powstało Księstwo Warszawskie, w którego granicach znalazł się Międzyrzecz. W 1813 roku ponownie stał się miastem administrowanym przez Niemców, najpierw w Wielkim Księstwie Poznańskim, potem w Prowincji Poznańskiej, jeszcze później w Cesarstwie Niemieckim i Trzeciej Rzeszy. Tak było do 1945 roku, kiedy wrócił do Rzeczypospolitej.

– Dziękuję za rozmowę.

Lubuskie pamiątki napoleońskie

Do historii świata przeszło wiele zdarzeń z epoki napoleońskiej. Cesarz Francuzów spowodował wielką kodyfikację prawa. We wszystkich państwach, w których zaznaczył swoją władzę, zmienił ruch drogowy z lewostronnego na prawostronny.

O jego pobycie na Środkowym Nadodrzu świadczą pamiątki.

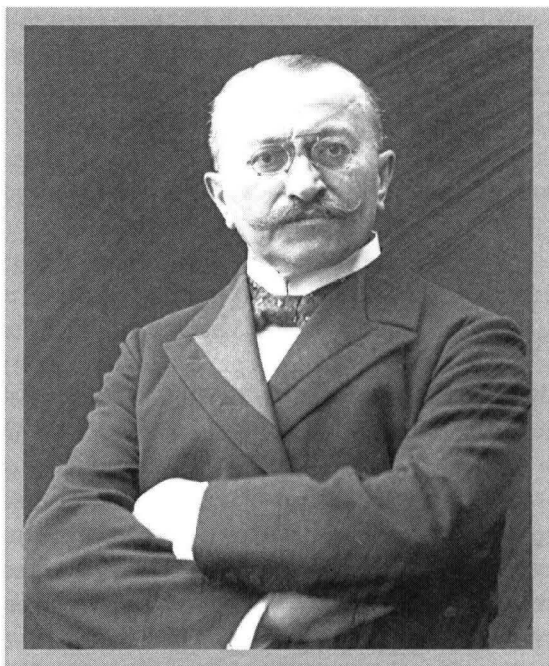
We wschodniej pierzei rynku, w pobliżu międzyrzeckiego ratusza stał budynek przez Niemców nazywany Napoleonhaus, a przez polskich mieszkańców miasta – Domem Napoleona. Był to ten sam budynek, w którym 26 listopada 1806 r. kwaterował Bonaparte. Dom został rozebrany po 1945 r.

Bruk Napoleona to fragment drogi z Sulęcina do Glisna, którą można dojechać do źródeł Czerwonego Potoku na Uroczysku Lubniewsko. Nazwa przylgnęła do tego miejsca po tym, jak mieszkańcy miasta zostali zobowiązani przez Francuzów najpierw w 1806, potem w 1812 r. do pokrycia kosztów pobytu wojska w ich mieście. Pożyczkę spłacali do 1847 r.

Kamień na skwerze przy ul. 3 Maja w Gubinie z cyframi 1812 został ustawiony w miejscu zbiórki wojsk saskich, które brały udział w wyprawie napoleońskiej na Rosję.

Sosna Francuzów w Królikowicach rośnie w pobliżu wioski między Nowym Miasteczkiem a Bytomiem Odrzańskim. 15 sierpnia 1813 r. francuscy żołnierze stacjonujący we wsi, z okazji urodzin Napoleona, posadzili obok siebie sosnę i dąb.

Dąb Napoleon rósł na skarpie pradoliny Odry 3 km na wschód od Zaboru koło Zielonej Góry. Do 15 listopada 2010 r. był najgrubszym dębem szypułkowym w Polsce. Tego dnia został podpалony przez wandalów. Drzewo miało 650-700 lat. Obwód pnia wynosił 1052 cm, wysokość 22 m. Według legendy pod jego konarami odpoczywał Bonaparte przed przeprawą przez Odrę w 1812 r.



*Georg Beuchelt – fotografia ze zbiorów Muzeum Ziemi Lubuskiej
w Zielonej Górze*

Georg Beuchelt

Urodził się 3 stycznia 1852 w Zwickau, zmarł 17 sierpnia 1913 r. w Grünbergu (pol. Zielona Góra). Dyplom inżyniera zdobył w Technische Hochschule w Dreźnie. Pracował w filii Niederschleisischen Maschinenbau w Grünbergu. W 1876 r. upadłą fabrykę kupił razem z Albertem Ribbeckiem, w 1888 stając się jedynym jej właścicielem. Beuchelt & Co. budował mosty, wiadukty, hale dworcowe i inne konstrukcje stalowe głównie dla kolejnictwa. Był największym pracodawcą w mieście. Pełnił wiele funkcji społecznych, zasiadając m.in. w Reichstagu.

WIĘCEJ NIŻ FABRYKANT

Rozmowa z Georgiem Beucheltem, właścicielem fabryki konstrukcji stalowych i budowy mostów w Grünbergu

– Praktykę postudencką odbył pan w Duisburgu, leżącym w centrum przemysłowego Zagłębia Ruhry. Dlaczego nie został pan tam na stałe, a podjął pracę w niewiele znaczącym, nieprzemysłowym Grünbergu?

– Urodziłem się w Zwickau, mieście kompozytora i pianisty okresu romantyzmu, Roberta Schumanna, o czym mówiłem kolegom przy kieliszku wina. Nie oznacza to, że chciałem zostać muzykiem. Muzykę, owszem, lubiłem, tyle że mój ojciec, mistrz budowlany, uważał ten fach za nieprzydatny. Chłopak, jego zdaniem, powinien robić coś, co będzie stało i co każdy będzie podziwiał. Skończyłem więc najpierw szkołę przemysłową w Chemnitz, potem studia inżynierskie w drezdeńskiej Technische Hochschule. Nie byłem jedynym, który odbywał praktykę w Zagłębiu Ruhry. Byłem jedynym, który doszedł do wniosku, że powinien pracować z dala od Duisburga. Że to, czego się tam nauczyłem, trzeba przenieść na mniej uprzemysłowiony teren. Po zakończeniu praktyki z głową pełną pomysłów wszedłem do gabinetu prezesa zakładu budowy maszyn w Görlitz, a on, że chętnie mnie zatrudni, ale w filii w Grünbergu, z którą są same kłopoty.

– Co robiono w filii?

– Teoretycznie filia miała odpowiadać na oczekiwania powstających kopalni węgla brunatnego. W 1839 roku Carl Pohlenz rozpoczął

wydobywanie tego surowca w okolicach miasta. Złóża zalegały na głębokości 40 metrów. Żeby się do nich dostać, trzeba było budować szyby i instalować maszyny. Niestety, koszty wydobywania i transportu nie pokrywały dochodów ze sprzedaży i podmiejskie kopalnie zaczęły przetwarzać węgiel na brykiet. Nadzieja, że rozwijające się górnictwo będzie potrzebowało maszyn, okazała się płonna.

– Grünberg był miastem sukienników, może więc...?

– Do konstruowania maszyn przedziałniczych potrzebne było doświadczenie i ogromna wiedza inżynierska. W produkcji krosien tkackich wyspecjalizowali się Anglicy i Holendrzy. Nieskomplikowane maszyny robili bracia Suckerowie przy Grosse Bergstrasse. Trudno było dostać się na ich poletko. Właściciel filii upatrywał swojej szansy w szybkim rozwoju kolejnictwa, tyle że we wschodniej słabo zaludnionej części Niemiec ta forma podróżowania nie cieszyła powodzeniem. Tu, na terenie zalesionym, pagórkowatym i podmokłym, żeby poprowadzić linię kolejową, jak mi wyjaśnili koledzy inżynierowie, najpierw trzeba wyciąć hektary lasów, postawić kilometry mostów i wiaduktów. Kto pokryje koszty?

– Mimo to rozpoczął pan pracę w Grünbergu?

– Prawdę mówiąc to nie zdążyłem popracować, bo kiedy przyjechałem do miasta, nasłuchiwałem się o problemach filii i zdążyłem rzucić kilka prostych pomysłów, dyrekcja w Görlitz ogłosiła upadłość grünberskiego oddziału.

– W porównaniu z tym, co pan widział w Duisburgu, jak się prezentowała fabryka w Grünbergu?

– Proszę nie nazywać tego fabryką. To była kuźnia. Przesadziłem. W budynku głównym stała maszyna parowa, obok dwa kotły, wiertarki, zwrotnica, sztanca, niszcarka, strugarki do cięcia blachy, tokarka, piła i piec kowalski. Identyczne wyposażenie miało wiele warsztatów rzemieślniczych. A najgorsze było to, że w filii nie zapadały decyzje. One były podejmowane w dyrekcji fabryki w Görlitz.

– Dlaczego, wiedząc o tym, nie wyjechał pan z miasta?

– Grünberg mi się podobał. Pod względem wielkości miasto było podobne do Zwickau, gdzie się urodziłem i wychowałem. Ponadto,

na co zwróciłem uwagę zaraz po przyjeździe, leżało na wielu wzgórzach. A właściwie to zatrzymały mnie winnice i aromat grünberskiego wina. To nie, że było kwaskowate. Mnie ono smakowało.

– Gdy dyrekcja w Görlitz ogłosiła upadłość filii, żeby zostać w Grünbergu na stałe, zdecydował się pan ją kupić?

– Byłem młody, a to oznaczało, że jeśli kupię filię, niewiele stracę. Najwyżej splajtuję i zacznę od nowa. Poważnie mówiąc, to nie ja wpadłem na ten pomysł. Podpowiedział mi go kolega Ribbeck, identycznie jak ja zakochany w mieście. Z Albertem chodziłem na wino i mu ufałem, bo studiował w Akademii Przemysłowej w Berlinie i na politechnice w Akwizgranie. Właściwie to było inaczej.

– Ribbeck wciągnął pana do spółki, czy tak?

– Słusznie. Albert był troszkę starszy ode mnie i dlatego szybciej doszedł do wniosku, że pora się ustatkować. Kiedy filia splajtowała, zaprosił mnie do restauracji Ressource na Neumarkt, gdzie spotykali się przedsiębiorcy, i spytał, czy przystąpię z nim do spółki. Do jakiej spółki, kolego? Kupimy maszyny, plac i co tam jeszcze będzie potrzebne. Ja nie mam nic, ty nie masz nic, za co więc kupimy maszyny, plac i tę resztę? Jeśli przyjmiesz moją propozycję, wystaram się o kredyt, on na to. Tylko, Georg, musimy opracować taki program dla naszej fabryki, żeby bankierom oczy zbieleły. To jest zadanie dla ciebie.

– Opracował pan taki program?

– Pomyślałem sobie, że skoro dotychczasowy właściciel widział szansę fabryki w konstruowaniu maszyn dla górnictwa węgla brunatnego, a to okazało się błędne, trzeba jednak postawić na kolejnictwo. Przecież kiedy linie kolejowe połączą miasta w centralnych i zachodnich Niemczech, to przyjdzie czas na część wschodnią. Zapewniłem kredytodawców, że będziemy kontynuowali dotychczasową produkcję z rozszerzeniem jej na cele kolejowe i budowlane. Ponadto, że będziemy starali się wykonywać zadania na życzenie zleceniodawców bez względu na to, gdzie się znajdują, co gwarantuję jako inżynier po praktyce w Zagłębiu Ruhry.

– Pan postawił na kolejnictwo, a po uruchomieniu pierwszego w Prusach połączenia z Berlina do Poczdamu król Fryderyk Wilhelm III miał wątpliwości co do tego sposobu podróżowania. – Wywodzące się z ziemiaństwa otoczenie króla nie akceptowało żelaznych dróg. Za jego namową władca Prus uznał ten przyszłościowy wynalazek za bzdurę. „Nie pojmuję, jak mógłby ktoś uszczęśliwić fakt, iż przybędzie do Poczdamu parę godzin szybciej?”, śmiał się. Monarcha kazał rozwijać żeglugę i rozbudowywać sieć dróg bitych z obu stron obsadzanych drzewami liściastymi. Dopiero jego następca Fryderyk Wilhelm IV zmienił zdanie tak dalece, że zastanawiał się nad uruchomieniem kolei znad Bałtyku aż do brzegu Adriatyku.

– Czy dostali panowie pieniądze na kupno filii?

– Za 120 tysięcy pożyczonych marek kupiliśmy zakład z działką, budynkami i maszynami. Bez załogi, jeśli nie liczyć inżyniera Ribbecka i mnie oraz kilku robotników, którzy mieli pilnować majątku. I dopiero po zakupie zdaliśmy sobie sprawę z tego, na co się porwali. Przecież jeśli nie będziemy dostawali zamówień, nie zwrócimy pieniędzy w terminie. Sąd, więzienie. Do końca życia będziemy mieli opinię naciągaczy.

– A jeszcze trzeba wypłacić pensje tym kilku robotnikom, co pilnują mienia.

– Z jednej strony szczęście nam sprzyjało, z drugiej władze miasta nie chciały, żebyśmy skończyli w więzieniu. Burmistrz stał się naszym sprzymierzeńcem. Zaczęliśmy od drobnych napraw na zamówienie miejscowych firm i miejskich instytucji. Gdy zleciodawcy przekonali się, że jesteśmy solidni, rozniosło się po powiecie, żeby daleko nie szukać, tylko jechać do Grünberga. Beuchelt & Co. przyjmował wszystkie zlecenia. Nie odrzucaliśmy nawet takich, o których usłyszeliśmy pierwszy raz. Tak było na przykład z rezerwuarami do gorzelnii. Robiliśmy okratowania więzień, krążki garncarskie, zadaszenia hal, żurawie wodne i maszynowe. Wszystko przy pomocy najprostszych narzędzi. Dopiero w 1877 roku kupiliśmy kocioł, który był niezbędny do uruchomienia niewielkiej maszyny parowej, bardzo przydatnej w naszej fabryce. Kilka miesięcy później już było nas stać na większą maszynę parową, wydajniejsze wiertarki i prostownice. W zależności o tego, czego dotyczyły

zamówienia, dokupywaliśmy sprzęt. Zdecydowaliśmy się nawet na zakup urządzenia do sprawdzania twardości blachy, co było nowością w Prusach.

– Jak liczna była załoga fabryki?

– Rok po tym, jak staliśmy się fabrykantami, załoga składała się z nas, czyli dwóch właścicieli, mistrza i praktykanta, trzech robotników i pomocy biurowej. Cztery lata później zatrudniliśmy 83 osoby i dawaliśmy nadzieję miastu, że z każdym rokiem załoga będzie się powiększała.

– W oparciu o co dawaliście tę nadzieję?

– Wszystko nam sprzyjało. Inżynier Ribbeck powtarzał, że urodził się w czepku. W rzeczywistości on był tym, który umiał dotrzeć do zleceniodawcy i zapewnić go, że lepszego wykonawcy niż nasza firma nie znajdzie w okolicy. We wschodnich Niemczech istniały firmy o profilu produkcji podobnym do naszego i powstawały nowe. My, dzięki Bogu, powoli stawaliśmy się marką i mieliśmy coraz lepszą opinię, a to w interesach jest najważniejsze. Często ważniejsze niż ceny oferowanych usług. Ponadto zakład znajdował się w mieście leżącym w połowie długości Odry, dokąd była jednakowa droga z Berlina, Poznania, Wrocławia czy Drezna. Oraz, na co zwracam uwagę ku przestrodze młodych przedsiębiorców, nie warto wchodzić na pola zajęte przez innych producentów. Przecież mogliśmy robić brony, pługi i jeszcze bardziej skomplikowane narzędzia rolnicze, tyle że to była domena Cegielskiego w Poznaniu. Mogliśmy rzucić się na produkcję wagonów dla kolei pruskich, co oznaczało wypowiedzenie wojny wrocławskiej firmie Gottfrieda Linkego. W 1913 roku zaskoczył mnie inżynier Ernest Babrowsky, z pochodzenia Polak, który w naszym Grünbergu założył fabrykę budowy maszyn i odlewnię żelaza Babrowsky Maschinen-Fabrik. Szybko zrozumiał, że na tym polu przegra i zmienił profil produkcji.

– Pamięta pan pierwsze poważne zadanie?

– To, co wcześniej powstawało w zakładzie, mam na myśli kraty, krążki, zadaszenia hal, było przygotowaniem do robienia naprawdę wielkich rzeczy. Zaczęliśmy od zaprojektowania i wykonania dachu parowozowni w Charlottenburgu, wtedy samodzielnym mieście

pod Berlinem. Ważył 31 ton. Więcej wysiłku włożyliśmy w budowę mostu przystaniowego w Danii. Kolejnym naszym zadaniem była konstrukcja wiaduktu kolejowego o ciężarze 80 ton i ustawienie go nad dopływem Odry. Zaraz po tym zbudowaliśmy 300-tonowy most na Warcie w Poznaniu. To już była wysokiej klasy budowla inżynierska, którą w kręgu fachowców dawano za wzór.

– **Przejrzałem kronikę zakładu. Jest w niej zapis o katastrofie, do jakiej doszło podczas budowy mostu w Kłodzku.**

– W 1884 roku dostaliśmy zlecenie na budowę mostu drogowego nad Nysą. Do nas należało zrobienie części konstrukcyjnej, do podwykonawcy przygotowanie części murarskiej. Gdy robotnicy ułożyli przęsła i zaczęli na nich montować poprzeczne elementy konstrukcji, oberwała się chmura. Spływająca z gór woda podmyła to, co postawili murarze. Wtedy runęło rusztowanie, na którym przebywali pracownicy i zerwał się most w budowie. Pięć osób wpadło do rzeki razem z resztkami metalowej konstrukcji. Płynęli z prądem Nysy co najmniej 80 metrów, a uratowali się tylko dlatego, że chwycili się desek z rusztowania. Uszkodzone części wróciły do Grünberga, zostały naprawione i po kilku tygodniach przeprawa nad Nysą była gotowa.

– **Czy mosty stały się wizytówką fabryki?**

– Z pewnością tak było. Na ziemi nadodrzańskiej łatwiej znaleźć miejsce, gdzie stoi most wykonany przez Beuchelt & Co. niż takie, gdzie go brakuje. Jako grünberska firma do 1925 roku zbudowaliśmy 42 przeprawy nad Odrą o łącznej długości 11 kilometrów. Do ich wykonania zużyliśmy 33 tysiące ton stali. Najkrótszy most miał 45 metrów, najdłuższy 644. Ponadto postawiliśmy 52 przeprawy na dopływach Odry. Większość to belkowe, czyli najprostsze. Ale i łączyliśmy brzegi rzek przy pomocy budowli arkadowych, a nawet dwuskrzydłowych zwodzonych. Nasz kronikarz porachował wszystkie przeprawy, jakie zbudowaliśmy w całych Niemczech. Proszę sobie wyobrazić, że oprócz tych przez Odrę i okoliczne rzeki, zbudowaliśmy jeszcze 403 mosty. Podsumowując to, brakuje trzech budowli, żeby uznać, iż na pół tysiącu mostów znajdują się tabliczki z informacją, że są to konstrukcje firmy Beuchelt & Co.

– **Z której budowli mostowej był pan najbardziej dumny?**

– Bez dwóch zdań był to most Cesarski przez Odrę we Wrocławiu, później, to znaczy po pierwszej wojnie światowej, detronizacji cesarza i powstaniu republiki w Niemczech, nazwany mostem Wolności. Richard Plüdemann wymyślił sobie budowlę rzadko spotykaną na świecie, bo wiszącą, mającą być połączeniem centrum miasta z nowymi osiedlami po stronie wschodniej. Konstrukcja metalowa według projektu Alfreda von Scholtza powstała w Grünbergu. We Wrocławiu elementy nośne zostały wsparte na 20-metrowych pyłonach z cegły, oblicowanych granitem. Uroczyste otwarcie przeprawy odbyło się w 1910 roku z udziałem cesarza Wilhelma II, stąd pierwotna nazwa: most Cesarski. Wtedy była to druga co do wielkości konstrukcja wisząca w Niemczech.

– **Zanim spytam pana o inne prace, proszę wyjaśnić, dlaczego w 1888 roku odsunął pan inżyniera Ribbecka od współkierowania fabryką.**

– Nie odsunąłem Alberta. Sam odszedł. Były dwa powody takiej jego decyzji. Pierwszy to choroba. Drugi, może ważniejszy od pierwszego, kobieta. Podczas nadzoru nad budową mostu w Szczecinie Albert poznał pannę Sehlmacher. Ożenił się z nią i założył firmę kamieniarską. Był ojcem czworga dzieci. Odwiedzał mnie często.

– **Ribbeck żałował, że wyjechał z Grünberga?**

– Nigdy tego nie powiedział wprost. Ile razy się spotkaliśmy, tyle razy gratulował mi rozmachu i życzył jeszcze większych sukcesów. Nie byłoby ani rozmachu, ani sukcesów, gdyby nie doskonała kadra inżynierska i odpowiedzialni majstrowie. Bywało, że wizytowałem budowy bez zapowiedzi. Wtedy podziwiałem pracowników, którzy bez słów wiedzieli, co trzeba zrobić. Majstrowie, gdy pytałem ich, jak się porozumiewają z robotnikami, odpowiadali, że po latach przebywania ze sobą polecenia są zbędne. Najważniejsze jest doświadczenie i zaufanie.

– **Czy oprócz mostów firma stawiała inne budowle inżynierskie?**

– Pomysł, żeby skupić się na wszystkim, co dotyczy kolejnictwa okazał się strzałem w dziesiątkę. Na zamówienia towarzystw kolejowych

układaliśmy mosty i wiadukty, zresztą nie tylko na zamówienia właścicieli kolei, bo i żeglugi śródlądowej, i drogowców, ale kolejnictwo było dla nas najważniejsze. Postawiliśmy wiele hal dworców kolejowych, te najciekawsze stanęły w Berlinie, Wrocławiu, Frankfurt nad Odrą, Rostoku. Będąc w Berlinie, lubiłem wsiąść do wagonu nietypowego, bo trochę podziemnego, trochę naziemnego stołecznego metra i posłuchać, co podróżni mówią o stacjach wykonanych wedle pomysłu inżynierów z Grünberga. Zbudowaliśmy pierwszą halę dworca lotniczego Berlin-Tempelhof. Równolegle prowadziliśmy budowy poza granicami Niemiec, na przykład w Brazylii, Japonii, Turcji, Serbii, Austrii. W rumuńskim mieście Focșani zbudowaliśmy hale targowe, w Bukareszcie postawiliśmy palmiarnię. W Poznaniu w 1911 roku pod dachem hali mającej tysiąc metrów kwadratowych, skonstruowanej w Beuchelt & Co., odbyła się Wschodnioniemiecka Wystawa Przemysłowa, Rzemieślnicza i Rolnicza.

– W kronice fabryki jest mowa o udziale w uruchamianiu linii kolejowej z Damaszku do Bagdadu.

– Słusznie: uruchamianiu, bo nie połączyliśmy torami Damaszku z Bagdadem i nie zbudowaliśmy wszystkich dworców. Mimo to uważam kontrakt arabski za jedno z największych zadań, jakiego się podjęliśmy. Z Grünberga pochodziły semaforey i wiaty przystankowe, przepusty, wiadukty, mosty. I najważniejsze: byliśmy głównym dostawcą wagonów dla tamtejszych kolei. Żeby sprostać zadaniu, powołaliśmy specjalne biuro konstrukcyjne pod kierownictwem Oskara Thomasa. Pracowało w nim 21 inżynierów, ośmiu techników kreślarzy i trzech pisarzy technicznych.

– Powiedział pan o wagonach dostarczonych na tamtejszą linię. Chodzi o wagony towarowe czy osobowe?

– Drwalnię do budowy wagonów towarowych zbudowaliśmy w 1989 roku. Dwa lata później fabrykę opuścił pierwszy wagon osobowy trzeciej klasy. Potem oprócz wagonów osobowych kursujących na krótszych trasach, budowaliśmy wagony sześciokołowe z przedziałami pasażerskimi, do których wchodziło się z wąskiego korytarza. To były pulmany. W fabryce także powstawały wagony bagażowe, pocztowe, szpitalne, nawet tramwajowe oraz, co było naszą dumą,

restauracyjne z kuchnią i sypialnią. Zarządcy linii z Bagdadu do Damaszku dostarczyliśmy zadaszone i niezadaszone platformy do przewozu towarów, pulmany i inne wagony osobowe, wśród nich kilka luksusowych.

– Co się składało na wyposażenie wagonu luksusowego?

– Wagon taki, nazywany salonką, był przeznaczony dla 12 osób. Po-drożni mieli do dyspozycji sypialnię z łazienkami, salon i jadalnię. Serwis obiadowy w salonie składał się z 80 talerzy głębokich, płaskich i średnich. Do tego było 12 kompotówek, miski na warzywa i do pieczenia, na przystawki i sałaty, sosjerki, solniczka, musztardówka z łyżeczką. Drugą część stanowiły naczynia stołowe, czyli dzbanki na kawę i herbatę, dzbanuszek na śmietankę, cukiernica oraz 12 filiżanek. Na wyposażenie składały się naczynia szklane do wina czerwonego, białego i madery, do likieru, piwa, soku, lemoniady i wody. W wagonie były naczynia kuchenne, takie jak na przykład pojemniki z ziołami, wałek do makaronu, deska do krojenia, tarka, lejek emaliowany, zaparzarka do kawy, noże, pudełka do wykałaczek, garnki, wiaderka, wanienki. Wyposażenie wagonu to także koce i pościel, ręczniki.

– Ile takich wagonów jeździło po torach?

– Kilkanaście. Znajdowały się one w składach pociągu dalekobieżnego z Paryża do Stambułu, znanego jako Orient Express, a po wstrzymaniu jego ruchu, w Pociągu Bałkańskim z Berlina do tej tureckiej metropolii. Ogółem hale fabryki w Grünbergu opuściło prawie 25 tysięcy wagonów. Co piąty był przeznaczony do przewozu ludzi. Wagony oznaczone tabliczką Beuchelt & Co. jeździły niemal po wszystkich torach Europy, a także w Tanganice, Togo i niemieckich koloniach w Afryce. Na zamówienie kolei rosyjskich robiliśmy wagony przystosowane do linii szerokotorowych.

– W kronice fabryki jest mowa o wyjątkowym przedsięwzięciu w Niederfinow. O co chodziło?

– W 1912 roku zaproszono mnie do tej brandenburskiej miejscowości, gdzie kopano kanał łączący Odrę koło Cedyni z Hawelą koło Oranienburga. Ponieważ różnica poziomów, na których znajdują się zlewiska obu rzek wynosi aż 36 metrów, trzeba było zbudować

podnośnień statków w zaprojektowanej służbie windowej. Nasi inżynierowie skonstruowali stalową wannę o długości 82,5 metra i szerokości 11,9 metra. Pusta wanna ważyła 1600 ton. Po napełnieniu wodą mogła udźwignąć do 4290 ton. Poruszający się po kanale statek wpływał do służby, która za pomocą mechanizmów zębatkowych podnosiła go albo opuszczała. Przemieszczenie jednostki z jednego poziomego kanału na drugi trwało około pięciu minut. Drugim zadaniem do wykonania w Niederfinow był stalowy most o długości 146 metrów, ważący 4000 ton.

– Wszystkie konstrukcje rodziły się na deskach kreślarskich inżynierów w Grünbergu?

– Póki nie stworzyliśmy działu zajmującego się budownictwem wodnym, nie mogliśmy przyjmować zleceń na budowę mostów wspieranych na filarach w nurcie rzeki. Nasi fachowcy opatentowali metodę wbijania pali w dno rzeki za pomocą sprężonego powietrza. Gdy ten problem udało się rozwiązać, nie było na nas mocnych. Doszło nawet do tego, że utworzyliśmy filię w Berlinie, której specjalnością stały się konstrukcje żelbetowe i wodne.

– Ile osób pracowało w fabryce?

– Zaczynaliśmy w 1876 roku z dwoma inżynierami, majstrem i trzema robotnikami. Čwierć wieku później zakłady budowy mostów i konstrukcji stalowych były największym pracodawcą w Grünbergu i nad środkową Odrą. Zatrudniały 2,2 tysiąca inżynierów i naprawdę wysokokwalifikowanych robotników. Część podstawowa miała za sobą szkolenie na miejscu pod okiem majstrów, część zatrudniona w biurach konstrukcyjnych i nadzorze była po studiach inżynierskich w Dreźnie, Charlottenburgu, Berlinie, Wrocławiu, Poznaniu. To była naprawdę wspaniała załoga, na dobre i złe związana z fabryką.

– Był pan znośnym pracodawcą? Załoga poszłaby za panem w ogień?

– Tak samo ceniłem robotników i majstrów, jak inżynierów. Każdy miał zadanie i starał się wykonać je jak najlepiej. Jako pracodawca starałem się o każdego dbać, w miarę swoich możliwości każdemu pomóc, o każdym pamiętać. Było mnie stać, żeby świętować

jubileusze pracowników, urządzać spotkania w kolejne rocznice powstania zakładu, utworzyć kasę chorych. Z okazji ćwierćwiecza firmy zorganizowałem przyjęcie w domu koncertowym. Kronikarz odnotował, że uczestniczyło w nim tysiąc mężczyzn, 900 kobiet i panien oraz 600 dzieci. Stoły stały w restauracji, sali koncertowej i w ogrodach. Piwa i przekąsek nie brakowało. Zabawa trwała od popołudnia do białego rana. Tam zainicjowałem utworzenie funduszu małżeńskiego, z którego mogli korzystać młodzi pracownicy zakładający rodziny.

– W kronice fabryki jest długi zapis podkreślający zasługi pana dla miasta. Prawda to, że w styczniu 1912 roku, kiedy burmistrz, radni i najbardziej znani grünberczycy złożyli panu życzenia z okazji 60. urodzin, odpowiedział pan wyjątkową hojnością?

– Grünberg było moim szczęśliwym miastem. Zależało mi na tym, żeby się rozwijało i prezentowało godnie. Dlatego przekazałem 300 tysięcy marek na potrzeby magistratu. Zazaczyłem, że połowę tej kwoty burmistrz może wydać na dowolny cel. 100 tysięcy marek przeznaczyłem na budowę łaźni miejskiej i 30 tysięcy na kuracje kąpielowe. Resztę podzieliłem między dom społeczny i dom starców, weteranów wojennych, stowarzyszenie ojczyźniane i towarzystwo kobiet, żłobek, zakład wychowawczy i ochronki prowadzone przez zakonnice. Wsparłem Niemiecki Czerwony Krzyż, dofinansowywałem opiekę nad chorymi na płuca i nad biednymi.

– W historii kościoła Najświętszego Zbawiciela jest mowa o tym, że świątynia stoi na gruncie przekazanym przez pana.

– Działkę i 50 tysięcy marek zapisałem parafii. Moja siostra Liddy zdecydowała, że kościół będzie wotum ku czci poległych podczas I wojny światowej. Projekt świątyni wykonali berlińscy architekci Wilhelm Ossfeld i Wolfgang Wagner. Na tysiącu metrów kwadratowych kościół mógł pomieścić do dwóch tysięcy wiernych. Charakteryzowała go doskonała akustyka, co umożliwiało organizowanie koncertów z udziałem wybitnych artystów. Proszę sobie wyobrazić Feliksa Nowowiejskiego, który przyjechał do Grünberga po to, żeby usłyszeć wykonanie swego oratorium *Quo vadis*.

– Grünberczykom zapewniał pan pracę, a miastu ofiarował pieniądze. Czy spotykały pana wyrazy wdzięczności?

Wdzięczności było aż za wiele. W 1907 roku zostałem wybrany na posła do Reichstagu, a wcześniej sprawowałem mandat radnego miejskiego i do parlamentu prowincji. Przewodniczyłem Związkowi Konserwatywnemu w Grünbergu, Okręgowemu Związkowi Kom-
batantów i Wojska, Radzie Inwestycyjnej w Związku Konsumpcyj-
nym Fabryk Grünberskich. Byłem członkiem gminy ewangelickiej i Rady Kościelnej, kuratorium diakonistek i Domu Bożego Bethesda. Za to, co zrobiłem dla kraju, zostałem uhonorowany tytułem Rycerza Wysokiego Orderu.

– Dziękuję za rozmowę.

Wagmo i Zastal

W 1937 r. fabryka została upaństwowiona. W czasie II wojny światowej produkowała m.in. kadłuby łodzi podwodnych i części do samolotów wojskowych. W latach 1939-1945 pracowali w niej robotnicy przymusowi z Polski, Francji, Włoch i Związku Radzieckiego.

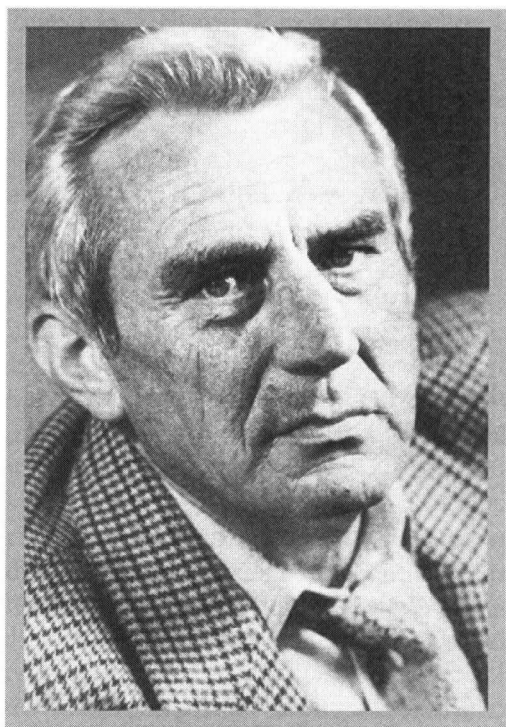
W 1945 r., po zajęciu Grünberga przez Armię Czerwoną, te maszyny, których Niemcy nie zdążyli przetransportować w głąb Trzeciej Rzeszy, Rosjanie wywieźli do Związku Radzieckiego. Identycznie postąpili z większością majątku znajdującego się w pozostałych grünberskich przedsiębiorstwach.

We wrześniu 1945 r. na miejscu fabryki powstały Zaodrzańskie Zakłady Budowy Mostów i Wagonów „Wagmo”. W sprawozdaniu do Ministerstwa Przemysłu ich dyrektor K. Szwabowicz tak pisał o pierwszych dniach: „Stan zakładu był więcej niż przerażający. Cała instalacja elektryczna zniszczona, hale znajdujące się wprawdzie w całości, jednak z powybijanymi oknami. Woda deszczowa zalewała wnętrza. Tysiące ton różnych materiałów i półfabrykatów zalegało sale i place, wśród nich potężne człony łodzi podwodnych. Pierwszych robotników przyjąłem do pracy 19 października 1945 roku, urzędując w pokoju biura ruchu, siedząc na jedynym w zakładzie całym stołku”. W końcu grudnia fabryka zatrudniała 568 pracowników. W lutym 1946 r. uruchomiono przesuwnicę i zmontowano własne źródło energii. W czerwcu powstał dział mechaniczny, blacharnia, stalownia, hale montażowe wózków i podwozi, malarnia i wydział konstrukcji mostowych. We wrześniu tego samego roku wyprodukowano setny wagon. Wtedy załoga liczyła 1700 osób.

W 1948 r. zakłady zmieniły ostatni człon nazwy na Zastal. Do 1990 r. były przedsiębiorstwem państwowym. Powstawały w nich wagony towarowe, lokomotywy spalinowe i konstrukcje stalowe. Głównym odbiorcą były Polskie Koleje Państwowe i identyczne przedsiębiorstwa z państw bloku wschodniego oraz huty i kopalnie. Niewielką część produkcji wysyłano do Chin, Syrii, Iraku.

W listopadzie 1990 r. zakłady przejęła spółka pracownicza Zastal Investment Corporation. W styczniu 1993 r. powstało wiele firm, m.in. Zastal Wagony, która po przekształceniu w spółkę akcyjną w 2002 r. ogłosiła bankructwo. Kupiły ją Tabor Szynowy Opole. Od 2004 r. istnieje pod nazwą Tabor Szynowy Opole SA Zakład

Zielona Góra. Na swojej stronie internetowej firma podaje, że „obecnie ma tutaj siedzibę Park Przemysłowy Zastal, na którego terenie jest prowadzona m.in. produkcja taboru kolejowego oraz konstrukcji stalowych. Kontynuuje się tym samym związane od ponad stu lat z tym miejscem tradycje produkcyjne”.



*Henryk Ankiewicz – fot. Czesław Luniewicz –
zdjęcie z książki „Tatarzy gorzowscy”*

Henryk Ankiewicz

Urodził się 12 stycznia 1933 w Obrze koło Wolsztyna, zmarł 10 grudnia 2005 r. w Zielonej Górze. Studiował historię na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Był dziennikarzem „Gazety Zielonogórskiej” i „Gazety Lubuskiej”. Zajmował się publicystyką kulturalną. Wydał powieść *Szachy w Łagowie*, opowieści *Przechadzki zielonogórskie*, *Zielonogórskie przechadzki muzealne*, *Tatarzy gorzowscy* i *W Obrze jest dobrze*, zbiory szkiców *Z pamięci i notesu*, *Ludzie z Palmiarni* i *Szkice gorzowskie*, zbiór opowiadań i felietonów *Zielona noc* oraz zbiór felietonów *Listy z Palmiarni*. Napisał pięć słuchowisk emitowanych w Polskim Radiu. Mieszkał w Gorzowie i Zielonej Górze.

TATARZY GORZOWSCY

**Rozmowa z Henrykiem Ankiewiczem,
publicystą i pisarzem**

– Czy w pana żyłach płynęła tatarska krew?

– Urodziłem się Wielkopolsce, a nazwisko miałem jakby wschodnie. Być może moi przodkowie przybyli do Obry z Podola, Wołynia albo z Litwy. Tego nigdy nie udało mi się wyjaśnić.

– Skąd więc zainteresowanie Tatarami?

– Z miłości.

– Z miłości do Tatarów?

– Z miłości do jednej Tatarki. Do Haliny.

– Gdzie ją pan poznał?

– Dokładnie ten dzień zapamiętałem: 1 maja 1959 roku w Gorzowie. Na festynie.

– Co pan, zielonogórski dziennikarz, tego dnia robił w Gorzowie?

– Redaktor naczelny zdecydował, że będę wspomagał kolegów pracujących w gorzowskim oddziale redakcji „Gazety Zielonogórskiej”. Jesteś kawalerem, wynajmiesz sobie pokój, a potem się zdecyduje. Może na zawsze zostaniesz w Gorzowie.

– Wtedy, na festynie, z tłumu gorzowian wyłowił pan tę jedyną? Była to jakaś wyjątkowa sytuacja?

– Trudno było jej nie zauważyć. Halina wyróżniała się urodą. Miała krucze włosy, ciemniejszą, ale nie taką jak Cyganka, troszkę ciemniejszą skórę i w lekko skośnych oczach coś takiego, co mnie w jednej chwili zauroczyło. Zakochałem się w Halinie już tam, na placu festynowym.

– Wiedział pan, że jest pochodzenia tatarskiego?

– Nie pamiętam, w którym momencie naszej znajomości Halina mi o tym powiedziała. Gdy to usłyszałem, wyrecytowałem wierszyk Janusza Minkiewicza: „Pewien Tatar / Miał katar / A Katarzyna / Żona Tatarzyna, Miała z nim małego syna. / Tatar – tata / Obowiązki spełniał kata. / Bał się kat zakatarzony / Katarzyny – kata żony”.

– Do tego dnia, kiedy pani Halina powiedziała, kim jest, co pan wiedział o Tatarach?

– To, że w 1241 roku wojska tatarskie pod wodzą brata Batu-chana doszły aż pod Legnicę i tam stoczyły bitwę z oddziałami piastowskimi. Że w tej bitwie zginął książę śląski Henryk II Pobożny. I że Sienkiewicz uwiecznił Tatarów w Trylogii, ale od złej strony. „Złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb go trzyma.” Najgorszy był Azja Tuhajbejowicz, co to usiłował porwać Baškę, pohańbił Zosię, a Ewkę Nowowiejską oddał ostatniemu ordyńcowi. Aha, że i ochotczo poszli z Sobieskim pod Wiedeń, gdzie bili się z Turkami, bo oni we krwi mieli wojowanie.

– Gdyby pan dokładniej przeczytał *Pana Wołodyjowskiego*, to by wiedział, że, jak opowiadał Zagłoba, „Wszyscy nasi Tatarzy szlachta, choć bisurmanie. Na Litwie widziałem całe wsie przez nich zamieszkałe. Tam ich zowią Lipkami, a tutejsi Czeremisów noszą miano. Długi czas wiernie służyli Rzeczypospolitej, za chleb się jej wywdzięczając, ale już za czasów inkursji chłopskiej wielu ich do Chmielnickiego poszło, a teraz, słyszę, poczynają się z ordą obwączać”.

– Halina urodziła się na ziemi nowogródzkiej. Jako roczne dziecko w 1941 roku najpierw straciła ojca, potem zmarła jej matka.

Wychowywali ją dziadkowie. Po zakończeniu drugiej wojny z Nowogródka całym transportem przyjechali na Ziemię Odzyskane. Allah, jak mówiła, przeznaczył im Gorzów. Już w tamtym czasie Gorzów był miastem wielokulturowym. W kamienicach obok rosyjskich Żydów, Poleszuków, Poznaniaków, Centralaków, Łemków, Cyganów mieszkali Tatarzy. Żyli w zgodzie, jakby powojenny Gorzów był przedwojennym miastem we wschodniej Rzeczypospolitej. Tylko że w Gorzowie nie było Niemców. Czesi też musieli wyjechać, bo zostali uznani za Niemców. Łużyczan, mimo że to Słowianie, władze także potraktowały jak Niemców.

– Domyslałam się, że po kilku miesiącach znajomości pani Halina i pan wyznaliście sobie miłość i doszliście do wniosku, że staniecie się rodziną.

– Łatwo pomyśleć, ale trudniej to zrobić, tym bardziej że Halina była muzułmanką, a ja zostałem wychowany w tradycji katolickiej. Tu tkwiła przeszkoda, o czym dowiedziałem się nie od Haliny, a od jej dziadków.

– Jaka przeszkoda? Religijna?

– Wedle starych zasad obowiązujących u Tatarów, kobieta muzułmanka nie mogła wyjść za mąż za mężczyznę innego wyznania. Uważano, że jako żona ulegnie mężowi i nie będzie w stanie wychowywać dzieci w tradycji muzułmańskiej. Żeby być w zgodzie z religią i zwyczajem, Tatarka mogła wyjść tylko za Tatara.

– A Tatar mógł się ożenić na przykład z ewangeliczką?

– Mógł, ale pod jednym warunkiem: dzieci urodzone w związku z chrześcijanką czy kobietą innej wiary będą wychowywane w religii ich ojca.

– I co pan wymyślił, żeby jednak ożenić się z Tatarką?

– W pewną niedzielę zjadłem obiad w Gorzowiance, gdzie kupiłem też oświadczynowe pół litra śliwownicy i pojechałem taksówką na Janice, nazywane przez gorzowian Tatarskimi Górkami. Dziadkowie mojej przyszłej żony byli uprzedzeni o wizycie. Zastałem ich odświętnie ubranych przy stole, na którym niezgrabnie postawiłem flaszkę. Okazało się, że dziadek narzeczonej jest gorzowskim

imamem, czyli duchownym muzułmańskim i że nie pije wódki. Wódkę wypilem z babcią Chanifą, której, jak mi się wydawało, przypadłem do serca. Dziadek też nie powiedział „nie”.

– Co na to pana rodzice?

– W Obrze już w progu oznajmiłem mamie, że się żenię. Mama spytała, czy narzeczona jest katoliczką. Wybacz, ale nie jest, odpowiedziałem. Żydówka? Nie, mam. Tatarka, powiedziałem. Tatarka? Boże drogi, to oni jeszcze są w Polsce?

– Wesele było wedle tradycji tatarskiej czy polskiej?

– Był ślub i było wesele. Na stołach niczego nie brakowało. Dziadkowie Haliny wspomagali kuchnię weselną kiszoną kapustą, jednak na ślub ani na ucztę weselną nie przyszli. Rozumiałem ich sytuację. W domu zawsze okazywali mi wiele serdeczności, a dziadek mówił o mnie „mój wnuk”. Harmonijnie łączyli tradycje muzułmańskie, tatarskie z polskimi, chrześcijańskimi.

– I dopiero teraz wiem, dlaczego pan, nie będąc Tatarem, był uznawany za współczesnego znawcę przeszłości i kultury Tatarów.

– Związki rodzinne obudziły we mnie potrzebę poznania dziejów tej... Urwałem, ponieważ chciałem powiedzieć „mniejszości narodowej”, ale mam wątpliwości, czy Tatarzy byli mniejszością narodową w Polsce. To prawda, że wyraźnie odróżniali się od Słowian swoim wyglądem, wyznawali religię muzułmańską, mieli swoje rytuały, kuchnię, legendy, ale, co podkreślam, mówili płynnie po polsku, czasem z zaśpiewem wschodnim. Trzeba ich raczej uznać za grupę etniczną.

– Jaką drogę pokonali, żeby zamieszkać wśród Polaków?

– Pyta pan o to, co się stało w dwudziestym wieku czy wcześniej?

– Pytam, kiedy i dlaczego Tatarzy zostali Polakami?

– Najpierw stali się Litwinami. To znaczy w czasach, kiedy w Wielkim Księstwie Litewskim panował Witold, a powinien pan wiedzieć, że jego ziemie graniczyły z ziemiami Złotej Ordy, część Tatarów dostała się do litewskiej niewoli, część przeszła na służbę

w jego wojsku. Byli wśród nich przedstawiciele rodów książęcych, którzy przegrali walkę o panowanie w Złotej Ordzie. W Wielkim Księstwie Litewskim Tatarzy zostali osiedleni nad rzeką Waką niedaleko Wilna, gdzie otrzymali wiele praw. Z pułkami litewskimi poszli na bitwę pod Grunwaldem. Nawiasem mówiąc w tej bitwie uczestniczyło wojsko cara krymskiego Tegtemisa. Z tych hufców, jak i z oddziałów carewicza Achmata też sporo Tatarów zostało na Litwie. Ożenili się z chrześcijankami, spłodzili dzieci i, co bardzo ważne, kultywowali swoje zwyczaje kulturowe i religijne. Tatarzy wyznają islam obrządku sunnickiego, dlatego bywają nazywani muślimami. Przy okazji informacja, że dopiero w 1783 roku Rosja opanowała Chanat Krymski i wtedy liczni Tatarzy zaczęli opuszczać półwysep, jako miejsce swego osiedlenia wybierając między innymi Litwę i ziemie polskie.

– W 1569 roku na sejmie w Lublinie została zawarta unia między Królestwem Polskim i Wielkim Księstwem Litewskim. W ten sposób litewscy Tatarzy stali się mieszkańcami Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

– A że byli to ludzie pracowici i bitni, każdy władca Rzeczypospolitej im ufał. Za ziemię i przywileje szlacheckie Tatarzy płacili wzorową służbą wojskową. Do historii przeszedł ich udział w wyprawie wiedeńskiej. Jan III Sobieski w liście do żony, królowej Marysieńki, pisał: „Nasi owi Tatarowie, co sokoły nosili, dokazują: więźniów wodzą, a pocziwie i wiernie się sprawują”. Po wiktorii wiedeńskiej król nadał im ziemie na Podlasiu, czego potwierdzenie można znaleźć w Bohonikach i Kruszynianach, do dziś częściowo zamieszkałych przez Tatarów. Nawet w 1812 roku stanęli po stronie Napoleona, wystawiając szwadron. W czasie powstania listopadowego znowu dosiedli koni. W powstaniu styczniowym walczyli tak po stronie polskiej, jak i rosyjskiej. W czasie pierwszej wojny światowej sformowali Tatarski Pułk Ułanów, który najpierw walczył z Niemcami, a potem z bolszewikami. Przekształcony w Dywizjon Muzułmański jako samodzielna jednostka istniał do 1922 roku. W 1939 roku I Szwadron Tatarski 13. Pułku Ułanów Wileńskich pod dowództwem rotmistrza Aleksandra Jeljaszewicza stanął w obronie ziem polskich.

– Głównie siedziby tatarskie w Rzeczypospolitej znajdowały się na Litwie. Musiała to być liczna społeczność, skoro wystawiła i utrzymywała własne oddziały wojskowe.

– Najwięcej Tatarów żyło na Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej. Największe skupiska tatarskie to Nowogródczyzna, Podlasie i Suwalszczyzna oraz Grodzieńszczyzna. Mniejsze grupy żyły na Wołyniu i Podolu. Pojedyncze rodziny można było spotkać w Małopolsce i na Mazowszu. Inteligencja skupiała się w Wilnie, Warszawie, Białymstoku, Grodnie, Nowogródku, Baranowiczach, Lidzie i Słoniemiu. Dziewiętnastowieczna encyklopedia podaje, że w 1558 roku ludność tatarska w Rzeczypospolitej sięgała 200 tysięcy. W innych publikacjach spotkałem tę liczbę o połowę mniejszą. Wtedy w Rzeczypospolitej istniało 400 meczetów. W *Kalendarzu muzułmańskim Tatarów w Polsce na rok 1939* przeczytałem, że ta społeczność liczy sześć tysięcy osób.

– Wyjechali z Rzeczypospolitej na początku XX wieku? Spolonizowali się?

– Część wróciła do Rosji, głównie na Krym. Część wyjechała za chlebem do Ameryki, Niemiec, Francji. Część mężczyzn przez małżeństwa z polskimi kobietami się spolonizowała. Dzieci przychodzące na świat w rodzinach mieszanych, co zrozumiałe, nie miały już klasycznych cech, czy to tatarskich, czy słowiańskich. Tadeusz Czacki podaje, że wiele cech tatarskich odziedziczyli Wereszczakowie, jak również pierwsza miłość Mickiewicza, Maryla Wereszczakówna, późniejsza hrabina Putkamerowa. Mimo że Tatarzy w Rzeczypospolitej starali się zachować przede wszystkim swoją odrębność religijną, zapomnieli, jak pisze profesor Talko-Hryncewicz, język macierzysty. Ci na Litwie, Wołyniu i Podlasiu mówili po polsku z charakterystycznym dla mieszkańców tamtych ziem akcentem, a ci w dużych miastach posługiwali się niemal uniwersytecką polszczyzną. Oprócz pozostania przy islamie, chociaż przecież byli oddaleni od centrów muzułmańskich, zachowali zwyczaje i przywiązanie do tradycji, które bierze się z wyznawanej religii.

– Korci mnie, żeby pana spytać, czy żyjący na Litwie Karaimi to Tatarzy.

– Broń Boże. Część badaczy podaje, że zamieszkujący Troki, Poniewież, Birże i okoliczne miejscowości podwileńskie Karaimi etniczni, bo są także Karaimi religijni, wywodzą się z Krymu. Ich religia ma wspólne korzenie z judaizmem, a podstawą wiary jest Stary Testament. Pierwsi Karaimi osiedli na ziemi litewskiej mniej więcej w tym samym czasie co Tatarzy.

– Czym się zajmowali Tatarzy do 1939 roku?

– Nie było jednej czynności zarezerwowanej dla Tatarów. Cyganie są uważani za mistrzów w wybielaniu kotłów, Żydzi to często sklepikarze i handlowcy, lekarze i prawnicy. W dawnych czasach ze względu na znajomość języka Tatarzy byli kurierami, tłumaczami i przewodnikami. Lubili dosiadać koni i umieli wojować, więc te ich zdolności wykorzystywali władcy Rzeczypospolitej. Przyjęło się uważać Tatarów za znakomitych hodowców zwierząt, pasterzy, wytwórców żywności. Krótko mówiąc, żyjący na wsi zajmowali się rolnictwem. Rzemiosło, szczególnie garbarstwo, rymarstwo, szewstwo, furmaństwo, było domeną mężczyzn tatarskich mieszkających w miastach. Aleksander Sulikiewicz był bliskim współpracownikiem Józefa Piłsudskiego. Stefan Bazarowski wykładał nauki przyrodnicze na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. Osman Achmatowicz to profesor chemii na Uniwersytecie Warszawskim. Leon Najman Mirza Kryczyński sprawował urząd wiceprezesa Sądu Okręgowego w Gdyni. Tatarzy byli sędziami i policjantami, nauczycielami i kolejarzami, rzadziej lekarzami, ale częściej pracowali jako średni personel medyczny. Do tatarskich korzeni przyznawał się Henryk Sienkiewicz.

– Jeszcze nie zakończyła się druga wojna światowa, a już było wiadome, że zmieniają się granice Polski. Placówki Państwowego Urzędu Repatriacyjnego na Litwie, Białorusi i Ukrainie przystąpiły do spisywania ludzi, którzy z własnej woli lub z innego powodu mieli być wysiedleni, jak wtedy mówiono, na Ziemie Odzyskane.

– Tatarzy uważali się za lojalnych obywateli Rzeczypospolitej. Tak jak inni Polacy, postanowili opuścić swoje siedziby, co w wielu przypadkach okazało się trudne. Władze białoruskie i litewskie były za przesiedleniem rodzin tatarskich, ale nie na Ziemie Odzyskane,

a nad środkową Wołgę, do radzieckiej Tatarii. Prawdopodobnie część rodzin wyjechała na Powołże, większość jednak wybrała się w drogę na Zachód. Mam na myśli owe Ziemie Odzyskane. Jakoś tak się stało, że ci z Wileńszczyzny osiedli w Gdańsku, Elblągu, Olsztynie, Bartoszychach i Giżycku. Ci z Grodzieńszczyzny, szczególnie ze Słonimia, wybrali Szczecinek, Koszalin, Słupsk i Wałcz. A ci z Nowogródzyny zajęli poniemieckie domy w Gorzowie, Szczecinie, Słodkowie koło Stargardu Szczecińskiego, Witnicy, Trzciance. Nie potrafię powiedzieć, skąd przyjechali ci, którzy zamieszkali we Wrocławiu, Oleśnicy i Jeleniej Górze.

– Czy to prawda, że nie Szczecin, nie Wrocław, a Gorzów stał się tatarskim centrum w zachodniej części Polski?

– W Gorzowie i okolicznych miejscowościach osiedliło się najwięcej osób mających tatarskie korzenie. To pierwsza okoliczność wskazująca, dlaczego Gorzów był uważany za najważniejszy ośrodek tatarski w zachodniej Polsce. Druga była taka, że osoby te zamieszkały blisko siebie. Dzielnicę Janice gorzowianie nazywali Tatarskimi Górkami. Po trzecie, jako wspólnota religijna ta społeczność nie miała swojej świątyni ani w Gorzowie, ani w Szczecinie, ani we Wrocławiu. Opowiadano mi, że władze gorzowskie namawiały Tatarów do przejęcia któregoś z poewangelickich kościołów. Wyznawcy Allacha uznali, że jest ich za mało, żeby duży obiekt zaadaptować na meczet i go utrzymywać. Nabożeństwa odbywały się więc w domu Bekira Rodkiewicza, który miał przygotowanie duchowne, przed wojną był muzezzinem w Nowogródku, a w Gorzowie sprawował funkcję imama. Dopiero w 1960 roku władze państwowe przyjęły do wiadomości istnienie gminy muzułmańskiej w Gorzowie. Chodziło o jakieś formalności urzędnicze, co nie oznacza, że do czasu oficjalnego uznania gminy władze przeszkadzały w jej funkcjonowaniu. Trochę bałaganu organizacyjnego powstało po śmierci imama Rodkiewicza w 1987 roku, kiedy siedzibą gminy został Szczecin. Na skutek protestów Tatarów gorzowskich gmina najpierw wróciła do Gorzowa, potem była tu i tam, a na początku trzeciego tysiąclecia, kiedy kierowała nią Rozalia Aleksandrowicz, znowu była w Gorzowie. Od śmierci ostatniej w 2008 roku przewodniczącej nie sposób uznać, że gmina przejawia aktywność.

– Co się stało?

– Starsi umarli. Część średniego i młodszego pokolenia wyjechało na Podlasie, gdzie łatwiej być Tatarem i muzułmaninem. Na Pomorzu Zachodnim, Ziemi Lubuskiej i Dolnym Śląsku mieszkają osoby pochodzenia tatarskiego, prawdopodobnie jeszcze kultywują tradycje i zwyczaje, przyznają się do religii muzułmańskiej, ale nie przejawiają aktywności na zewnątrz. Utrzymują kontakty ze swoimi rodakami mieszkającymi w Kruszyńskich, Bohonikach, Białymstoku, Sokółce, gdzie są meczety i gdzie odbywają się uroczystości tatarskie.

– Czy pan brał udział w takich uroczystościach?

– Tylko jako wnuczek imama Rodkiewicza i mąż Haliny. Do wielu tajemnic mnie dopuszczali, chociaż i wytykali, że pisząc o nich, coś pokręciłem, a pisałem sporo w „Gazecie Zielonogórskiej”, „Nadodrzu” i prasie o zasięgu krajowym.

– Jestem przekonany, że tatarskie święta religijne wynikające z zasad koranicznych, bardzo różniły się od świąt katolickich, znanych panu z Obry.

– Jak wcześniej powiedziałem, polscy Tatarzy byli w niełatwej sytuacji tak społecznej, jak i religijnej, ponieważ żyli w kręgu cywilizacji chrześcijańskiej. Mimo oddalenia od centrów mahometańskich, nie wyrzekli się swojej wiary. Przez sześć wieków trwali w wyznaniu muzułmańskim, co oznaczało, że starali się spełniać pięć obowiązków nakazanych przez islam. Ten pierwszy, oznaczający wyznanie wiary, brzmi tak: „Nie ma Boga prócz Allacha, a Mahomet jest jego prorokiem”. Kto wypowie to zdanie, stanie się muzułmaninem. Mnie najbardziej interesowała inna zasada, a mianowicie ta, która nakazywała modlenie się pięć razy dziennie. Na pewno przestrzegał jej imam Rodkiewicz i jego żona Chanifa. Inni? Uważam, że w Gorzowie, Witnicy, Trzciance, gdzie Tatarzy sprawowali ważne społecznie funkcje, było to niemożliwe. Na pewno starali się modlić rano i wieczorem, może po powrocie z pracy do domu. Gorliwiej wypełniali obowiązki religijne w piątki, które były dla nich tym, czym niedziele dla katolików. W piątek religijny Tatar powinien pójść do meczetu na nabożeństwo. W Gorzowie było to niemożliwe z powodu braku świątyni muzułmańskiej. Póki imam Rodkiewicz

miał więcej sił, wyznawcy islamu zbierali się w jego mieszkaniu na Janicach.

– A taka zasada, jak jałmużna?

– Nie spotkałem się z tą formą, mam na myśli Tatarów na Ziemiach Odzyskanych. Żona mówiła, że dawniej bogatsi wyznawcy religii wspierali biedniejszych muzułmanów w swoim otoczeniu. Że organizowali bale i zebrane pieniądze przeznaczali na pomoc dla studentów, sierot czy rodzin, którym gorzej się wiodło. Na pewno gorzowscy Tatarzy nie stronili od wspierania akcji społecznych, takich jak „Tysiąc szkół na tysiąclecie”, „Cały naród buduje swoją stolicę”. Przed wojną i po wojnie byli lojalnymi obywatelami Polski.

– Religijny muzułmanin powinien odbyć pielgrzymkę do Mekki, odwiedzając grób proroka Mahometa w Medynie.

– Dopiero w 1989 roku nastąpiło zbliżenie stosunków między Rzeczpospolitą i Arabią Saudyjską. Dało to możliwość odbywania pielgrzymek finansowanych przez władze królewskie. Spora grupa Tatarów podróżowała z Polski do Mekki i Medyny. Znajdowali się wśród nich byli i obecni gorzowianie. Ilu? Nie wiem.

– W większości Tatarzy polscy noszą nazwiska z przyrostkiem „icz”, często patronimiczne. Imiona też mają rzadkie

– Dziadek żony to Bekir, babka – Chanifa z domu Jakubowska. Ich dzieci miały takie imiona jak: Helena, Chalima, Rozalia, Maria i Maciej. Moja żona to Halina, a nasza córka – Dżamila, co po arabsku oznacza piękna. Wielu imion spotykanych w rodzinach tatarskich, na przykład Sulejman, Miriema, Tenzila, Ajsza, Mustafa, Abdul, Dżemal, Selim, nie ma w oficjalnym spisie urzędów stanów cywilnych. W Polsce Ludowej dochodziło do tego, że urzędnicy domagali się zmiany imienia nadanego dziecku. W późniejszych latach urzędnicy nie stawiali przeszkód Tatarom, którzy chcieli, żeby ich potomkowie nosili imiona z kręgu mahometańskiego.

– Czy nadanie imienia dziecku było równoznaczne z przyjęciem do wspólnoty muzułmańskiej?

– W zasadzie tak. Nawet później, gdy Tatar skończył osiemnaście lat i wedle polskiego prawa mógł sam decydować o sobie, pozostawał

religijnym muzułmaninem. Odejście od wiary było rzadkie i mogło oznaczać oderwanie się od rodziny. Azan, czyli uroczystość nadania imienia jest skromna, odbywa się w mieszkaniu rodziców. Oprócz matki i ojca obowiązkowo bierze w niej udział imam jako duchowy mistrz ceremonii i dwaj świadkowie. Są obecni krewni i zaproszeni goście, nierzadko są to sąsiedzi chrześcijanie. Ubrane na biało niemowlę matka kładzie na poduszce tak, żeby głową było zwrócone w stronę Mekki. Na stole obowiązkowo musi być chleb, sól, woda i Koran. Może być sadoga, czyli ciasto świąteczne, i zapalona świeca. Najpierw imam wypowiada imię i nazwisko dziecka, rodziców i świadków. Potem siedem razy wygłasza formułę wyznania wiary, po czym palcami prawej ręki chwyta prawe ucho dziecka i mówi modlitwę azan. Następnie lewą ręką chwyta dziecko na lewe ucho i odmawia Kammet. Uroczystość imam kończy trzykrotnym wypowiedzeniem formuły wyznania wiary, zawsze dodając „Pamiętaj ją do Dnia Sądnego”. Druga część to przyjęcie przygotowane przez rodziców. Nie ma zasady, co powinno znaleźć się na stole.

– Ślub i wesele?

– Halina i ja, kiedy stanęliśmy na ślubnym kobiercu, nie przeżyliśmy uroczystości w obrządku tatarskim. Nigdy nie byłem na takim weselu. Słyszałem tylko, że zaślubiny zaczynają się w domu pana młodego, skąd goście przenoszą się do domu panny na wydaniu. Na stole przykrytym białym obrusem jej rodzice kładą chleb, sól i wodę oraz sadogę. Z jednej strony stołu siedzi imam i czterej świadkowie. Z drugiej strony, na wprost nich na wojłoku lub kozuchu symbolizującym jurte, czyli dom, staje młoda para, za nią druhowie i drużny. Panna młoda w białej sukni, pan młody i świadkowie w odświętnych garniturach i koniecznie nakryciach głowy. Po krótkiej modlitwie imam wygłasza mowę, w której jest wszystko, co dotyczy szczęśliwego małżeństwa. Potem młodzi trzymając się za ręce razem ze świadkami odmawiają modlitwę, przy czym panna młoda ma twarz zakrytą welonem, co oznacza zaharemowanie. Uroczystość kończy wymiana obrączek. A po złożeniu życzeń i wręczeniu prezentów, zaczyna się uczta weselna.

– Jakie potrawy są charakterystyczne dla kuchni tatarskiej?

– Na pierwszy plan wysuwają się kołduny, zwane litewskimi. Goszczący na Suwalszczyźnie pod koniec dziewiętnastego wieku Aleksander Osipowicz tak je opisał: „Podczas zebrań fetują się między innymi narodowym przysmakiem, którymi są pierożki z mięsa skrobanego nożem z tłuszczem baranim, pieprzem i cebulą, w cieście zwijane”. W Gorzowie gospodynie przygotowywały kołduny na święta muzułmańskie i ważniejsze spotkania rodzinne. Czasem można je było dostać w kawiarence Rozalii Aleksandrowicz. Inną potrawą o wyjątkowym smaku były cybulniki. To pieróg z mięsem wołowym lub baranim, rzadziej gęsim. W niektórych domach przygotowywano bielusz. To kawałki baraniny lub gęsiny zapiekane w drożdżowym cieście. Na słodko Tatarzy jedzą halwę przyrządzaną z miodu, mąki i masła. Chyba żadna kobieta nie potrafi tak upiec sernika czy jabłecznika, jak robi to Tatarka, o czym wiele razy przekonałem się w swoim domu. Pieczywem obrzędowym jest cienki placek nasycony miodem, usmażony w tłuszczu baranim. Nazywa się dżajma.

– Powiedział pan, że mimo znacznego oddalenia od centrów muzułmańskich gorzowscy Tatarzy starali się przestrzegać nakazów religijnych. O jakie nakazy chodzi?

– Religijni muzułmanie, a takimi usiłowali być gorzowscy Tatarzy, przede wszystkim ci najstarsi, obchodzili kilka świąt. Największe znaczenie miały cztery: Ramadan Bajram, Kurban Bajram, Nowy Rok i Dzień Aszury. Ramadan Bajram to święto zesłania Koranu. Jest obchodzone w ramadanie, będącym dziewiątym miesiącem roku księżycowego. Poprzedza je trwający cały miesiąc post. Kurban Bajram oznacza rytualną ofiarę w postaci byka, barana, kozy, koguta, zawsze samca. W chrześcijańskim Piśmie Świętym jest mowa o tym, że Abraham postanowił ofiarować Bogu własnego syna. U muzułmanów chodziło o Ibrahima, który był gotów poświęcić własnego syna Ismaila Allahowi. Bóg przyjął ofiarę z kozła. Kurban Bajram ma bogatą dokumentację fotograficzną wykonaną w Gorzowie przez mojego przyjaciela Waldemara Kućkę. Tatarzy świętowali Nowy Rok muzułmański na pamiątkę przesiedlenia Mahometa z Mekki do Medyny. Dzień Aszury traktowali jako dzień żałoby. Wedle tradycji Fatima, córka proroka Mahometa, gdy dowiedziała się, że nie żyją jej dwaj synowie, pomieszała potrawy przygotowane

na ich przyjęcie. W domach tatarskich tego dnia podawano kompot z siedmiu rodzajów owoców, jagód i ryżu.

– Na gorzowskim cmentarzu przy Żwirowej nie natrafiłem na kwaterę tatarską. Gdzie Tatarzy chowali swoich zmarłych?

– W dawniej Rzeczypospolitej były wydzielone cmentarze tatarskie. Pozostały takie na Podlasiu, gdzie społeczność tatarska jest liczna i głębiej trwa w swoich tradycjach. Na żadnym cmentarzu na Ziemiach Odzyskanych nie wydzielano kwater z przeznaczeniem na groby tatarskie. Na cmentarzu przy Żwirowej w Gorzowie można spotkać nagrobki z nazwiskami zakończonymi na „icz”. Jakiego pochodzenia osób one dotyczą, trudno zgadnąć, tym bardziej że współczesne nagrobki tatarskie niczym nie różnią się od nagrobków chrześcijańskich. Nawet są na nich wyryte litery „śp”, które mogą oznaczać tyle to co „świętej pamięci” lub „światlanej pamięci”. Jak dawniej, tak i teraz obmyte ciało zmarłego Tatarzy owijają płótnem. Chowają je drugiego dnia po śmierci. Niektórzy gorzowscy Tatarzy na miejsce spoczynku swoich bliskich wybierali kwaterę tatarską na skraju cmentarza Powązkowskiego w Warszawie. Tam też jest grób imama Bekira Rodkiewicza i jego żony Chanify. Można uznać, że wraz ze śmiercią imama Rodkiewicza zaczął odchodzić w zapomnienie tatarski Gorzów.

– Dziękuję za rozmowę.

Gorzów – miasto wielu kultur i religii

„Jedną z charakterystycznych cech Gorzowa Wlkp. jest jego wieloetniczność i wielokulturowość” – tak zaczyna się stanowisko Rady Miejskiej w sprawie uchwalenia 2013 jako „Roku Wielokulturowości Miasta Gorzowa Wlkp.”.

Wedle autorów podlaskich w połowie lat sześćdziesiątych XX wieku w Gorzowie mieszkało 101 osób pochodzenia tatarskiego (53 mężczyzn i 48 kobiet). Dwadzieścia lat później do korzeni tatarskich przyznawało się 41 gorzowian (17 mężczyzn i 24 kobiety). Jak podaje Aleksander Miśkiewicz, w 1987 r. w Gorzowie nadal mieszkało 15 takich rodzin i to było największe skupisko osób pochodzenia tatarskiego w zachodniej Polsce. Drugim miastem pod względem liczby Tatarów był Szczecin – 28 osób, potem Trzcianka – 24 osoby, Oleśnica na Dolnym Śląsku – 22 osoby i Wrocław – 17 osób. Wedle tego samego autora dziewięć osób pochodzenia tatarskiego mieszkało w Zielonej Górze i siedem w Witnicy. Ten autor nie wspomina o tatarskich mieszkańcach Krosna Odrzańskiego i pobliskich Rybocic, gdzie na miejscowym cmentarzu znajdują się groby tatarskie. Spis powszechny z 2011 r. podaje 1828 Tatarów. Ilu w Gorzowie - brak informacji.

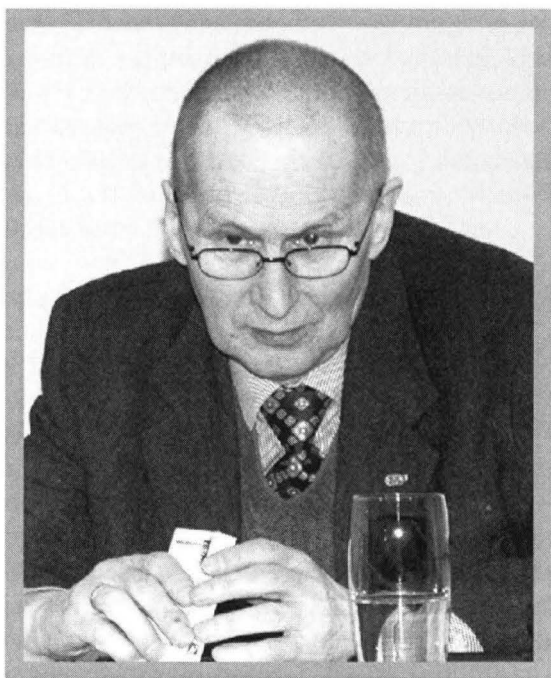
Jerzy Zysnarski podaje, że w 1951 r. w województwie zielonogórskim mieszkało 135 rodzin cygańskich. Około 1953 r. przeniósł się z Żagania do Gorzowa tabor cygański. W 1983 r. w Gorzowie mieszkało 180 Cyganów.

Od 2006 r. Na Wigilii Narodów spotykają się przedstawiciele Związku Romów, towarzystw Miłośników Wilna, Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Miłośników Polesia, Związku Ukraińców, Stowarzyszenia Miłośników Kultury Łemkowskiej. Uczestniczą w niej przyjezdni ze Stowarzyszenia Kultury Dąbrowieckiej w Dąbrowce Wielkopolskiej, ze Związku Litwinów w Szczecinie, górale bukowińscy z Brzeżnicy, Bośniacy z Kruszyna koło Bolesławca, Żydzi ze Szczecina. Bywają Tatarzy, Niemcy, polsko-nigeryjska rodzina, Chińczycy.

W mieście odbywają się festiwale i konkursy dotyczące tradycji i kultury tak grup narodowych, jak i etnicznych.

Oprócz parafii rzymskokatolickich w Gorzowie mają siedziby wspólnoty parafialne: greckokatolicka, polsko-katolicka,

katolicko-reformowana, ewangelicko-augsburska, ewangelicko-reformowana, prawosławna, adwentystów Dnia Siódmego, chrześcijan baptystów, zielonoświątkowców, świadków Jehowy, chrześcijan Kościół Boży w Chrystusie, chrześcijan Chrystus dla Wszystkich, chrześcijan Wiary Ewangelicznej, buddyjska należąca do Związku Diamentowej Drogi Linii Karma Kagyu i buddyjska Zen Rinzai w Rzeczypospolitej Polskiej.



Andrzej Krzysztof Waśkiewicz – zdjęcie ze zbiorów Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze

Andrzej Krzysztof Waśkiewicz

Urodził się 22 czerwca 1941 w Warszawie, zmarł 11 lipca 2012 r. w Gdańsku. Ukończył polonistykę na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. W latach 1961-1979 mieszkał w Zielonej Górze, pracował w bibliotece, był dziennikarzem w „Gazecie Chłopskiej” i „Nadodrze”. Jako poeta debiutował w 1961 r. Jest autorem 37 książek, m.in. 16 zbiorów poetyckich i 19 tomów szkiców literackich. Przygotował ponad setkę antologii, wyborów wierszy poetów różnych pokoleń i prac zbiorowych. Jako krytyk literacki miał wielki udział w prezentacji książek w ramach serii „Generacje”, „Pokolenie, które wstępuje” i „Debiuty poetyckie”. Był wiceprezesem Związku Literatów Polskich.

POWIEŚĆ NAPISANA SIEKIERĄ

Rozmowa z Andrzejem K. Waskiewiczem, poetą i eseistą, krytykiem literackim, edytorem i organizatorem życia literackiego

– Czy pan dobrze znał Edwarda Stachurę?

– Nikt dobrze nie znał Steda. Przypuszczam, że nawet on sam nie znał siebie dobrze.

– Steda?

– Tak kazał siebie nazywać. W tamtym czasie wielu autorów, moich rówieśników miało pseudonimy, przezwiska czy nawet ksywki. Żoną Steda była Zyta Bartkowska, ale swoje książki podpisywała jako Zyta Oryszyn. Znakomity poeta, podobnie jak Sted, niespokojna dusza i także wagabunda, Ryszard Milczewski to był Bruno. Urodzony w Leżachowie Jan Czopik, niemal rówieśnik Steda, do swego nazwiska dodał Leżachowski. Identycznie zrobił Jacek Kotlica, czyli urodzony w Kotlicach na Zamojszczyźnie poeta, prozaik i krytyk sztuki Józef Foromański. Niespokojną duszą był dobrze zapowiadający się prozaik Zygmunt Trziszka, który nagle zamienił Zieloną Górę na Warszawę.

– Pan też miał pseudonim?

– AKW. Jako publicysta byłem Krzysztofem Kościeszą.

– Moda?

– Trochę moda. Trochę cecha charakterystyczna getta artystycznego, w tym wypadku literackiego. Piosenkarze i aktorzy, którzy w latach międzywojennych chcieli zrobić karierę, zamieniali swoje polskie nazwiska na brzmiące obco. Apollonia Chałupiec stała się Polą Negri, Mieczysław Fogiel to Mieczysław Fogg, Julian Maluszek to Juliusz Osterwa, Adolf Bagiński to Adolf Dymśa, Maria Tyszkiewicz to Hanka Ordonówna...

– **Związany rodzinnie ze Świebodzinem Czesław Wydrzycki to Niemen.**

– Chyba nie popełnię błędu, jeśli jako wzór do naśladowania przez młodych polskich pisarzy, moich rówieśników, podam Marka Hłaskę, również wędrującego mistrza słowa i myśli. W tamtym czasie było też trochę przekonania, jak w przypadku Trziszki, że w Warszawie, gdzie znajdowały się siedziby większości wydawnictw i redakcji czasopism, łatwiej o druk i rozgłos, a to oznaczało najkrótszą drogę do sukcesu. Kto dostał się na studia w Warszawie, starał się zakorzenić w tym mieście na zawsze. Dla Trziszki, podobnie jak wielkiej gromady mieszkańców polskich wsi i miasteczek, pozostanie w Warszawie oznaczało awans. Edward Redliński nawet napisał powieść pod takim tytułem.

– **Droga do sukcesu artystycznego prowadziła ze wsi przez miasto powiatowe i wojewódzkie do stolicy?**

– Wszystko, co oficjalnie działo się w takich miastach jak Gorzów czy Zielona Góra, było uzależnione od decyzji kogoś w Warszawie.

– **Z biografii Milczewskiego i Stachury wynika, że ci pisarze raczej stronili od Warszawy.**

– Nie stronili, nie stronili. Wiele swoich dni spędzali poza stolicą, ale i zdawali sobie sprawę z tego, że bez pokazania się na warszawskich salonach niewiele osiągną. Nie osiągną też, jeśli nie narozrabiają. Jeśli o ich zachowaniu nie napiszą gazety. Jeśli nie będą się czymś wyróżniali. W środowisku artystycznym dobrze był widziany sprzeciw wobec władz, podpisanie jakiegoś listu, ostra wypowiedź, rozróbka pod wpływem alkoholu. „Ruszaj się Bruno, idziemy na piwo; / Niechybnie brakuje tam nas! / Od stania w miejscu nie jeden już

zginął, / Niejeden zginął już kwiat!”, wołał Sted w wierszu-piosence *Rozdziobią nas kruki*.

– Było wielu jemu podobnych, a wybrał Milczewskiego. Wie pan, dlaczego?

– Sted urodził się we Francji w rodzinie polskiego emigranta, który pojechał tam za chlebem. W 1948 roku Stachurowie wrócili do Polski, na Kujawy, gdzie była kraina matki. Pewnie Sted spotykał się z Brunem w Bydgoszczy albo we Włocławku, a może w Gdyni, gdzie chodził do liceum. Chciał potem studiować malarstwo, ale nie zdał egzaminu wstępnego na uczelnię plastyczną. Dostał się na romanistykę w Lublinie.

– Pamięta pan okoliczności, w jakich poznał Stachurę?

– Pierwszy raz pewnie widziałem go na jakimś spotkaniu młodych autorów w Warszawie. Było o nim coraz głośniejsze, coraz więcej jego wierszy drukowały czasopisma literackie i kulturalne. Krytycy porównywali go z Markiem Hłaską. W 1961 roku, mimo że na swoim koncie nie miał nawet jednej książki wydanej drukiem, dostał warszawską nagrodę młodych. Ja, o cztery lata od niego starszy prowincjusz, też byłem przed debiutem książkowym. To nas zbliżało, ale jeszcze nie na tyle, żebyśmy przepadali za sobą. Byliśmy dobrymi znajomymi. Kandydatami na poetów, o których będzie głośno. Moim więcej niż dobrym znajomym był Milczewski. Bruno czasem przypominał, że oprócz poezji łączy nas rolnictwo, bo on identycznie jak ja skończył technikum rolnicze. W przeciwieństwie do mnie Bruno z chlebakiem przewieszonym przez ramię wędrował po kraju.

– Stachura też wędrował. Ile prawdy jest w tym, że jedna z wędrówek doprowadziła go do Kotli, gdzie mieszkał Jan Czopik?

– Zanim tam się znalazł, najpierw przyjechał do Zielonej Góry. Żyłem wtedy w ciasnym mieszkanku w wieżowcu przy ulicy Feliksa Dzierżyńskiego, po 1991 roku Władysława IV. Zielona Góra mojej młodości jak magnes przyciągała pisarzy. Zanim Kotlica osiadł w Gdańsku, mieszkał w mieście winnic, jak się wtedy mówiło o Zielonej Górze. W Muzeum Ziemi Lubuskiej pracowała poetka Salomea Kapuścińska. Jeden z najbardziej znanych autorów tekstów

piosenek Bogdan Loeb jako miejsce swego zamieszkania podawał Zieloną Górę. Stąd Tadeusz Zimecki wyruszał do Chlebowa po materiały do swojej, wtedy sławnej powieści *Niemaszczeba*. Celnie to określił Trziszka w *Moim pisarzu*: „Zielona Góra była wtedy najlepszym miejscem na ziemi, gdzie można było uprawiać »selfmade-maństwo«, czyli siebie robić, jak to nazywał krytyk Henryk Bereza.

– W tym swoim ciasnym mieszkanku gościł pan Stachurę?

– Pamiętam taki wieczór. Była późna jesień. Na dworze wiatr tarosił gałęziami drzew. Deszcz zaczął w okna. W pokoiku ciepło. Pośrodku był stolik, na nim szklanki i butelki z winem. Wokół na pieńkach siedzieli znajomi żony i moi. Początkujący dziennikarze, poeci, aktorzy, muzycy. Sted śpiewał. Czy były to wyłącznie jego utwory, nie wiem. Kto próbował się odezwać, szybko milkł. Sted nikogo nie słuchał, jakby ogłuchł, tylko śpiewał i śpiewał.

– Kiedy to było?

– Przed ożenkiem Steda z Gałązką Jabłoni.

– Tą z *Siekierzady albo zimy leśnych ludzi*?

– Znali się jeszcze z Aleksandrowa Kujawskiego, gdzie chodzili do tej samej szkoły podstawowej. Trziszka chwalił się, że przywoził z Kotli do Zielonej Góry listy adresowane do Gałązki Jabłoni. Stedowi zależało na tym, żeby je wrzucać w Zielonej Górze, skąd szybciej trafiały do adresatki. Wtedy Sted pracował przy wyrębie lasu.

– Poeta, pieśniarz, prozaik, tłumacz, guru swego pokolenia był drwalem?

– Sted rąbał las pod Grochowicami, między przygłogowską Kotłą a Sławą. Stamtąd pisał listy do Gałązki Jabłoni. „Cóż ja bym zrobił bez ciebie, bez kochania ciebie ponad wszystko i tak cudownie cię kocham i ponad wszystko, ponad śnieg, deszcz, słońce, kurz i mgłę, ponad pola i bagna, ponad lasy, góry i chmury, ponad ziemię i niebo, i nawet głupio tak mówić: »ponad wszystko, ponad ziemię i niebo«, bo takie jakieś śmieszne przy tym uczuciu, które mam dla ciebie, bo to jest nie tylko ślepe fanatyczne kochanie, ale coś także tak jasnego, tak widnego, najwidniejszego, że człowiek nie boi się najstraszliwszych rzeczy: śmierci, próżni i tak dalej”. To z *Siekierzady*...

– Że tęsknił, rozumiem. Nie rozumiem, dlaczego przyjechał do Grochowic? Chyba nie po to, żeby pracować przy wyrębie lasu?

– Przyjechał do Kotli. W tamtejszym ośrodku zdrowia pracowała żona Czopika. Jako studentka stomatologii we Wrocławiu dostawała stypendium z wojewódzkiej rady w Zielonej Górze. Gdy skończyła studia i dostała dyplom dentystki, rada osiedliła ją w Kotli, gdzie rwała dziurawe zęby i leczyła obolałe dziąsła. Wedle narratora *Siekierzady*, w Majce Nowak „kochwały się wszystkie miejscowe chłopaki. Tak szeroko głosiła fama. Chodzili do ośrodka zdrowia i ze słynnym poświęceniem znanym tylko jednemu uczuciu dawali sobie świdro- wać bormaszyną w nadpsutych zębach i wrywać bez zastrzyku, po męsku, te niewyleczalne”.

– A czym zajmował się jej mąż, poeta i prozaik, Jan Czopik-Leżachowski?

– Skończył historię sztuki we Wrocławiu. Z takim dyplomem nie miał czego szukać w Kotli, dojeżdżał więc na rowerze do Grochowic, gdzie był nauczycielem w podstawówce. Czopikowie żyli jak studenci w pokoiku z kuchenką nad ośrodkiem zdrowia. Za pożyczone pieniądze kupili wersalkę i dwa fotele. Stołu nie mieli. U nich się jadło, grało w brydża, rozmawiało, siedząc po turecku. Na strychu był magazynek, właściwie rupieciarnia, gdzie leżały klamki, korby, koła, kafle, które cieszyły Czopika. Wszystko, co stare, uważał za wartościowe, niepowtarzalne. Miejscowi ludzie dziwili się jego hobby, pewnie niektórzy znacząco pukali się w głowę, ale przynosili mu porzeczki starocie, a on dawał im na piwo. „Wygódka była w polu za składzikiem na węgiel i chodziło się »na wschód«”, zapisał Czopik. Aha, jeszcze mieli owczarka niemieckiego, Charona.

– Niedawno wybrałem się do Kotli. Ci najstarsi jeszcze wspominają dentystkę, Marię Czopik. W nieczyjej pamięci nie zachował się jej mąż. Inaczej sprawa ma się z psem. Ludzie powtarzają, że owczarek musiał być mądry, bo nie szczekał bez potrzeby, ale za długo nie żył. Kiedy zszedł z tego świata, ludzie słyszeli śpiewy jakby pogrzebowe. Ktoś pojechał pod Grochowice i na skraju lasu zobaczył świeży kopczyk żółtego piasku. Wrócił do wsi i opowiedział, co widział. Ludzie

dziwili się dentystecy, bo taka mądra, a psa pochowała jakby to był człowiek.

– W pokoiku Czopików toczyły się spory artystyczne co najmniej takie same jak w Klubie Dziennikarza w Zielonej Górze. W Kotli poeci czytali swoje wiersze. „Wieczorami słuchaliśmy Liszta i Beethovena, nigdy nam się nie nudziła *Mała nocna muzyka* Mozarta”, wspominał Czopik.

– Czopik przyznaje się, że akcję powieści *Góra – dół* umieścił w Kotli. Oddalone o cztery kilometry Grochowice, gdzie uczył dzieci, to powieściowe Kosowice. Przecież w tych samych miejscach rozgrywa się *Siekierzada...* Stachury.

– W spisanych wspomnieniach Czopik poświadcza, że w 1967 roku Sted mieszkał w Kotli. Nie u kogoś, a „u nas przez kilka miesięcy”. To musiało być jesienią. Potem „pracował przy wyrębie lasu pod Grochowicami i pisał książkę. W *Siekierzadzie albo Zimie leśnych ludzi* Grochowice nazywają się Bobowice, Kotla – Hopla, a Majka uchodzi za najlepszą dentystkę we wsi i kocha się w niej cała młodzież z podgrodzia”. Sted chodził w kurtce marki Douglas. Bohater jego powieści „grał na bębnie, zastępując prawdziwego bębniście, któremu akurat zległa żona. Nie muszę dodawać, że grał zachwycająco”.

– Czy długo Stachura był gościem Czopików w Kotli?

– Czopik podaje, że przez kilka miesięcy. Potem Sted wynajął kwaterek w Grochowicach u Franciszki Olechny, powieściowej Babci Oleńki. W odpowiedzi na pytania Bogusława Żurakowskiego napisał: „Twój ostatni list doszedł mnie w Kotli, gdzie akurat byłem u Czopika. Jakiś czas u nich mieszkalem. Pracowałem przez styczeń-luty w lesie na zrębnie w Zielonogórskim, następna wioska za Kotłą w stronę Nowej Soli”.

– I wtedy zaczęła się *Siekierzada...*?

– Ta w remizie Ochotniczej Straży Pożarnej czy na ta zrębnie?

– Do grochowickiego lasu wybierzemy się za chwilę.

– W powieści tak to wygląda: „Wtedy Kaziuk podniósł wysoko wysoko siekierę, a Peresada pchnął w jego stronę stół. I zaczęła się

siekierzada. Peresada szybko, ale spokojnie (dlatego nie wychodziłem z szeregu, żeby mu pomóc, ani nie wyszedł Młody Batiuk, ani nie wyszedł Ten Czwarty – Peresady brat) uwijał się przy stołach, które ściągał z dookolnej okolicy i pchał je w stronę Kaziuka, a Kaziuk walił w nie siekierą, wyjąc przy każdym łupnięciu: »Ty blać! Błać twoja mać! Ty blać ty!« I łup! łup! Naprawdę tak jakby się zmówili, Peresada i Kaziuk, jakby ustalili, co kto ma robić: ty robisz to, ja robię to. Ja ci podsuwam stoły, a ty wal siekierą».

– Powieściowi Kaziuk i Peresada byli kolegami Janka Praderzy z wyrębu. Czy Stachura przyjechał do Kotli po to, żeby pracować przy wyrębie lasu i w oparciu o zebrane obserwacje napisać *Siekierzadę*...?

– Sted był doskonałym obserwatorem życia. A przy tym takim trochę chłopskim filozofem, który na ogół milczy, ale jak się odezwie, a odzywa się rzadko, jak więc coś powie, wchodzi to w nogi. Jego biografowie twierdzą, że uważał się za pisarza rozumowego. „Czy to jest nienormalne, chorobliwe pragnąc szczęścia ludzi, oczywiście bezwyjątkowo wszystkich ludzi, bo czy »wszyscy« ludzie mogliby być szczęśliwi wiedząc, mając świadomość, że jest na świecie chociażby jeden człowiek nieszczęśliwy?” – pyta w *Pogodzić się ze światem*.

– Na czas pracy w lesie Stachura wyniósł się z Kotli do Grochowic, tak?

– Domyślam się, że do pracy na zrębie zmusił go brak pieniędzy. Z jednej strony zastanawiam się, jaki był z niego drwal. Jaki pożytek miał z niego leśniczy Majdański? „Któregoś dnia przyszedł do nas, do leśniczówki, pan Czopik – po latach wspominał leśniczy. – Przyprowadził kolegę i powiedział, że ten chce trochę porobić w lesie. Ten pana Czopika kolega nie wyglądał na drwala, ale przyjąłem go, bo ludzi nigdy nie za dużo. Pan Stachura powiedział, że robotę w lesie zna, ale szybko się okazało, że zna raczej ze słyszenia. Dostał ode mnie małą kabłąkową piłę. Kiedyś wydają ludziom paliwo i widzę, że pan Stachura coś klepie siekierą na pieńku. Pytam się go, co robi, a on: »Wie pan, ta piła jest chyba coś popsuta, zęby ma wykrzywione na wszystkie strony, to ja je prostuję.« Nie wiedział,

że te zęby tak mają być, że są na przemian: jeden ząb tnący, a drugi uprzätający”. Z drugiej strony bardzo dobrze się stało, że pracował w lesie, jeśli tak to można nazwać. Dzięki Czopikowi i Majdańskiemu, dzięki tym, z którymi pracował, powstała *Siekierzada...*, znakomita powieść o nas pod koniec dwudziestego wieku.

– Stachura miał ręce stworzone do pisania, a nie do ciężkiej pracy fizycznej.

– Jego ojciec fedrował węgiel we Francji. Po powrocie do Polski zamierzał osiąść w Gliwicach i pracować w kopalni, ale wtedy jego żona odziedziczyła dom i ziemię po rodzicach na Kujawach. Plan ojca, żeby syn także został górnikiem, żył z pracy rąk, się nie powiódł. Kiedy Sted nie dostał się na studia plastyczne, zanotował: „Poszukuję znowu jakiejś roboty. Tymczasem dużo pracuję w domu. Noszę wodę ze studni, chodzę po drzewo do lasu itp., słowem, staram się, jak mogę, by przetrwać zimę. Ojciec oświadczył mi, że jeśli nie będę pracował, wyrzuci mnie z domu”.

– Zaledwie dwa miesiące wytrzymał na zrębie pod Grochowicami.

– Dwa miesiące po to, żeby napisać fenomenalną powieść. Tęgo mu zazdrosczę. „*Siekierzada...*” poczęta w zielonogórskiej Kotli przez swój absolutny autentyzm da się zestawić z ostatnim najważniejszym osiągnięciem pisarskim Stachury, z *Pogodzić się ze światem*”, twierdził Trziszka. Tadeusz Nyczek orzekł, że *Siekierzada...* „jest jednym wielkim, heroicznym i absurdalnym zarazem, śpiewem na cześć życia, które jest literaturą, i literatury, która tak pięknie udaje życie”.

– Jak powiedziałem, niedawno wybrałem się śladami Stachury. Najpierw byłem w Kotli. Stamtąd pojechałem do Grochowic. Tycia wioska. Ożywa latem, kiedy na polanie odbywa się Stachuriada. Pewnie dlatego młodzi ludzie wiedzą, gdzie mieszkała Franciszka Olechna, u której wynajmował pokój Stachura. I że powieściowa Grażynka to Grażyna Majdańska, córka powieściowego leśniczego Bogdańskiego. W książce jest takie zdanie wypowiedziane przez leśniczego: „No

i kłusownicy. Będzie dwa lata, zabili gajowego z Czerniawy. Sąsiednia wieś, ale już nie nasze nadleśnictwo”. W rzeczywistości chodzi o Bielawy koło Nowej Soli.

– Coraz trudniej, ale jeszcze nie jest trudno znaleźć pierwowzory bohaterów *Siekierzady*... Pisarze często wykorzystują w powieściach to, co spotkali na swojej drodze. Krytycy twórczości Sienkiewicza dowodzą, że w *Krzyżakach* i Trylogii umieścił postacie ze swego otoczenia, a to przecież rzeczy historyczne. Sted zanotował w dzienniku: „O czym pisać? O tym samym, o czym dotąd. O sobie. Mało wymyśliłem fabuł. Było to niepotrzebne. Każdy człowiek jest wielką tajemnicą i wystarczy, żeby zgłębiał siebie i spisywał swoje doznania i stany, i jest to ciekawe”.

– Grochowice to Bobrowice, Bielawy to Czerniawa, leśniczy Majdański to Bogdański, Franciszka Olechna to Babcia Oleńka, dentystka Maria Czopik to Majka Nowak, Hopla to Kotla. Wygląda więc na to, że *Siekierzada*... jest reportażem oblanym literackim sosem.

– Henryk Bereza twierdził, że „Naprawdę życie Stachury jest życio-pisaniem”. Jego pisarstwo jest tożsame z jego życiem, jedno z drugiego wynika, jedno jest drugim, jest to jedność, jedność nierozdzielna, jedność całkowita (...) Życie Stachury jest dramatem czystym, dramatem nieustannym i na całe życie, dramatem bez rozwiązania”.

– Pan zgadza się z opinią Berezy?

– Nie mam nic przeciw temu, żeby pisarze przenosili swoje doświadczenia do książek. Pod warunkiem, że nie mają one charakteru fotograficznego. Nie pochwalam tych, którzy nie odróżniają życia od literatury.

– Stachura pisał jak żył. Stanął przed ścianą. Tam spytał: jeśli nie mam wpływu na świat, to po co się męczyć? W kwietniu 1979 roku rzucił się pod pociąg.

– „Dwa lata temu, na początku 77 straciłem bezboleśnie Wszystko. Wkrótce potem otrzymałem nowe Wszystko. Byłem na wielkiej górze. Trwało to ponad dwa lata. Wtedy się napisało *Fabula rasa* (rzecz o egoizmie) oraz drugi tekst pod tytułem *Oto*. Mówię: się napisało,

a nie: napisałem, bo to tak, jakbym nie ja to napisał, ale ktoś inny. Ten ktoś inny nazwał siebie człowiekiem-nikt. Ja nim byłem i zarazem nim nie byłem. Nie mogę tego inaczej powiedzieć” – zapisał w *Pogodzić się ze światem*. – W końcu marca i w pierwszych dniach kwietnia zaczęły dziać się ze mną niesamowite rzeczy. W trakcie tego najechał mnie pociąg czy sama lokomotywa, nie wiem tego dotąd. W karcie informacyjnej, którą widziałem w szpitalu, pisało: potrącony przez elektrowóz, nie przez pociąg”. Stracił wtedy cztery palce prawej dłoni.

– Przecież można pisać lewą ręką.

– W niedługim czasie nauczył się tego. Stawiał litery koślawe, wychodzące poza linijki, ale słowa miały znaczenie. Przestał grać na gitarze i z tym nie mógł się pogodzić.

– Dlatego leczył się w szpitalu psychiatrycznym?

– Dokładny czytelnik znajdzie odpowiedź na to pytanie między innymi w *Siekierzadzie*... Jest tak taka scena: „– Ja jestem samotnik. Od czasu jak mnie porzuciła – powiedział Michał Kątny z uśmiechem. / – To porzuciła, porzuciła? – powiedział leśniczy z uśmiechem. / – Porzuciła – powiedział Michał Kątny z uśmiechem. / – Wzięła i porzuciła. / – Wolą drugiego – powiedział leśniczy z uśmiechem. / – Wolą drugiego – powiedział Michał Kątny z uśmiechem. / – I poszła z nim – powiedział leśniczy z uśmiechem. / – Nie. Została z nim. Ja poszedłem – powiedział Michał Kątny z uśmiechem. / – Poszliśmy się powiesić z rozpacz – powiedział leśniczy z uśmiechem. / – Nie. Poszliśmy się rzucić do kanału z rozpacz – powiedział Michał Kątny z uśmiechem i tuż zaraz natychmiast potem, kiedy wypowiedział te słowa, uśmiech zniknął z jego twarzy”.

– Bohater *Siekierzady*... to Janek Pradera. Kim był Kątny?

– To ten sam człowiek co Edmund Szerucki z *Catej jaskrawości*. Co Janek Pradera. To *alter ego* Steda. To on cały.

– 24 lipca 1979 roku Stachura próbował podciąć sobie żyły w warszawskim mieszkaniu. Tego dnia powiesił się na sznurze zaczepionym do haka na suficie.

– Dlaczego to zrobił? Proszę, oto wyjaśnienie. Jego wyjaśnienie. „Byłem buntownikiem łagodnym, najłagodniejszym z możliwych, ale krańcowym. Poszedłem do końca. Czy za daleko? Chciałem unieść wszystkie nieszczęścia świata ludzi. I zwariowałem. Ale czy od tego? Nie wiem”.

– Dziękuję za rozmowę.

Stachuriady

Siekierzada albo zima leśnych ludzi po raz pierwszy wyszła w 1971 r. w Czytelniku. Powieść była wielokrotnie wznawiana. W tym samym roku jej autor otrzymał nagrodę literacką im. Stanisława Piętaka, przyznaną młodym pisarzom.

W 1985 r. na ekrany kin wszedł film *Siekierzada* w reżyserii Witolda Leszczyńskiego, według powieści Stachury. W głównych rolach wystąpili: Edward Żentara jako Janek Pradera, Daniel Olbrychski – Michał Kątny, Ludwik Pak – Peresada, Ludwik Benoit – Wasyluk, Wiktor Zborowski – młody Batiuk, Jadwiga Kuryluk – Babcia Oleńka, Franciszek Pieczka – leśniczy Bogdański, Krzysztof Majchrzak – Kaziuk. W 1986 r. film został nagrodzony Złotymi Lwami Gdańskimi. W tym samym roku reżyser otrzymał Złote Grono na Lubuskim Lecie Filmowym w Łagowie. Obraz był zgłoszony do Oscara w kategorii filmy nieangielskojęzyczne.

W 1983 r. na polanie leśnej w Grochowicach rozpoczęły się coroczne spotkania miłośników twórczości Stachury z kraju i zagranicy. Oprócz koncertów uznanych wykonawców, odbywają się warsztaty teatralne i muzyczne, pokazy i wystawy oraz wiele imprez towarzyszących, np. Motostachuriada. Jest to także miejsce Przeglądu Piosenki Poetyckiej.

Podobne spotkania organizują placówki kultury w całym kraju. Od 2013 r. Suwałki są gospodarzem Stachuriady. Zgierz podejmuje uczestników laureatów konkursu poetyckiego połączonego z koncertem. Chojnice i Tomaszów Lubelski to miasta, w których odbywają się konkursy poezji śpiewanej. Miłośnicy twórczości Stachury spotykają się w bieszczadzkiem Smolniku, Aleksandrowie Kujawskim i Szklarskiej Porębie. Utwory autora *Siekierzady*... są w repertuarze wielu teatrów.

Powstało bardzo dużo prac krytycznoliterackich o pisarstwie Stachury i opracowań dotyczących jego dzieł. Niektóre przywołuję w „Źródłach”. W 1990 r. Andrzej Brzozowski wyreżyserował film *Wszystko jest poezja*, w 2014 Teresa Kudyba nakręciła *Edward Stachura z tego świata* i Małgorzata Burzyńska-Keller *Życiopisanie*.

Edward Stachura jest patronem Miejskiej Biblioteki Publicznej w Iławie. Jego imię nosi Liceum Autorskie w Gdyni i XX Liceum Ogólnokształcące w Krakowie.



Edward Hładkiewicz – fotografia ze zbiorów rodzinnych

Edward Hładkiewicz

Urodził się 18 listopada 1925 w Nowosiółce Koropieckiej w województwie tarnopolskim (dziś Ukraina), zmarł w 28 maja 1995 roku w Jasieniu. W 1945 r. razem z rodzicami przyjechał do Jasienia. Pracując, zdał maturę w Liceum Pedagogicznym w Nowej Soli i ukończył studia historyczne na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, gdzie też obronił rozprawę doktorską. Od 1973 do 1982 r. był wicewojewodą zielonogórskim. Napisał trzy książki naukowe dotyczące wsi i ruchu ludowego w regionie lubuskim oraz *Wspomnienia i rozmyślenia*. Należał do Polskiego Towarzystwa Historycznego.

NAJDŁUŻSZY STRAJK

Rozmowa z dr. Edwardem Hładkiewiczem,
historykiem i politykiem

– Jesienią 1981 roku, kiedy zaczął się strajk w Lubogórze, pan był wicewojewodą zielonogórskim. Wśród żądań strajkujących znalazło się między innymi odwołanie wojewody i dwóch wicewojewodów. Czy chodziło im również o pana?

– Strajkujący domagali się przede wszystkim odwołania tego wicewojewody, który odpowiadał za gospodarkę rolną. Moje nazwisko umieścili na dalszym miejscu pewnie dlatego, że w podziale czynności wśród zastępców wojewody mnie przypadł nadzór nad sprawami społecznymi, oświatą i wychowaniem, kulturą i sztuką, sportem, zdrowiem i komunikacją. Ponadto jako ludowca *par excellence* interesowało mnie wszystko, co dotyczyło wsi.

– Jeśli strajkujący w Lubogórze domagali się odwołania pana ze stanowiska wicewojewody, dlaczego pan pozostał w urzędzie?

– Kiedy w drugiej połowie 1980 roku zaczęły się strajki na Wybrzeżu i zawiązała się Solidarność, oznajmiłem wojewodzie Janowi Lembasowi, że po siedmiu latach pełnienia stanowiska wicewojewody mam zamiar ustąpić. Chciałem zająć się pracą naukową w Wyższej Szkole Pedagogicznej. Ponieważ w tym czasie wojewoda Lembas osiągnął wiek emerytalny i podjął decyzję o zakończeniu pracy zawodowej, poprosił, abym wstrzymał się z odejściem z urzędu. Jego

następca Zbigniew Cyganik poprosił mnie o to samo mówiąc, że dwóch nowych w zarządzie województwa to za dużo.

– W zarządzie województwa był pan z ramienia Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego. Mam uwierzyć, że od pana zależało to, jak długo będzie pan wicewojewodą?

– W grudniu 1981 roku złożyłem rezygnację. Została przyjęta przez szefa Kancelarii Rady Ministrów dopiero po trzech miesiącach. Skłamałbym, gdybym powiedział, że ustąpienie ze stanowiska wicewojewody było protestem przeciw stanowi wojennemu. Miałem swoje zdanie na temat Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego. Było ono odmienne od tego, jakie prezentowało wielu moich kolegów z kręgu ludowców. Po 13 grudnia 1981 roku kierownicze funkcje w administracji województwa zaczęli pełnić wojskowi. Gdybym nie zdecydował się na odejście z urzędu z własnej woli, prawdopodobnie zostałbym zdymisjonowany.

– A może uważał pan, że nie od Solidarności zależało to, kto będzie wicewojewodą?

– Niepokoiło mnie to, do czego doszło w Lubogórze, bo przecież od dziecka byłem związany ze wsią i ruchem ludowym. Nie akceptowałem popierania strajkujących przez niemal wszystkie zakłady pracy w regionie zielonogórskim. Jak i nie popierałem decyzji władz w sprawie wprowadzenia stanu wojennego. Dlatego uznałem, że najlepszym wyjściem będzie wycofanie się z pracy w administracji województwa, która w dużej części zawsze była i pozostała formą działalności partyjnej. Każdy w zarządzie reprezentuje ugrupowanie polityczne i przez jego władze bywa rozliczany z podejmowanych decyzji.

– Złożenie rezygnacji z urzędu wicewojewody zostało wymuszone, prawda?

– Zdawałem sobie sprawę z tego, kim jestem, ile mogę i co powinienem robić. Moim pierwszym zawodem było nauczycielstwo, ale i chciałem być bliżej ludzi potrzebujących pomocy. Nawet zostałem wiceprezesem Zarządu Głównego Towarzystwa Walki z Kallektwem. Oprócz tego *de facto* sporo miejsca w moim życiu zaczęła zajmować praca naukowa.

– Czy badał pan przyczyny strajku w Lubogórze, przez jed-
nych uważanego za skuteczny i najdłuższy w Polsce, a przez
drugich oceniany jako niepotrzebny i niezrozumiały?

– Sprawą lubogórską interesowałem się od chwili jej zaistnienia, ale
żadnej publikacji na ten temat nie zdążyłem ogłosić. Bałem się, że
kogoś skrzywdzę. Inaczej przedstawiali ją związkowcy z Solidar-
ności, inaczej ówczesna prasa oficjalna, a to jedyne źródła. Kto in-
formował obiektywnie, nie wiem. Potrzebny byłby sędzia, ale i on
pewnie bez wahania nie wydałby wyroku. Uważam, że Gogol miał
rację pisząc, że „nie ma ludzi absolutnie winnych i absolutnie nie-
winnych”. I jeszcze jedna myśl tego genialnego pisarza: za często
„zbyt surowi jesteśmy dla ludzi, którzy nam się nie podobają”. Dla-
tego starałem się postępować wedle maksymy: *mala causa silenda est*.

– Co to oznacza?

– Łacińskie porzekadło odpowiadające mniej więcej zasadzie: w złej
sprawie lepiej milczeć.

– Odróżnianie dobra od zła nie jest trudne.

– W przypadku zdarzenia w Lubogórze chodzi o odróżnienie tego,
co było słuszne, od tego, co było niesłuszne.

– Strajk w Lubogórze zakwalifikował pan do kategorii „zła
sprawa”?

– Kiedy niekwestionowany lider Solidarności, Lech Wałęsa, zapo-
znał się z przyczyną i przebiegiem strajku, nie stanął zdecydowanie
po stronie lubogórzan. Wałęsa nazwał konflikt w Lubogórze „bez-
sensowny” i dodał, że „trzeba go było rozstrzygnąć w zarodku”.
Z biegiem lat legenda powstająca wokół tego zdarzenia była większa
niż ono na to zasługiwało. W gruncie rzeczy był to strajk o nic. Jedy-
nie o demonstrację znaczenia Niezależnego Samorządnego Związku
Zawodowego „Solidarność” w województwie zielonogórskim.

– Jeśli strajk o nic, to dlaczego poparły go niemal wszystkie
komisje zakładowe Solidarności w regionie? Dlaczego trwał
bez mała dwa miesiące? Dlaczego oficjalne gazety i związko-
we biuletyny, radio i telewizja poświęciły mu tak dużo miej-
sca i czasu?

– Myślę, po pierwsze, że części funkcyjnych członków Solidarności w województwie chodziło o przekonanie swoich kolegów w kraju, że Zielona Góra nie jest, jak nazywano miasto, Czerwoną Górą. Po drugie, w tamtym czasie nie trzeba było długo szukać powodu do wywołania strajku. Pierwsze protesty w 1980 roku wywołały pogarszające się warunki życia, a przede wszystkim fala podwyżek cen mięsa i wędlin. Potem przerwy w pracy, jak strajki nazywali rządzący, miały miejsce bez mała wszędzie. Sytuacja się nie uspokoiła po 31 sierpnia 1980 roku, kiedy w Gdańsku Lech Wałęsa i wicepremier Mieczysław Jagielski podpisali porozumienie. Protestujący na Wybrzeżu deklarowali zakończenie protestu, a rząd zgodził się na utworzenie niezależnego, samorządnego związku zawodowego i zaakceptował prawo do strajku. Wśród 21 postulatów Solidarności przyjętych przez stronę rządową była między innymi budowa pomnika ofiar grudnia 1970, transmisja niedzielnych mszy w Polskim Radiu, ograniczenie cenzury. Ale i, na to zwracam uwagę, strajkujący zaakceptowali zapis dotyczący tego, że nowy związek zawodowy będzie uznawał kierowniczą rolę Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w państwie.

– Mimo że dopiero 10 listopada 1980 roku Sąd Najwyższy zarejestrował Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność”, już na początku września zaczęły powstawać komitety założycielskie.

– Przypomniał pan to, co się działo w środowisku miejskim. We wsiach zawiązywały się podobne organizacje, ale nie pod tym samym szyldem. Najbardziej znane były Chłopskie Związki Zawodowe, Solidarność Wiejska i Solidarność Chłopska. Dopiero w lutym 1981 roku te najliczniejsze organizacje połączyły się w NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarność”.

– Aha, to członkowie tego związku domagali się ziemi należącej do państwa w Glinisku koło Świebodzina?

– Najazd rolników indywidualnych na grunty pecegerowskie w Glinisku miał miejsce latem 1981 roku. Rolnicy żądali zwrotu ziemi bezprawnie im odebranej przed laty i sprzedaży gruntów będących we władaniu państwowego przedsiębiorstwa. Z jednej strony byli rolnicy, z drugiej Komitet Obrony Własności Państwowych Przedsiębiorstw Rolniczych pod przewodnictwem dyrektora zakładu rolnego

w Lubogórze, Henryka Leśniewskiego. W składzie komitetu znajdował się przewodniczący Komisji Zakładowej „Solidarności”, Zbigniew Kłosowski. Wymieniłem te nazwiska, ponieważ w trakcie strajku lubogórskiego one były na ustach wszystkich. Niedługo po najeździe rolników na grunty w Glińsku Kłosowski wystąpił z tego komitetu dlatego, że po stronie rolników indywidualnych stanęła Solidarność. Leśniewski miał mu to za złe, bo, jak mówił, nie bronił swego miejsca pracy.

– I dlatego Kłosowski zorganizował strajk w Lubogórze?

– Powodem strajku lubogórskiego było co innego. Sprawę glińską można potraktować *par excellence* jako przyczynę tego konfliktu. Otóż w skład zakładu w Lubogórze, należącego do Świebodzińskiego Kombinatoru Rolnego, wchodziły gospodarstwa leżące w kilku sąsiednich wsiach. W zakładzie pracowało około 500 osób. Zaraz po powstaniu Solidarności więcej niż połowa przeniosła się z branżowego Związku Zawodowego Pracowników Rolnictwa do nowego związku. Oznaczało to, że przewodniczący komisji zakładowej w trakcie wykonywania swoich obowiązków związkowych nie musi robić tego, do czego się zobowiązał, podpisując umowę o pracę. Ale w trakcie trwania konfliktu w Glińsku część członków Solidarności pracujących w Radoszynie i Niekarzynie wróciło do związku branżowego.

– Dlaczego?

– Z dostępnych materiałów wynika, że przewodniczący komisji oddziałowej Solidarności w Niekarzynie przyszedł do pracy nietrzeźwy. Leśniewski najpierw kazał wyrzucić go z gospodarstwa, ale potem zmienił decyzję. Gdy pracownik wytrzeźwiał, dyrektor zapewnił go, że pozostanie w gospodarstwie, jeśli wystąpi z Solidarności i nakłoni do tego inne osoby. Za jego namową nowy związek w Niekarzynie zmniejszył się o 20 członków. Wtedy Leśniewski ogłosił, że skoro w całym zakładzie jest mniej niż 250 członków Solidarności, a to był warunek przyznania etatu związkowego, polecił Kłosowskiemu powrót do pracy w charakterze kierowcy.

– Co Kłosowski na to?

– Kłosowski ogłosił, że od czasu jego wystąpienia z Komitetu Obrony Własności dyrektor szykanuje jego i związek. Oskarżył Leśniewskiego

o nieszanowanie godności osobistej pracowników. Przypomniiał, że w czasie spotkania z pracownikami gospodarstwa w Niedźwiadach dyrektor powiedział: „Masy zawsze były, są i będą bite w dupę, bo po to są”. Innym razem stwierdził, niestety, z dokumentów nie wynika gdzie, że „90 procent załogi to murzyni nie do myślenia, tylko do roboty”. Przewodniczący komisji zakładowej prosił Leśniewskiego o rozmowę twierdząc, że ma dowody na to, iż ten namawiał pracowników do występowania z Solidarności. Gdy dyrektor odrzucił tę prośbę, Kłosowski nie podporządkował się jego decyzji, to znaczy nie wrócił na poprzednie miejsce pracy jako kierowca. 12 października Leśniewski zawiadomił go pisemnie o rozwiązaniu umowy z powodu porzucenia pracy.

– Dlatego Kłosowski wezwał lubogórzan do strajku?

– Była jeszcze jedna przyczyna. Kłosowski domagał się przeprowadzenia we wrześniu referendum w sprawie odłączenia zakładu w Lubogórze od świebodzińskiego kombinatu. Leśniewski nie był przeciw temu, tylko proponował odbycie głosowania po zakończeniu jesiennych prac polowych. Wtedy Solidarność ustami Kłosowskiego zarzuciła Leśniewskiemu nieumiejętność kierowania zakładem, a wszystkie sukcesy przypisała inwestycjom poczynionym przez poprzedniego dyrektora.

– Kiedy zaczął się strajk?

– Zasadniczy, uważany za najdłuższy, poprzedził jednogodzinny strajk ostrzegawczy, 13 października 1981 roku. Następnego dnia o godzinie siódmej część załogi rozpoczęła strajk zasadniczy.

– Czy wśród strajkujących byli wyłącznie członkowie Solidarności?

– Członkowie zakładowej Solidarności podporządkowali się decyzji komitetu strajkowego. Zdaniem organizatorów, również osoby należące do związku branżowego nie przystąpiły do pracy. Na pewno wśród strajkujących nie było pracowników gospodarstw w Niekarzynie i Radoszynie, którzy pod koniec sierpnia wystąpili z Solidarności. Według różnych źródeł na początku strajku brało w nim udział od 130 do 150 osób spośród 500 pracowników zakładu.

– Jakie postulaty przedstawili strajkujący?

– Na początku, czyli 13 października, chodziło im o przywrócenie do pracy Kłosowskiego, odwołanie Leśniewskiego z funkcji dyrektora zakładu, jego zastępcy i dyrektora kombinatu. Wśród żądań było zapłacenie za czas strajku jak za urlop i niestosowanie represji wobec strajkujących. W oświadczeniu wysłanym do Urzędu Wojewódzkiego w Zielonej Górze było zdanie kończące się słowami: „strajk nasz jest walką o prawo do spokojnej pracy i poszanowanie godności człowieka”. Wicewojewoda nadzorujący rolnictwo odpowiedział, że rozwiązanie konfliktu w Lubogórze jest w gestii dyrekcji kombinatu. Komitet strajkowy jednak domagał się rozmów z wojewodą, a ponieważ do nich nie doszło, świebodzińska Komisja Koordynacyjna NSZZ „Solidarność” wezwała komisje zakładowe do strajku protestacyjnego. 16 października w Zielonej Górze zebrano się prezydium zarządu regionu i przedstawiciele Solidarności z dużych zakładów w województwie. Nie tylko poparli strajkujących w Lubogórze, lecz i zgłosili dodatkowe żądania. Wśród nich było odwołanie wojewody, dwóch wicewojewodów, pięciu dyrektorów w zielonogórskim Urzędzie Wojewódzkim, pozbawienie mandatu trzech radnych wojewódzkich. Na tym zebraniu związkowcy zdecydowali o ogłoszeniu godzinnego strajku w Zielonej Górze i jeśli nie będzie reakcji władz na ich żądania, strajku pełnego. 17 października zarząd regionu przekształcił się w Regionalny Komitet Strajkowy.

– Czy to oznacza, że rozpoczął się strajk w całym w województwie?

– Najpierw przyłączyło się do niego 50 zakładów pracy. Proklamująca strajk w zielonogórskiej Novicie komisja zakładowa swoją decyzję uzasadniła wyczerpaniem „wszelkich możliwości i szans na szybkie i skuteczne rozwiązanie konfliktu”. Domagała się „realizacji przez odpowiednie władze postulatów stawianych przez komitet strajkowy PGR Lubogóra”. 22 października rozpoczął się strajk powszechny w województwie. Uczestniczyło w nim 575 zakładów pracy. Nie przyłączyły się te komisje Solidarności z Nowej Soli, które należały do regionu dolnośląskiego.

– Jak zachowały się władze administracyjne i polityczne województwa?

– Dyrektor świebodzińskiego kombinatu przywrócił do pracy Kłossowskiego, a mimo to strajk się rozszerzał. Dlatego 26 października delegaci 23 zakładów pojechali do Warszawy. Minister do spraw związków zawodowych obiecał im przysłanie komisji resortowej, która podejmie rozmowy. Przyjechała komisja pod przewodnictwem wiceministra rolnictwa, porozmawiała ze protestującymi w Lubogórze i ogłosiła *par excellence*, że strajk wybuchł niepotrzebnie, gdyż nie wykorzystano wszystkich środków prawnych celem jego zakończenia.

– Strajk popierający lubogórzan rozpoczął się w województwie zielonogórskim mimo apelu Komisji Krajowej „Solidarności” o niepodjęmowanie akcji protestacyjnych. Czy to oznacza, że władze krajowe związku jednak akceptowały to, co się działo w Lubogórze?

– 30 października Lech Wałęsa przyjechał do Zielonej Góry. Najpierw w amfiteatrze na Wzgórzach Piastowskich rozmawiał z mieszkańcami miasta, potem spotkał się z pracownikami Novity i Zastalu. Zezwolił Regionalnemu Komitetowi Strajkowemu na kontynuowanie akcji do 2 listopada, a po tym terminie „strajk miał być bezwzględnie zakończony”. Zapewnił związkowców, że dołoży starań, aby postulaty zostały spełnione, a protest zakończył się „zgodnie z oczekiwaniami strajkujących”.

– W dokumentach dotyczących Solidarności natknąłem się na informację, że na temat protestu w Lubogórze Lech Wałęsa rozmawiał z generałem Wojciechem Jaruzelskim, wtedy pierwszym sekretarzem Komitetu Centralnego PZPR.

– Jest to informacja przekazana przez tajnego współpracownika Służby Bezpieczeństwa, ulokowanego w zielonogórskim regionie Solidarności. Wedle „Zenka” Jaruzelski zapewnił Wałęsę, że „wszyscy, na których będą ciążyły potwierdzone zarzuty nadużyć i wykorzystywania stanowisk do celów prywatnych, odejdą, ale nie może to być realizowane pod presją strajków”. Miało to zaniepokoić związkowców, tym bardziej że kapelan zielonogórskiej Solidarności ksiądz Henryk Nowik uznał, że został popełniony błąd, który mógł „doprowadzić do rozróby i rozbicia jedności związku”.

– Lech Wałęsa polecił swemu zastępcy w Komisji Krajowej, Stanisławowi Wądołowskiemu, prowadzenie rozmów w Zielonej Górze.

– Ponieważ dyrektor kombinatu przywrócił Kłosowskiego do pracy w Lubogórze, zespół Wądołowskiego uznał wcześniejszą decyzję Leśniewskiego za bezprawną i domagał się od wojewody odwołania dyrektora z zajmowanego stanowiska w Lubogórze. Wojewoda stwierdził, że to przekracza jego kompetencje, dlatego nie odwołał Leśniewskiego. Ponadto zadaniem zespołu miało być przekonanie strajkujących, żeby wrócili do pracy.

– Kto w czasie strajku karmił zwierzęta hodowane w Lubogórze?

– Za płotem okalającym gospodarstwo przebywali wyłącznie strajkujący. Oni karmili, poili i oprząkali zwierzęta. Inne pilne roboty, szczególnie w polu, zostały przerwane.

– Mimo zaangażowania Lecha Wałęsy, żadna strona, mam na myśli strajkujących, regionalny komitet i wojewodę, nie chciała ustąpić?

– Stało się to dopiero po zapewnieniu Wądołowskiego, że Komisja Krajowa „Solidarności” gwarantuje zapłatę za czas strajku. Zastępca Wałęsy zapewnił lubogórzan, że konflikt zostanie rozwiązany przez „krajówkę”. Jego zdaniem niezłatwienie tej sprawy „byłoby ze strony władz czystą prowokacją [wymierzoną] w ludzi prostych, szeregowych, którzy siedzą w zakładach pracy”. W podsumowaniu swojej misji Wądołowski stwierdził, że „związek wygrał jako związek, bo podporządkował się związkowi”.

– Kiedy zakończył się strajk?

– *Par excellence* nigdy.

– Nigdy?

– 13 listopada strajkujący zawiesili protest. Potem odbyło się referendum dotyczące wyłączenia zakładu w Lubogórze z kombinatu. Pracownicy większością głosów opowiedzieli się za utrzymaniem kombinatu w dotychczasowej strukturze. Jedno z pytań dotyczyło zwolnienia Leśniewskiego i jego zastępcy z kierownictwa zakładu

oraz odwołania dyrektora kombinatu. Tego głosujący także nie poparli.

– Jak zachowała się administracja województwa?

– 16 listopada odbyła się sesja Wojewódzkiej Rady Narodowej. Radni wnioskowali o powołanie komisji rządowo-związkowej w sprawie odwołania wojewody, która po „przedstawieniu i sprawdzeniu zarzutów [miała] podjąć odpowiednie decyzje”.

– Jakie to były decyzje?

– 13 grudnia 1981 roku został ogłoszony stan wojenny. Wtedy internowano wielu związkowców, wśród nich Kłosowskiego. Miejsce cywilnego wojewody zajął wojewoda w mundurze wojskowym.

– Może pan potwierdzić, że strajk w Lubogórze był prowokacją zorganizowaną przez Służbę Bezpieczeństwa?

– Z materiałów znajdujących się w Instytucie Pamięci Narodowej wynika, że Służba Bezpieczeństwa prowadziła akcję „Fala”. Że miała tajnych współpracowników wśród członków Solidarności. Czy oni, a szczególnie „Zenek” i „Anna”, mieli udział w zorganizowaniu strajku w Lubogórze, *de facto* brak jest dowodów.

– Dziękuję za rozmowę.

Państwowe gospodarstwa rolne na Środkowym Nadodrzu

Państwowe gospodarstwa rolne zostały utworzone w 1949 r. Powstały one przede wszystkim na miejscu największych majątków poniemieckich po zakończeniu wojny przejętych przez państwo. Ich zasadniczym zadaniem była uprawa ziemi oraz chów i hodowla zwierząt. Z czasem doszły nowe obowiązki, m.in. tworzenie sadów i gospodarstw ogrodniczych, produkowanie pasz, a nawet utrzymywanie hoteli. Oprócz gospodarstw produkcyjnych istniały zakłady specjalistyczne, np. stadniny koni, ośrodki hodowli zarodowej, stacje nasiennictwa i szkółkarstwa. W 1956 r. pegeery gospodarowały na 12,6 proc. użytków rolnych w kraju. Największa ich koncentracja była na północy i zachodzie. W województwie zielonogórskim do państwowego rolnictwa należało ponad 20 proc. gruntów rolnych. W latach 70. włączono do tego sektora gospodarstwa chłopskie, które oddawały ziemię za rentę lub emeryturę. W 1980 r. pegeery dysponowały około 18,5 proc. pól i łąk w kraju, a udział ich w produkcji rolniczej wynosił tylko 17,7 proc. Wtedy nastąpiło niewielkie zmniejszenie areału należącego do państwa, a udział gospodarstw uspołecznionych w produkcji globalnej rolnictwa spadł do 13,7 proc. Pod koniec lat 80. zajmowały 47,9 proc. użytków rolnych w województwie gorzowskim i 43,1 proc. w zielonogórskim.

Po 1989 r. uznano, że pegeery nie będą miały szansy w nowej rzeczywistości gospodarczej i dlatego rozpoczęła się ich likwidacja. Przeciw ich zamykaniu i sprzedaży majątku stanęli pracownicy Rzepińskiego Kombinatoru Rolnego, którzy w 1990 r. ogłosili strajk. W 1991 r. w państwowych gospodarstwach rolnych pracowało 450 tys. osób. W województwie gorzowskim zatrudniały one 19,2 tys. pracowników i 18,6 tys. w zielonogórskim.

Majątek zlikwidowanych państwowych przedsiębiorstw rolnych przejęła utworzona w 1991 r. Agencja Własności Rolnej Skarbu Państwa, później przekształcona w Agencję Nieruchomości Rolnych. Część dostała się w ręce rolników indywidualnych, część kupiły spółki utworzone przez funkcyjnych pracowników gospodarstw, niewielka część ziemi czeka na zagospodarowanie. Ze względu na brak nabywców sporo budynków inwentarskich uległo dewastacji. Budynki mieszkalne kupili pracownicy. Krytycy takiego potraktowania pegeerów uznali to za szkodliwe, szczególnie ze względu

na ludzi zatrudnionych w tym sektorze. W większości zostali oni pozbawieni możliwości podjęcia pracy i źródła utrzymania, chociaż państwo starało się udzielać im pomocy a to organizując kursy do-kształcające i kwalifikacyjne, a to udzielając pożyczek na tworzenie firm, a to przyznając stypendia młodzieży uczącej się i studiującej.



Ks. Sylwester Zawadzki – fot. Mariusz Kapala

Ks. Sylwester Zawadzki

Urodził się 20 września 1932 w Dębnicy Nowej koło Zwolenia, zmarł 14 kwietnia 2014 r. w Świebodzinie. Ukończył studia teologiczne w Wyższym Seminarium Duchownym w Gościkowie-Paradyżu i Akademię Teologii Katolickiej w Warszawie. Na księdza został wyświęcony w 1958 r. Był wikariuszem m.in. w Szczecinie, Chojnie, Zbąszynku, proboszczem w Radnicy. W 1981 r. został proboszczem parafii Najświętszej Marii Panny Królowej Polski w Świebodzinie, a następnie nowo utworzonej parafii Miłosierdzia Bożego, w której postawił kościół, w 2008 r. podniesiony do rangi sanktuarium. W 2001 r. zainicjował budowę pomnika Chrystusa Króla, ukończoną w 2010.

OJCIEC CHRYSTUSA KRÓLA

Rozmowa z ks. prałatem Sylwestrem Zawadzkiem,
duchownym rzymskokatolickim

– Gdzie jest najstarszy na świecie hipermarket sieci Tesco?
– Złośliwi mówią, że w Świebodzinie, bo stanął tam pięć lat przed Chrystusem.

– Nigdy ksiądz nie denerwował się z tego powodu?

– Przecież to prawda. Pomysł budowy pomnika Chrystusa upubliczniłem w 2000 roku. Już wtedy w niewielkiej odległości od drogi z Zielonej Góry do Świebodzina stało Tesco. Zachodnia część miasta dość szybko stała się największym placem budowy. Tam między ogrodami a osiedlem Łużyckim wyrosły hoteliki, restauracje i sklepy. Na wprost pomnika stanął kompleks sportowy z pływalnią Świewoda. Obok, na wprost sanktuarium Miłosierdzia Bożego, jest spory kwartał zabudowany domkami jednorodzinnymi.

– Prałat budowniczy – takie określenie przyłgnęło do księdza. Posługiwali się nim duchowni i świeccy, świebodzinianie i pielgrzymi. Prawdziwe czy denerwujące?

– Od dziecka miałem zamiłowanie do tworzenia, a najbardziej do budowania, czy szerzej – budownictwa. Lubilem obserwować robotników podczas ich pracy, jak stawiają mury, jak wznoszą nowe obiekty. Był taki okres w moim życiu, że zastanawiałem się, czy podjąć kształcenie w tym kierunku. Może skończyłbym studia inżynierskie, projektował obiekty sakralne albo i nadzorował ich

budowy. Wśród księży zawsze było wielu takich, którzy poza opieką duszpasterską zajmowali się jeszcze czymś, co służyło ludziom. Karol Wojtyła, późniejszy Ojciec Święty Jan Paweł II, święty Kościół katolickiego, był profesorem akademickim, wybitnym poetą i dramaturgiem. Jan Twardowski to znakomity poeta w sutannie, a pierwszą linijkę jego wiersza „Spieszmy się kochać ludzi tak szybko odchodzą” zna niemal każdy. Zanim Witold Andrzejewski został księdzem, był aktorem w gorzowskim teatrze. A ksiądz Jerzy Nowaczyk najpierw skończył studia inżynierskie, potem teologiczne. Ten pierwszy fach okazał się pomocny w trakcie budowy kościoła Podwyższenia Krzyża Świętego w Zielonej Górze. Historia Polski zna wielu duchownych, którzy wykonywali zadania państwowe, na przykład Hugo Kołłątaj i Stanisław Staszic.

– W których miejscowościach znajdują się kościoły postawione przy udziale księdza?

– Po ukończeniu seminarium Gościkowie-Paradyżu i przyjęciu święceń kapłańskich przez wiele lat byłem wikariuszem. Miałem nad sobą proboszczów, a to oznaczało przede wszystkim wykonywanie zadań przez nich nakazanych. W 1971 roku z parafii w Nietkowicach wyodrębniono parafię radnicką należącą do dekanatu Krośnie Odrzańskim. Dwa lata później zostałem tam proboszczem i zaraz wspólnie z parafianami wziąłem się za przystosowanie budynku gospodarczego na kościół. Potem przy ich wsparciu postawiłem plebanię. A jeszcze później przyszła kolej na gruntowne remonty kościołów filialnych w Sycowicach i Będowie.

– Z Radnicy został ksiądz przeniesiony do parafii Najświętszej Maryi Panny Królowej Polski w Świebodzinie.

– Była to nowa kościelna jednostka administracyjna, wydzielona z dużej i niełatwej w zarządzaniu parafii Świętego Michała Archanioła. Najpierw za plebanię służył domek na osiedlu Słonecznym, potem zbudowałem dom parafialny im. Jana Pawła II, w którym oprócz mieszkań dla księży była kancelaria, salki katechetyczne i pomieszczenia dla grup parafialnych. Jednocześnie prowadziłem gruntowny remont kościoła zbudowanego jako świątynia protestancka. Zmieniłem jego wystrój, zainstalowałem ogrzewanie i wymieniłem posadzkę, wyremontowałem organy, wokół świątyni

zbudowałem drogę procesyjną. Potem przyszła kolej na kościoły filialne w Lubinicku i Jeziorach, w Rakowie i Rudgerzowicach.

– Z tamtej parafii został ksiądz przeniesiony do parafii na osiedlu Łużyckim po to, żeby postawić kościół pw. Miłosierdzia Bożego?

– Proboszczem nowej parafii zostałem dopiero w 1999 roku. Wcześniej, bo w 1987 roku, podczas wizyty kanonicznej biskup Józef Michalik zauważył, że mieszkańcy nowego osiedla Łużyckiego mają daleko do najbliższego kościoła. Po rozmowie z kurialistami i parafianami zaproponowałem, żeby na osiedlu postawić duży kościół Miłosierdzia Bożego. Do tego tytułu przywiązywałem wielką wagę, ponieważ kult Miłosierdzia Bożego jest znaczący i szybko się rozwija na świecie. Związany jest z objawieniami zakonnicy ze zgromadzenia Matki Bożej Miłosierdzia, Faustyny Kowalskiej, której w 1935 roku w celi plockiego klasztoru objawił się Jezus, polecając jej, by głosiła orędzie o Bożym Miłosierdziu całemu światu. Budowa kościoła rozpoczęła się w 1994 roku od wmurowania kamienia węgielnego, pochodzącego z bazyliki Świętego Piotra w Rzymie.

– Kościół jest ogromny, wymagał więc dużo pracy i dużo pieniędzy.

– Przy budowie pracowało około 300 osób, a wspierały ją finansowo zakłady pracy i indywidualni ofiarodawcy. Żeby mieć dostęp do budulca, prowadziłem cegielnię w Drożkowie i tartak w Świebodzinie. Ta świątynia jest zbudowana nie tylko z kamieni, stali, cegieł, betonu, ale przede wszystkim z wiary. W 1998 roku, w czterdziestolecie mojego kapłaństwa, biskup Paweł Socha poświęcił kościół. Potem stanęła plebania, po niej droga procesyjna, kaplica Maryi z Nazaretu, ogrodzenie i oświetlenie, garaże i magazyny.

– W przeciwieństwie do świątyń amfiteatralnych wznoszonych pod koniec XX stulecia, kościół Miłosierdzia Bożego ma coś ze stylu bazyliki z akcentami baroku i gotyku.

– Bryłę zaprojektował profesor Marian Fikus, wybitny architekt i urbanista, autor koncepcji zabudowy centrum Wrocławia, Głogowa, Kędzierzyna-Koźła, Rzeszowa, Gliwic, projektant kościołów w Lesznie i Turku. Wystrój jest dziełem profesor Barbary Bieleckiej

z Warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych i zielonogórskiego artysty rzeźbiarza Mirosława Pateckiego. Wszelkie prace wewnątrz kościoła, obejmujące ołtarze, ornamenty, wyposażenie, prowadziłem z myślą o nadaniu mu rangi sanktuarium Miłosierdzia Bożego. Chciałem, żeby kościół i jego wnętrze oddawało charakter kultu.

– Czy to prawda, że ksiądz przekonał biskupa Adama Dyczkowskiego, żeby swoim autorytetem jako ordynariusza diecezji poparł oddanie miasta i gminy Świebodzin pod opiekę Chrystusa Króla?

– Dwa lata po poświęceniu kościoła Miłosierdzia Bożego miała miejsce uroczysta intronizacja Chrystusa Króla. Po niej Rada Miejska podjęła uchwałę w sprawie ustanowienia Chrystusa Króla patronem Świebodzina. Nie zaprzeczam, że za moją namową. Wniosek rady trafił do watykańskiej Kongregacji do spraw Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów, a ta sprzeciwiła się propozycji. „Zgodnie z obowiązującymi w Kościele katolickim przepisami prawno-liturgicznymi ani Trójca Święta, ani żadna z trzech Osób Bożych, a więc Bóg Ojciec, Syn Boży i Duch Święty, nie może zostać ogłoszona patronem miejscowości. Do natury bowiem patronatu należy pełnienie roli orędownika i opiekuna u Boga, a taką funkcję spełniać mogą jedynie osoby stworzone: Najświętsza Maryja Panna, aniołowie oraz święci”, takie stanowisko kongregacji przesłał radnym biskup zielonogórsko-gorzowski.

– Porażka radnych i porażka księdza. Może i utrata autorytetu?

– Potknięcie z mojej strony. Rzeczą ludzką jest błądzić. Oficjalnie radni nie mieli do mnie pretensji, prywatnie pewnie byli i tacy, którzy ze mnie pokpiwali. Wyjaśnienie biskupa ordynariusza i decyzja kongregacji trochę zatrzymała moją aktywność jako budowniczego.

– Długo to nie trwało, bo w głowie księdza ulął się pomnik Chrystusa, górujący nad Świebodzinem. Czy od razu ksiądz wskazał wzniesienie może kilometr od nowego kościoła?

– Impulsem do budowy pomnika była tamta, z 2000 roku, uroczysta intronizacja. Skoro nie udało się z zawierzeniem Świebodzina Chrystusowi, to może uda się zrobić co innego. Myślałem o zbudowaniu

bramy z figurą Jezusa, ale pojawiło się pytanie, z której strony miasta? To może postawić ogromny krzyż, tylko że taki już był na Giewoncie. Została figura. Długo zastanawiałem się, gdzie powinna stać i jak ją nazwać. Zdawałem sobie sprawę, że nie wystarczy pomysł i idea, że trzeba wziąć pod uwagę zasady i prawo budowlane. Tę sprawę odłożyłem do omówienia z projektantami. Chciałem zacząć od nazwy. Sam zgłosiłem kilka propozycji tytułów. Kilka zgłosili parafianie. Po długiej dyskusji pozostawiliśmy dwa: Chrystus Zbawiciel i Chrystus Król. Na początku więcej zwolenników miał pierwszy tytuł, może by wygrał, gdyby nie to, że powtarzał nazwę z brazylijskiego Rio de Janerio. Zaakceptowaliśmy drugi, prosty i krótki oraz, co bardzo ważne, nawiązujący do intronizacji Chrystusa w 2000 roku.

– Już wtedy miał ksiądz w głowie pomnik wysoki, widoczny z daleka? Taki, który teraz budzi zachwyt pielgrzymów i pasażerów samochodów przejeżdżających po drogach wokół Świebodzina?

– W zamyśle miała to być figura, jak została określona przez projektantów, architektury ogrodowej. Wykonanie takiej budowli w takiej formie wynikało z przepisów prawa budowlanego. Krótko mówiąc, postawienie figury ogrodowej nie wymagało uzyskania wielu pozwoleń.

– Z archiwalnej wypowiedzi burmistrza Świebodzina wynika, że ksiądz próbował ominąć przepisy. Dlatego władarz miasta nakazał kontrolę i wtedy wylazło szydło z worka. To, co powstawało, nie było zgodne z tym, o co ksiądz wnioskował.

– Dokumentacja budowlana była przeprojektowywana wiele razy, potem doszły zmiany wynikające z przyjęcia innej technologii wykonania figury. Na początku rzeźbiarz proponował, żeby wzorem Statui Wolności w Nowym Jorku pomnik został wykonany z blachy miedzianej. Jak szybko zaakceptowałem ten pomysł, tak szybko go odrzuciłem. Głównie ze względu na rosnące koszty. Potem długo obliczaliśmy, o ile złotych tańsze będzie użycie blachy nierdzewnej. I gdy byliśmy gotowi zaakceptować ten pomysł, ktoś z zespołu doradców dopatrzył się korozji, która może pokryć spawy, a to

oznaczałoby katastrofę budowlaną. Jak szybko padła odpowiedź, żeby figurę odlać z betonu, tak szybko padło pytanie o firmę, która podejmie się wykonania tak dużej formy. Inna propozycja zakładała wymurowanie monumentu z cegieł. Po długich rozważaniach wykonawca pomnika postanowił, że zastosuje technologię torkretu, czyli natryskiwania betonu na wcześniej przygotowane zbrojenie. Ta technologia okazała się przydatna jedynie przy stawianiu korpusu figury. Jej pozostałe części, czyli barki i ramiona mające rozpiętość 24 metrów, trzeba było zrobić w inny sposób. Inżynierowie wskazali na zbrojony laminat. Głowa musiała zostać wykonana z polistyrenu ekstrudowanego.

– Czy miejsce pod pomnik było naturalnym wzniesieniem?

– Miejsce, gdzie stanęła figura, wcześniej było polem uprawnym. Dwa lata trwało, zanim parafia stała się jego właścicielem. Po zmianie planu zagospodarowania i uzyskaniu pozwoleń, usypaliśmy kopiec. Odpowiednio wzmocniony, żeby wszystko odbyło się zgodnie ze sztuką budowlaną.

– Gdy ruszyły prace na wyniesieniu, inspektor nadzoru budowlanego je wstrzymał. Z jakiego powodu?

– Niepotrzebnie się pośpieszył. Owszem, dostarczyłem do jego biura, żeby zatwierdził budowę, nieco inny projekt. W pierwszej wersji figura miała mieć tylko 23 metry wysokości. Później zaproponowałem podniesienie jej do 33 metrów. Żeby te metry uosabiały 33 lata życia Pana Jezusa. Figurę wieńczy trzymetrowa korona, oznaczająca trzy lata działalności publicznej Chrystusa. Cokół został podzielony na pięć pierścieni, które symbolizują pięć kontynentów. Chrystus nie jest tylko dla Świebodzina.

– Czy o tych zmianach wiedział powiatowy inspektor nadzoru budowlanego?

– Jak każdy inwestor miałem obowiązek informować inspektora o każdorazowym odstępstwie od zatwierdzonego projektu. Nie zrobiłem tego, dlatego inspektor wstrzymał budowę. Nie była to jego zła wola, tylko obawy, czy pomnik według nowego projektu spełnia wymogi bezpieczeństwa. Inspektor był odpowiedzialnym urzędnikiem. Fachowcy, którzy stanęli po jego stronie, uświadomili

mnie, że obowiązujące w Polsce normy dotyczą budowli innego przeznaczenia.

– Obawy inspektora były słuszne?

– Z jego punktu widzenia tak. Ale przecież, przekonywałem, zmieniła dokumentacja powstała nie przy stole na plebanii, a w wyspecjalizowanych pracowniach, pod nadzorem odpowiedzialnych fachowców. Projekt techniczny konstrukcji wykonali naukowcy z wydziału budownictwa Uniwersytetu Zielonogórskiego, doktor habilitowany inżynier Jakub Marcinowski i docent Mikołaj Kłapoć. Zdaniem doktora największym zagrożeniem dla budowli może być silny wiatr. Uczony zapewnił mnie, a ja inspektora nadzoru, że w trakcie prac projektowych zostały zawyżone normy. Inżynier przyjął wartości, jakie nie zdarzyły się w okolicach Świebodzina przez pół wieku i ponadto uwzględnił zachodzące zmiany klimatyczne. Najbardziej niebezpieczny mógłby okazać się wiatr wiejący w plecy figury, dlatego stoi ona przodem do miasta. W tej części Polski najczęściej wieje z zachodu, a figura jest ustawiona w kierunku północno-zachodnim.

– Czy inspektor miał inne uwagi?

– Potem wyszła sprawa instalacji odgromowej. W projekcie nie było o niej mowy, inspektor więc znowu wstrzymał prace. Wtedy zainteresowałem sprawą wojewodę lubuską, Helenę Hatkę, której podległy urząd uznał, że pozwolenie na budowę figury zostało wydane legalnie.

– Fachowcy mieli uwagi związane z linią wysokiego napięcia wiszącą obok pomnika.

– Trzeba było wyjaśnić, czy przewody elektryczne będą stwarzały zagrożenie dla pielgrzymów.

– Jak przebiegała budowa?

– Zgodnie z projektem fachowcy osadzili figurę na dwóch fundamentach. Wewnątrz zamontowali stalowy szkielet złożony z kratownic od dźwigów i siatki. W środku jest wełna mineralna. Na tym znajduje się natryskiwany beton, dlatego z daleka figura wygląda tak, jakby była zbudowana z kamieni. Osobno wykonane ramiona

i głowę udało się zamontować przy pomocy dźwigu specjalnie sprowadzonego z Wybrzeża.

– Ile lat będzie stała figura?

– Ksiądz prowadzący audycje telewizyjne powiedział, że nie chciałby oglądać rzeźby Chrystusa ze Świebodzina za 20 lat, kiedy siatko-beton, z jakiego wykonano figurę, przestanie być biały i żółknie. Tak się może stać. Ja jednak wierzę, że moi następcy w parafii będą ją konserwowali i gdy tylko zaczną zmieniać kolor, przywrócą jej pierwotny wygląd.

– Ile razy przejeżdżałem samochodem drogą S3, tyle razy odwracałem głowę w stronę pomnika.

– Doniesiono mi, że w bezchmurny dzień widać ją z Zielonej Góry, a to ponad 40 kilometrów w linii prostej. Na pewno widzi ją każdy, kto jedzie „trójką”. I każdy, kto mknie autostradą A2, też zwróci na nią uwagę. Dzięki figurze o Świebodzinie zrobiło się głośno w Polsce i poza granicami. Jest to najwyższy na świecie monument Pana Jezusa. A skoro głośno, to i tłocznie. Nie ma dnia, żeby na pobliskich parkingach nie zatrzymywały się autokary z pielgrzymami. W pobliżu rozsiadły się sklepy i sklepiki, stanęły hotele, restauracje i punkty małej gastronomii. Z biegiem lat będzie przybywało takich miejsc.

– Mimo że w 2010 roku ordynariusz zielonogórsko-gorzowski biskup Stefan Regmunt poświęcił figurę Chrystusa Króla, jej otoczenie to nadal teren budowy.

– Pielgrzymi mogą stanąć na placu przed figurą. Mogą wspiąć się drogą aż do cokołu podtrzymującego pomnik. Niżej, na kilkuhektarowym terenie należącym do parafii, jest miejsce na Bramę Poznania Dobra i Zła. Na Rajski Ogród ze stoma gatunkami roślin. Na Drogę Życia wysadzaną drzewami i Drogę Krzyżową, której pierwszą i ostatnią stacją łączy strumień wypływający z podstawy rzeźby. Na tym się nie skończy. Trzeba będzie zbudować Ośrodek Duszpasterskiego Kultu Chrystusa Króla, przy którym stanie Dom Pielgrzyma i kaplica.

– Czy ksiądz obliczył, ile pieniędzy kosztowało to, co już stoi przy wjeździe do Świebodzina?

– Nawet nie starałem się policzyć, ile złotych ofiarowali świebodzinianie. Ile dolarów, koron, euro, hrywien, rubli, forintów... wrzucili do skarbonki pielgrzymi zagraniczni. Pomogli właściciele firm i przedsiębiorcy ze Świebodzina i nie tylko.

– Urodził się ksiądz po to, żeby odnosić sukcesy.

– Były sukcesy i były niepowodzenia. Jednym z moich niezrealizowanych zamierzeń był kościół, który z polecenia biskupa Adama Dyczkowskiego miał powstać na osiedlu Widok w Świebodzinie. Marzyła mi się świątynia z siedmioma wieżami. Plan upadł nie z mojej winy. Gdyby rozpoczęła się budowa, byłyby w Świebodzinie cztery parafie. Według moich spostrzeżeń duszpasterskich, na tym rozwojowym osiedlu kościół musi powstać, jest to tylko kwestia czasu. Gdy upadł ten zamiar, podjąłem decyzję o budowie hospicjum. Przygotowałem nawet projekt. Kuria biskupia miała wątpliwości, czy zdążę zakończyć prace przed emeryturą. Dlatego nie podjąłem tego dzieła.

– W 2006 roku został ksiądz Honorowym Obywatel Gminy Świebodzin za „bycie wzorem patriotyzmu, poświęcenie Bogu i sprawom ludzi chorych, a także za poszanowanie dziedzictwa narodowego poprzez remont wielu obiektów sakralnych, budowę domów parafialnych, pomnika Chrystusa Króla i kościoła Miłosierdzia Bożego, w którym wierni podczas Wieczystej Adoracji wypraszają potrzebne łaski”.

– Bogu niech będą dzięki.

– Dziękuję za rozmowę.

Figura Chrystusa Króla w Świebodzinie

Statua ma 33 metry wysokości, do tego dochodzi nasyp i korona – 16,5 m, czyli łącznie wysokość budowli to 49,5 m. Całkowity ciężar pomnika wynosi około 470 t.

Tors – składa się z ośmiu elementów siatkobetonowych i dwóch elementów z pianki i poliestru, wszystkie piętra mają po 2,4 m wysokości.

Ramiona – rozpiętość 26 m, waga 25,1 t.

Dłonie – każda po 3,5 m długości, ważą po ok. 0,6 t.

Głowa – 4,6 m, waży 3 t (bez korony).

Korona – 3 m, połączana, wykonana z blachy aluminiowej, waży 0,5 t.

Inne figury

Od 1931 r. na szczycie granitowej góry Corcovado w Rio de Janeiro w Brazylii stoi pomnik Chrystusa Odkupiciela. Ma 30 m wysokości, stoi na 8-metrowym cokole. 28-metrowa figura Jezusa na 80-metrowej podstawie króluje nad Lizboną w Portugalii. Razem z cokołem pomnik Chrystusa w boliwijskiej Cochabambie ma 34 m. Wzniesiona na 15-metrowej podstawie Statua Chrystusa Pacyfiku w Limie w Peru mierzy 22 m.

ŹRÓDŁA

Identycznie jak w pięciu poprzednich książkach z kluczem w tytule, pod tekstami nie podawałem źródeł, z których korzystałem, nie chcąc czynić pracy badawczą. Uznałem, że opowiadania w formie rozmów z duchami postaci zasłużonych lub związanych ze Środkowym Nadodrziem powinny być literackie. Mimo to starałem się jak najmniej zmyślać, dlatego obficie czerpałem z publikacji autorów polskich i w mniejszej skali zagranicznych. Niżej podaję jedynie te najciekawsze, zakładając, że wśród Czytelników są tacy, którzy mają ochotę do nich zajrzeć, aby dowiedzieć się jeszcze więcej o przeszłości regionu nad środkową Odrą i dolną Wartą.

Henryk Ankiewicz, *Szkice gorzowskie*, Szczecin 1988.

Henryk Ankiewicz, *Tatarzy gorzowscy*, Zielona Góra 2001.

Atlas województwa lubuskiego, Warszawa 2009.

Joachim Benyskiewicz, Zygmunt Boras, Andrzej Wędzki, *Dzieje Gorzowa*, red. Zygmunt Boras, Gorzów Wielkopolski 1990, tom 1.

Joachim Benyskiewicz, Edward Dąbrowski, Tadeusz Dzwonkowski, Władysław Korcz, Stanisław Kowalski, Jerzy Piotr Majchrzak, *Początki i najstarsze dzieje Zielonej Góry*, „Studia Zielonogórskie” 1995, tom 1.

Britannica, Poznań 1998, tom 5.

Marian Buchowski, *Buty Ikara. Biografia Edwarda Stachury*, Warszawa 2014.

Grzegorz Chmielewski, *Biblioteki, książki, czytelnicy*, red. Alfred Siatecki, „Kalendarz zielonogórski 1985”.

Janusz Chutkowski, *Dzieje Głogowa*, Legnica 1991.

- Dawna Zielona Góra. Kronika od 1623 do 1795 roku / Das alte Grünberg. Chronik von 1623 bis 1795*, oprac. Jarochna Dąbrowska-Burkhardt, Zielona Góra 2004.
- Dawne widoki Gorzowa / Alte Ansichten von Landsberg*, red. Zdzisław Linkowski, Gorzów Wlkp. 1997.
- Julian Dobosz, *Pro memoria: dr Edward Hładkiewicz (1925-1995)*, „Studia Zielonogórskie” 1997, tom III.
- Dzieje ziemi wschowskiej i stołecznego jej miasta Wschowy z przystosowaniem do historii narodowej przez Józefa Jonemana, Sędziego Pokoju Powiatu Wschowskiego, zebrane i spisane*, wybór Barbara Ratajewska, Wschowa 1993.
- Eugeniusz Dzieścielewski, *Wschowa i Ziemia Wschowska w literaturze*, Wschowa 2006.
- Gorzów Wielkopolski – portret miasta / das Portret der Stadt*, Gorzów Wlkp. 1995.
- Historia Zielonej Góry. Dzieje miasta do końca XVIII wieku*, red. Wojciech Strzyżewski, tom 1, Zielona Góra 2011.
- Stanisława Janicka, *Archiwista miejski – Fritz Buchholz*, „Nadwarciański Rocznik Historyczno-Archiwalny” 1995.
- Tomasz Jaworski, *Polska między Litwą a Saksonią 1505-1815*, Zielona Góra 2014.
- Johann Gottfried John, Heinrich Adolph Pilz, *Kronika lub krótkie opisanie dziejów Zielonej Góry z lat 1222-1881*, oprac. Jarosław Kuczer, Zielona Góra 2005.
- Kalendarium dziejów Wschowy*, oprac. Barbara Ratajewska, Wschowa 2007.
- Tomasz Kałuski, *Strajk w Lubogórze w 1981 roku*, „Świebodzińska Gazeta Powiatowa” 2003, nr 10.
- Tomasz Kałuski, *Wydarzenia lubogórskie w 1981 roku w świetle prasy prorządowej*, „Nadwarciański Rocznik Historyczno-Archiwalny” 2004, nr 11.
- Władysław Korcz, *Rodowód miast zielonogórskich*, „Kalendarz zielonogórski” 1984.
- Izabela Korniluk, *Hugo Schmidt i jego dzieło*, „Studia Zielonogórskie” 2007, tom XIII.
- Kościół w Klepsku. Pamięć Biblia Sztuka / Church in Klepsk. Memory Biblie Art / Kirche in Klepsk. Gedächtnis Bibel Kunst*, red. Ewa Lukas-Janowska, Zielona Góra 2014.

- Daniel Koteluk, *Edward Hładkiewicz (1925-1995). Działacz chłopski i społeczny*, [w:] *Zapisali się w dziejach Środkowego Nadodrza. Szkice biograficzne*, red. Przemysław Bartkowiak, Jarosław Kuczer i Dawid Kotlarek, Zielona Góra 2009.
- Stanisław Kowalski, *Zabytki architektury województwa lubuskiego*, Zielona Góra 2010.
- Krzysztof Koziółek, *Wschowa miasto królewskie... / King's Town Wschowa...*, Wschowa 2013.
- Józef Ignacy Kraszewski, *Brühl*, Warszawa 1973.
- Jarosław Lewczuk, *Rozpoznanie archeologiczne Zielonej Góry*, „Studia Zielonogórskie” 1996, tom II.
- Listy i wiersze Stachury do Mieczysława Czychowskiego*, „Poezja” 1982, nr 9.
- Jerzy Piotr Majchrzak, *Na tropach dawnej Zielonej Góry. Opowieść o mieście*, Zielona Góra 1993.
- Jerzy Piotr Majchrzak, *Zielonogórcy Henrykowie*, „Studia Zielonogórskie” 1999, tom V.
- Marta Małkus, *Kamienne łwy i królewska brama do świątyni... Pamiątki po wizycie króla Augusta III we Wschowie w 1737 roku*, [w:] *Kultura radości na ziemi wschowskiej*, red. Paweł Klint, Marta Małkus i Kamila Szymańska, Wschowa 2013.
- Aleksander Miśkiewicz: *Tatarzy na ziemiach zachodnich Polski w latach 1945-2005*, Gorzów Wlkp. 2010.
- Na winnicy*, opr. Alfred Siatecki, Zielona Góra 2011.
- Niezwykli i tajemniczy ludzie Ziemi Lubuskiej*, red. Dariusz Chajewski, Zielona Góra 2010.
- Wiesław Pyżewicz, *Novita w czasie strajku lubogórskiego w świetle kroniki zakładowej*, „Studia Zielonogórskie” 2005, tom XI.
- Edward Rymar, *Albert zwany „z Luge”, zasadzca Gorzowa*, „Nadwarciański Rocznik Historyczno-Archiwalny” 1996.
- Edward Rymar, *Jakim prawem rządził się dawny Gorzów?*, „Nadwarciański Rocznik Historyczno-Archiwalny” 1996.
- Edward Rymar, *Średniowieczny zamek (dwór) w Gorzowie*, „Nadwarciański Rocznik Historyczno-Archiwalny” 1999, nr 6/2.
- Schematyzm diecezji zielonogórsko-gorzowskiej*, red. Andrzej Tymczyj, Zielona Góra 1995.
- Hugo Schmidt, *Geschichte der Stadt Grünberg, Schles.[ien]*, Grünberg 1922.

- Scytowie, Złoty Skarb z Witaszkowa i dzisiejsze skarby Ziemi Gubińskiej*, oprac. Tadeusz Buczek, „Gubin i okolice” 2014, nr 2.
- Alfred Siatecki, „*Siekierzada*” albo kotlańska zima Stachury, *Czopika i sławnej dentystki Majki Nowak*, „Twórczość” 1982, nr 3.
- Alfred Siatecki, *Znaki graniczne*, Warszawa 1988.
- Tajemnice naszej ziemi. Wywiad-rzeka Alfreda Siateckiego z doktorem Andrzejem Marcinkianem, ostatnim spośród pierwszych lubuskich archeologów*, Zielona Góra 2011.
- Edward Stachura, *Siekierzada albo Zima leśnych ludzi*, Warszawa 1983.
- Hieronim Szczegół, *Zielona Góra. Rozwój miasta w Polsce Ludowej*, Poznań 1984.
- Julian Talko-Hryniewicz, *Muślimowie, czyli tak zwani Tatarzy Litewscy*, Kraków 1924.
- Zygmunt Trziszka, *Mój pisarz*, Warszawa 1979.
- Marceli Tureczek, *O Cesarzu Francuzów w Międzyrzeczu – dawniej i dziś*, „Siedlisko” 2009, nr 6.
- Dariusz Wilczak, *Pomnik Chrystusa Króla, czyli Rio de Świebodzino*, „Polska. Newsweek” 2010, nr 39.
- Ryszard Wójtowicz, *Strajk rzepiński w świetle materiałów przechowywanych w archiwum Oddziału Terenowego Agencji Własności Rolnej Skarbu Państwa w Gorzowie Wlkp. – przyczynek do dziejów państwowych gospodarstw rolnych w okresie transformacji ustrojowej*, „Nadwarciański Rocznik Historyczno-Archiwalny” 2000, nr 7, tom 2.
- Zamki, dwory i pałace województwa lubuskiego*, red. Barbara Bieliniś-Kopeć, Zielona Góra 2008.
- Znani zielonogórzanie XIX i XX wieku. Część druga*, red. Hieronim Szczegół, Zielona Góra 1999.
- Przemysław Zwiernik, *Konflikt w Lubogórze*, „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej” 2005, nr 7-8.
- Jerzy Zysnarski, *Encyklopedia Gorzowa*, Bydgoszcz 2008.

Internet

- Kościół w Klepsku*, www.klepsk.pl [dostęp 20 listopada 2013]
- Henryk Brühl*, www.pl.wikipedia.org/wiki/Henryk_Brühl [dostęp 30 listopada 2014]
- Johann Kändler*, www.pl.wikipedia.org/wiki/Johann_Joachim_Kändler [dostęp 9 grudnia 2014]
- Klepsk*, www.polskaniezwykla.pl [dostęp 9 grudnia 2014]

Historia porcelany, www.herby.republika.pl/historia [dostęp 9 grudnia 2014]

Kaprys Augusta Mocnego, www.prawdziwemistrzostwo.pl/kaprys-augusta-mocnego [dostęp 10 grudnia 2014]

Wycieczka Focusa – okolice Zielonej Góry, www.historia.focus.pl/swiat/wycieczka-focusa-okolice-zielonej-gory [dostęp 20 grudnia 2014]

Szlak tatarski, www.szlaktatarski.pl [dostęp 21 grudnia 2014]

Religia w województwie lubuskim, pl.wikipedia.org/wiki/Religia_w_wojewodztwie_lubuskim [dostęp 28 grudnia 2014]

Historia, kronika, publikacje..., www.zielonagora.pl [dostęp 31 grudnia 2014]

Ludność Zielonej Góry, www.pl.wikipedia.org/wiki/Ludność_Zielonej_Góry [dostęp 31 grudnia 2014]

Mapa miasta i gminy, www.koluszki.pl [dostęp 31 grudnia 2014]

Mapa gminy, www.wolczyn.pl [dostęp 31 grudnia 2014]

Mapa gminy, www.lubichowo.pl [dostęp 31 grudnia 2014]

Ostatnie dni miasta L., pierwsze dni miasta G., www.gorzowhistoria.pl [dostęp 2 stycznia 2015]

Kalendarium, www.encyklopedia-solidarnosci.pl [dostęp 10 stycznia 2015]

Polskie przekłady Biblii, www.pl.wikipedia.org/wiki/Polskie_przekłady_Biblii [dostęp 19 stycznia 2015]

Johann Volmer, [www.http://j-j-volmer.pl](http://j-j-volmer.pl) [dostęp 23 stycznia 2015]

Spółeczność żydowska przed 1989 rokiem, www.sztetl.org.pl/pl/city/mie-dzyrzecz [dostęp 26 stycznia 2015]

Edward Stachura – biografia, www.stachuriada.pl [dostęp 31 stycznia 2015]

Historia Zastalu, www.mzl.zgora.pl [dostęp 6 lutego 2015]

Od Beuchelta do..., www.zastal.pl [dostęp 12 lutego 2015]

Sylwester Zawadzki, [www.pl.wikipedia.org/wiki/Sylwester_Zawadzki_\(ksiądz\)](http://www.pl.wikipedia.org/wiki/Sylwester_Zawadzki_(ksiądz)) [dostęp 13 lutego 2015]

Historia, www.sanktuariummilosierdziaobozego.pl/ [dostęp 13 lutego 2015]

Poczet arcybiskupów, www.archidiecezja.pl [dostęp 22 lutego 2015]

Historia gminy w pięciu rzeźbach, www.wschowa.pl [dostęp 22 lutego 2015]

Złoty skarb z Witaszkowa, www.gminagubin.pl/zloty-skarb-witaszkowa [dostęp 27 lutego 2015]

Scytowie – nieposkromieni władcy stepów, www.polskieradio.pl/.../172002,
Scytowie-nieposkromieni-wladcy-stepow [dostęp 27 lutego 2015]
Józef Kostrzewski, www.pl.wikipedia.org/wiki/Józef_Kostrzewski [dostęp 1 i 4 marca 2015]

ZAMIAST PODSUMOWANIA

- 1000 – 24 marca: w grodzie Ilua (Ilwa, Iława) koło dzisiejszej Szprotawy Bolesław Chrobry powitał cesarza Niemiec Ottona III
- 1003 – 10 listopada: koło Międzyrzecza ponieśli męczeńską śmierć Benedykt, Jan, Izaak, Mateusz i Krystyn, zwani Pięcioma Braćmi Międzyrzeckimi
- 1109 – 24 sierpnia: zaczęła się obrona Głogowa przed najazdem cesarza niemieckiego Henryka V, który zażądał wydania dzieci jako zakładników
- 1241 – 9 kwietnia bitwa pod Legnicą, podczas której śmierć poniósł książę Henryk Pobożny
- 1249 – 20 kwietnia: książę Bolesław Rogatka oddał połowę Ziemi Lubuskiej Brandenburczykom w zamian za pomoc w walce ze swoim bratem Henrykiem
- 1251 – powstało księstwo głogowskie
- 1257 – lokowanie miasta Landisberch Nova, które dało początek Landsbergowi, po 1945 nazwanemu Gorzowem Wielkopolskim
- 1279 – 19 stycznia: powstało księstwo żagańskie
- 1303 – pojawił się termin Nowa Marchia oznaczający wschodnią część Ziemi Lubuskiej
- 1312 – 28 lutego: pojawiła się pierwsza wzmianka o Zielonej Górze jako o mieście
- 1331 – Wincenty z Szamotuł w imieniu króla Władysława Łokietka zawarł z Niemcami pokój landsberski
- 1343 – Kazimierz Wielki przyłączył ziemię wschowską do Wielkopolski
- 1363 – 25 lutego: Kazimierz Wielki poślubił księżniczkę żagańską Jadwigę ze Wschowie

- 1385 – frankfurteczycy napadli na Górzycę i zniszczyli siedzibę biskupa lubuskiego
- 1454 – 31 marca w Strzelcach Krajeńskich sejm krajowy zdecydował, że Drezdenko i okoliczne miejscowości przechodzą we władanie elektorów brandenburskich
- 1462 – 17 maja: odbył się zjazd głogowski z udziałem króla Kazimierza Jagiellończyka i króla czeskiego Jerzego z Podiebradu
- 1483 – 28 grudnia: ostatni piastowski władca Głogowa Jan II Szalony rzekł się miasta na rzecz króla czeskiego Macieja Korwina
- 1526 – ostatecznie Śląsk i południowa część Środkowego Nadodrza przeszły w ręce austriackich Habsburgów
- 1537 – margrabia Jan Hohenzollern przeniósł stolicę Nowej Marchii z Myśliborza do Kostrzyna i rozpoczął budowę twierdzy
- 1598 – sekularyzacja dóbr biskupstwa lubuskiego
- 1657 – pod Górzycą wojska Stefana Czarnieckiego przeprawiły się na drugi brzeg Odry w ramach wyprawy duńskiej
- 1742 – Prusy zajęły Śląsk
- 1758 – 25 września: zaczęła się bitwa wojsk rosyjskich z pruskimi pod Sarbinowem koło Kostrzyna
- 1759 – 12 sierpnia: pod Kunowicami wojska rosyjsko-austriackie rozgromiły armię pruską
- 1901 – 23 września: pastor Felix Hobus odkrył figurkę bogini z Deszczna, pochodzącą z 700-550 r. p.n.e.
- 1946 – 29 maja: Rada Ministrów wydała rozporządzenie o utworzeniu Ekspozytury Urzędu Wojewódzkiego Poznańskiego w Gorzowie
- 1946 – 15 sierpnia: Matka Boża Rokitniańska została patronką diecezji
- 1950 – 26 czerwca: powstało województwo zielonogórskie (większe)
- 1975 – 1 czerwca: podział kraju na 49 województw, powstały województwa gorzowskie i zielonogórskie (mniejsze)
- 1998 – 24 lipca: Sejm uchwalił ustawę o podziale kraju na 16 województw, powstało województwo lubuskie
- 2001 – 28 września: pierwszy rok działalności zainaugurował Uniwersytet Zielonogórski, który powstał z połączenia Wyższej Szkoły Pedagogicznej i Politechniki Zielonogórskiej
- 2004 – 1 maja: Polska została członkiem Unii Europejskiej
- 2015 – 1 stycznia: gmina wiejska Zielona Góra połączyła się z gminą miejską; Zielona Góra zajmuje 278,32 km kw.

PODZIĘKOWANIA

Jestem Lubuszaninem. Urodziłem się na dawnej ziemi lubuskiej i tam zacząłem naukę. Potem było liceum w podszczecińskiej Chojnie, studia w Szczecinie i powroty do rodzinnego Kostrzyna. W trzecim roku po studiach zamieszkałem w Zielonej Górze. I tak to trwa do dziś. Nie ma wątpliwości, że od urodzenia jestem Lubuszaninem. Powinienem więc napisać, że jako rdzennego Lubuszanina interesują mnie dzieje regionu. Wiem sporo, co nie oznacza, że w małym palcu mam wszystkie wydarzenia, postaci, daty. Pisząc książki z kluczem w tytule, a ta jest szósta, przeczytałem mnóstwo polsko- i niemieckojęzycznych publikacji odnoszących się do przeszłości Środkowego Nadodrza. Do czego sam nie dotarłem, drogę wskazali mi przyjaciele i koledzy, znajomi i niekiedy obcy ludzie. Za to im najserdeczniej dziękuję.

Jestem dłużnikiem politologa i historyka, profesora Uniwersytetu Zielonogórskiego, dr. hab. Wiesława Hładkiewicza, który od pierwszego „klucza” zachęcał mnie do opowiadania o dziejach regionu przy pomocy innych zdań niż to mają w zwyczaju akademicy badacze przeszłości. Specjalnie podziękowania składam dr. hab. Tomaszowi Nodzyńskiemu, profesorowi Uniwersytetu Zielonogórskiego, także za zachętę do pisania i za opinię o moim postrzeganiu tego, co jest historią.

Za podpowiedzi i pomoc dziękuję badaczom przeszłości regionu lubuskiego, pracującym w Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze, dr. Izabeli Korniluk i dr. Andrzejowi Toczewskiemu. Porad i wskazówek udzielili mi dyrektorzy z wiedzą historyczną: Marta Małkus, kierująca Muzeum Ziemi Wschowskiej we Wschowie

i Andrzej Kirmiel – szef Muzeum Ziemi Międzyrzeckiej im. Alfa Kowalskiego w Międzyrzeczu. Skorzystałem z licznych wypowiedzi znawczyni dawnej sztuki zielonogórzanki dr Ewy Lukas-Janowskiej i proboszcza łęgowskiej parafii ks. Olgierda Banasia. Dziękuję bibliotekarzom: Dorocie Kaczmarek i Marii Radziszewskiej z zielonogórskiej ksiąźnicy im. Norwida oraz Kazimierzowi Ligockiemu z gorzowskiej ksiąźnicy im. Herberta. Moim kolegom po piórze, Eugeniuszowi Kurzawie i Krzysztofowi Koziółkowi, jestem głęboko wdzięczny za wskazanie dodatkowych źródeł.

Nie byłoby takiej ksiąźki, gdyby nie osoby związane z wydawnictwem. Serdeczne podziękowania składam dr Alinie Polak, bez spostrzegawczości której nie wychwyciłbym błędów, przeinaczeń i niedokładności. Ślicznie dziękuję Emilii Ćwilińskiej za opiekę i nadzór nad przygotowywaniem ksiąźki do druku. Igorowi Myszkiewiczowi dziękuję za projekt okładki.

Mojej rodzinie, a przede wszystkim żonie dziękuję za wspieranie w trakcie pracy nad tą opowieścią, poprzednimi i następnymi, które czekają w mojej głowie na swoją kolej.



SPIS TREŚCI

Skarb scytyjski.....	7
Rozmowa z prof. dr. hab. Józefem Kostrzewskim, archeologiem i muzeologiem	
Zagadka znad Złotej Łączy.....	19
Rozmowa z Hugonem Schmidtem, autorem najobszerniejszej historii Grünberga	
Miasto wzeszło nad Wartą.....	33
Rozmowa z Fritzem Buchholzem, landsberskim archiwistą i regionalistą	
Biblia w obrazach.....	47
Rozmowa z pastorem Stephanem Holsteinem, proboszczem parafii ewangelickiej w Klemzig	
Królowie na chwilę we Wschowie.....	59
Rozmowa z pastorem Samuelem Lauterbachem, historykiem i duchownym Kościoła ewangelicko-augsburskiego	
Serwis Łabędzi.....	75
Rozmowa z Heinrichem von Brühlem, właścicielem dóbr w Brodach	
Bonaparte mógł zginąć w Międzyrzeczu.....	89
Rozmowa z dr. Bogdanem Kressem, badaczem przeszłości	
Więcej niż fabrykant.....	101
Rozmowa z Georgiem Beucheltem, właścicielem fabryki konstrukcji stalowych i budowy mostów Beuchelt & Co. w Grünbergu	
Tatarzy gorzowscy.....	117
Rozmowa z Henrykiem Ankiewiczem, publicystą i pisarzem	
Powieść napisana siekierą.....	132
Rozmowa z Andrzejem K. Waśkiewiczem, poetą i esejistą, krytykiem literackim, edytorem i organizatorem życia literackiego	
Najdłuższy strajk.....	147
Rozmowa z dr. Edwardem Hładkiewiczem, historykiem i politykiem	
Ojciec Chrystusa Króla.....	161
Rozmowa z ks. prałatem Sylwestrem Zawadzkim, duchownym rzymskokatolickim	
Źródła.....	173
Zamiast podsumowania.....	179
Podziękowania.....	181